

Rozdział 8

*Powiedział, że w 1810 spotkał mnie, jak sądził, na St.James Street, ale mi-
nęliśmy się, nie zamieniając ze sobą słowa. Wspomnił o tym, lecz zosta-
ło to uznane za niemożliwe, jako że przebywałem wtedy w Turcji. Dwa dni
później pokazał bratu pewną osobę po drugiej stronie ulicy – „Tam –
rzekł – idzie człowiek, którego wziąłem za Byrona”. Jego brat odparł z miej-
sca: „Ależ to Byron, nikt inny”. – Lecz to nie wszystko. Ktoś mnie widział,
jak umieszczałem swe nazwisko na liście pytających o zdrowie króla, na-
wiedzonego wówczas atakiem szaleństwa. Jednakże w tym czasie, o ile mogę
się zorientować, leżałem powalony ciężką gorączką w Patras...*

Lord Byron, w liście do Johna
Murraya,
6 października, 1820 roku

Choć trudno było znaleźć wszystkie silniczki i nakręcić je właściwie, a także ustawić wentyle wokół licznych, ukrytych świec, sięgająca piersi *village Bavarois*, wioska bawarska, niezwykle kosztowna zabawka, jaką opisał Monsieur Diderac, wydawała się gotowa do działania. Trzeba było jedynie zapalić świece, a główny przełącznik, pod postacią miniaturowego pnia drzewa, przesunąć w prawo.

Doktor Romany oparł się o krzesło i wlepił posepny wzrok w mechanizm. Niecny Ryszard chciał zabawkę uruchomić, by jego małpka mogła ją zobaczyć, nim przybędą jagowie, ale Romany bał się, że rzecz tak skomplikowana zadziała być może tylko raz, i nie zgodził się. Wyciągnął dłoń i dotknął delikatnie głowy małego, wyciętego z drewna człowieczka, po czym westchnął niezadowolony, gdy małeńka figurka przemaszerowała kilka centymetrów po swojej

wymalowanej ścieżce, wymachując toporem, którego trzonek wykonano z wykałaczką, i wydając odgłos tykania starego zegara.

Niech mnie Apofis poźre, pomyślał niespokojnie, mam nadzieję, że go nie zepsułem. Dlaczego wszyscy musieliśmy ponieść porażkę? Pamiętam czasy, gdy jagowie żądali do swych celów kompletu wysmienitych szachów, sekstansów i teleskopów. A teraz? Przeklętych zabawek.

Przyszło mu jeszcze do głowy, że nie wykazują szacunku, a są wręcz niegrzeczni.

Wstał i potrzęsął głową. W namiocie było ciemno od dymu kadzidła, podszedł więc, huśtając się na podszwach, do wyjścia, uniósł połą i umocował z boku. Zamrugał oślepiiony nagłą jasnością nad wrzosowiskami Islington.

Niedaleko stąd, pomyślał, przed ośmioma laty, biedny, stary Amenofis Fikee oddał się we władanie bogowi wrót o głowie szakala. Utracił wtedy sztukę magii i niemal całą władzę nad swoim umysłem, z wyjątkiem przekłętą umiejętności wymiany ciał. Z kulą pistoletu w brzuchu i sierścią Anubisa na całym ciele... umknął ku wątpliwej sławie Joego Psiej Twarzy, owego „wilkołaka”, którym matki w Londynie straszyły niegrzeczne dzieci... pozostawiając doktora Romany, ka, który powinien wyczołgać się już dawno temu, na swoim posterunku, jakim była cała Wielka Brytania. No cóż, pomyślał zadowolony z siebie; Mistrz z pewnością wykonał dobrą robotę, tworząc tego ka; nie sądzę, by Fikee, czy nawet Romanelli, zdołali lepiej wywiązać się z zadania, jakim była ochrona brytyjskich interesów Mistrza. Sądzę, że po przewrocie, który się w tym tygodniu tu dokona, zdymisjonuje mnie i sprowadzi do postaci pierwotnego pautu. Nie będzie mi żal odchodzić. Osiem lat to długo, jak dla ka. Żałuję jednak, myślał, mrużąc swe oczy drapieżnika, że nie zdołałem rozwiązać tajemnicy owej niepokojąco mądrej grupy magów, którzy wykorzystali do swej podróży przypadkowe wrota Fikeego. Jeden, którego miałem, ten Doyle, otworzyłyby się, niczym skorupa orzecha, gdybym mógł poświęcić mu odrobinę czasu. Zastanawiam się, skąd, u licha, oni przybyli. Uniósł brwi. Nie powinno to być trudne, uświadomił sobie. Obliczyć po prostu, jakie to inne wrota były otwarte wtedy, gdy uchylły się te w Kensington. Mam najwidoczniej do czynienia z wrotami, które istnieją parami, wielkie, długie wrota tutaj i małe, krótkie gdzie indziej, funkcjonujące w czasie istnienia tych większych. Nie są zbyt częste, i w takich wypadkach zawsze wolałem obserwować te wielkie, ale czasem się pojawiają, i najwidoczniej tak było wówczas. Bez trudu można by obliczyć, skąd wyruszyli, po czym przekazać tę użyteczną wiedzę memu następcy.

Odwrócił się od blasku słońca i usiadł przy stole, po czym zaczął przeglądać stopy najświeższych obliczeń, dotyczących położenia wrót. Znalazł jedno – przypadały pierwszego września – i zabrał się ze zmarszczonym czołem do ich zbadania.

Po kilku chwilach zagryzł niecierpliwie wargę, umoczył pióro w kałamarzu, przekreślił szereg liczb i zaczął je z mozołem korygować.

– Nie powinien ufać zwykłemu ka, gdy chodzi o wyższą matematykę – mruknął. – Szczęście, że poprawnie obliczyłem wrota w Kensington...

Jednakże wyraz jego twarzy nie zmienił się, gdyż nowe obliczenia były identyczne z przekreślonymi. Nie popełnił błędu, tamtego wieczoru naprawdę istniały tylko jedne wrota. Szczelina z pierwszego września nie należała do tych rzadkich, które występują parami.

A zatem, skąd oni przybyli? – zastanawiał się. I odpowiedź pojawiła się tak szybko, że aż się skrzywił, niemal obrażony na samego siebie, iż nie pomyślał o tym wcześniej.

Oczywiście, ludzie w powozach przeskoczyli z jednych wrót w drugie, ale dlaczego zakładał uparcie, że muszą one istnieć w tym samym czasie?

Grupa czarnoksiężników Doyle’a przybyła pierwszego września 1810 roku, przez wrota umiejscowione w innym czasie.

A jeśli oni mogą dokonywać takiej sztuczki, pomyślał podniecony Romany, to i my możemy. Fikee, jeszcze się okaże, że twoja ofiara wcale nie poszła na marne! Ra i Ozyrysie, cóż moglibyśmy... czegoż to nie moglibyśmy uczynić? Skoczyć do tyłu i nie dopuścić, by Brytyjczycy zajęli Kair... Albo skoczyć do przodu i podkopać fundamenty Anglii, by pod koniec tego wieku nie liczyła się w ogóle jako naród! I pomyśleć, że grupa Doyle’a posłużyła się tą potężną mocą tylko po to, by wysłuchać wykładu poety. My wykorzystamy ją bardziej... celowo, pomyślał, a jego twarz wykrzywił szeroki, wilczy grymas uśmiechu, który rzadko na niej gościł. Sięgnął po Świecę Dalekiej Mowy i przysunął ją bliżej. Było to zbyt wielkie odkrycie, by zachować je wyłącznie dla siebie. Zapalił świecę od lampy oliwnej stojącej na stole. Zdawało się, że jej płomień w kształcie łyzy zadrgał i cofnął się, gdy nad knotem wykwitł nagle mały, kulisty ogień.

Młody, uśmiechnięty człowiek był zadowolony, choć odczuwał to w stopniu jedynie minimalnym, że doktor Romany, dzięki swej dominacji nad nim, pozbawił go nie tylko ciężaru wolnej woli, ale rów-

niez przekształcił wszelkie fizyczne dokuczliwości w coś abstrakcyjnego. Zdawał sobie mgliście sprawę z uczucia głodu i bólu wywołanego skurczem stóp, a jeszcze mgliściej z owego głosu, który zdawał się wołać z przerażenia gdzieś w najgłębszej komórce jego mózgu. Lecz czuł się tak, jakby ogień jego świadomości tłumiała woda, by strumień pary, która w ten sposób powstawała, mógł napędzać jakiś niewyobrażalny silnik; niezwykle siła, podtrzymująca jego działanie, nie mogła wywołać żadnego uczucia, a jedynie bezbolesną satysfakcję, że wszystko wydaje się pracować jak należy.

Niczym woźnica, poinstruowany, że ma objeżdżać w kółko kwartał jakichś ulic, aż jego klient, gotowy wreszcie do jazdy, pojawi się w drzwiach domu i przywoła go gestem dłoni, uśmiechnięty młodzieniec znów zaczął czytać, poczynając od górnego wiersza zapamiętanej strony:

– Dzień dobry, mój dobry człowieku – powiedział. – Jestem lord Byron. Czy mogę postawić ci szklankę jakiegoś trunku? – bezustannie uśmiechający się młody człowiek nie usłyszał w rzeczywistości odpowiedzi mężczyzny – wydawała się przytłumiona, jakby dochodziła zza przepierzenia – lecz jakaś część jego umysłu usłyszała ją i zinterpretowała jako nakaz odpowiedzi numer trzy: – Jestem bez wątpienia, mój przyjacielu – szóstym baronetem Byronem Rochdale; odziedziczyłem tytuł w 1798, gdy miałem dziesięć lat. Jeśli zastanawiasz się, co par Anglii robi w takim miejscu, popijając ze zwykłymi robotnikami, to, no cóż, dzieje się tak dlatego, że, według mnie, zwykli robotnicy, nie lordowie czy arystokracja, są solą tego kraju. Powiadam... – W tym miejscu nastąpiła zwykła dygresja, która oznaczała odpowiedź numer jeden: – Szykarzu! Szklankę każdego trunku, jakiego zażąda ten dżentelmen! – Dłoń młodego człowieka, jak precyzyjna machina, wydobyła z kieszonki w kamizelce monetę i rzuciła ją na najbliższą płaską powierzchnię, a jego usta podjęły odpowiedź numer trzy dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwały: ... – do diabła z tymi ludźmi, co to mają nami rządzić jedynie z racji łona, które zrządzeniem losu wydało ich na świat! Powiadam, że ani król, ani wy, ani ja, że nikt z nas nie jest w niczym lepszy od innych, i nie jest to słuszne, by niektórzy jedli ze srebrnej zastawy, nie przepracowawszy nawet dnia w swym życiu, podczas gdy inni w dobrej wierze harują codziennie i ledwie kosztują mięsa raz w tygodniu! Amerykanie uwolnili się od tak sztucznego społeczeństwa, Francuzi też próbowali to uczynić, i powiadam, że i my...

Uświadomił sobie, że mężczyzna, któremu recytował, zniknął. Kiedy odszedł? Nieważne, inny pojawi się tu niebawem. Usiadł, a na twarz powrócił mu tępy uśmiech.

Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że ktoś zajął obok niego miejsce, zaczął więc od nowa.

– Dzień dobry, mój dobry człowieku. Jestem lord Byron. Czy mogę postawić ci szklanekę jakiegoś trunku?

Odpowiedziano mu jednym ze zdań, które, jak go uprzedzano, może usłyszeć, i udzielił, z nieudawanym niepokojem, odpowiedzi numer osiem:

– Tak, mój przyjacielu, podróżowałem do niedawna za granicą. Musiałem powrócić do kraju w związku z chorobą, gorączką mózgową, która, co się niekiedy zdarza, zaciemnia mój umysł. Proszę mi wybaczyć brak orientacji, którym prześladuje mnie owa fizyczna dolegliwość – czy my się znamy?

Po długiej przerwie, podczas której wciąż uśmiechnięty młodzieniec uświadamiał sobie istnienie jakiejś namiastki niepokoju w swym sercu, mężczyzna odpowiedział przecząco, więc młody człowiek z ulgą ciągnął dalej.

– Jeśli zastanawiasz się, co par Anglii robi w takim miejscu, popijając ze zwykłymi...

Nowo przybyły przerwał litanie pytaniem, które, o zgrozo, nie wydawało się przytłumione:

– Jak się posuwa praca nad *Wędrownkami Childe Harolda*? Och, przepraszam, na tym etapie to jeszcze *Wędrownki Childe Burona*, nieprawda? Ach – *Żył ongi pewien młodzian w Albionie, któremu rozkosz cnót nie biła szczerą...* * – Jak to brzmi dalej?

Z jakichś powodów zdania te były dla młodego człowieka niczym chluśnięcie zimnej wody, i gdy pod ich wpływem wyostrzył mu się słuch, to samo stało się też z jego wzrokiem; otoczenie wyłoniło się nagle z natłoku bezpiecznie rozmazanych kształtów, przybierając przerażającą wyrazistość, i po raz pierwszy od czterech dni ujrzał jakąś twarz dokładnie.

A twarz człowieka, który z nim rozmawiał, przyciągała uwagę; osadzona na imponująco szerokich barach i szyi pokrytej węzłami mięśni, okolona gęstą, złotą grzywą i brodą, była pociągła, pobrużdżona i miała szalone oczy, jakby kryły się w niej jakieś fantastyczne i przerażające sekrety.

* Przekład Jana Kasprowicza.

Młodzieniec, który już się nie uśmiechał, wiedział, że sprawdzano jego umiejętność zachowania się w takiej sytuacji. – „Jeśli wszystko zacznie dziać się za szybko i za głośno – powtarzał mu kilkakrotnie Romany – a ty utracisz ochronny pancerz, jaki zapewnia ci moje przewodnictwo, wracaj natychmiast tutaj, do obozu, zanim ludzie na ulicy rozerwą cię na strzępy, jak szczury kalekiego psa...” – Lecz słowa tego brodatego człowieka wywołały w nim coś innego, ważniejszego niż rozkaz doktora Romany. Byron posłyszał samego siebie:

*Dzień po dniu w samych bezeceństwach tonie
I nocy uszy drzemiące rozdziera.*

Zdawało się, że owe słowa, w jakiś sposób niezwykle znajome, wywołały falę gorzkich wspomnień, które kłuły niczym krążenie powracające do zdrewniałej kończyny; przypomniał sobie, jak stał na pokładzie brygu „Spider” w towarzystwie Fletchera i Hobhouse’a... i przypomniał sobie Albańczyków w Tepaleen, w tych swoich białych spódniczkach i pelerynach lamowanych złotem, z pasami, za którymi groźnie jeżyły się ozdobne pistolety i sztylety... Żółte, wysuszone wzgórza i głęboki błękit nieba nad Moreą... i coś, co wiązało się z gorączką i... lekarzem? Bramy jego umysłu zamknęły się przed owymi wspomnieniami, lecz jego głos mówił dalej:

*Bezwstydna iście była zeń kozera,
Do biesiad tylko i żartów bezbożnych...
Niczemu w świecie serca nie otwiera...*

Zdawało się, że jakaś dłoń zamknęła mu usta, i wiedział, że była to dłoń doktora Romany. W jego głowie odezwał się rozkaz tysego doktora: Wracaj natychmiast do obozu.

Wstał, rzucając zdziwione spojrzenia na pijących w tym niskim szynku, po czym, mamrocząc przeprosiny, pokuśtykał do drzwi i wyszedł na ulicę.

Doyle zerwał się, ale jego nowy wzrost przyprawiał go o zawroty głowy, więc chwycił się stolika. Mój Boże, pomyślał, oddychając głęboko i ruszając w pościg za młodym człowiekiem, to naprawdę jest Byron; znał *Childe Harolda*, którego nikt w Anglii nie ujrzy na oczy przez najbliższe dwa lata. Ale co się z nim dzieje? I co się dzieje z biegiem historii? Jakim cudem on się tu znalazł?

Podszedł do drzwi i przytrzymując się drewnianej framugi, wyszedł na zewnątrz. Widział kędzierzawą głowę Byrona, wychylającą

się raz po raz z tłumu przechodniów po prawej stronie, i ruszył za nim niepewnie, żałując, że nie potrafi zmusić swego niewątpliwie wspaniałego ciała do równie płynnego ruchu co Benner.

Ludzie na ulicy schodzili czym prędzej z drogi podążającemu chwiejnym krokiem olbrzymowi o lwiej grzywie i szalonych oczach. Zrównał się z Byronem przy następnej gospodzie; ujął go za łokieć i skierował siłą do środka.

– Piwo dla mnie i mojego przyjaciela – powiedział, starannie wymawiając wyrazy, do dziewczyny przy barze. Ten rozszczepiony język jest przekleństwem, pomyślał. Poprowadził nieskutecznie opieczętowanego się młodzieńca do stolika i posadził na krześle, po czym nachylił się nad nim, zaciskając dłoń na oparciu i zagrządzając muskularnym ramieniem drogę odwrotu.

– A teraz – grzmiał Doyle surowo – niech mi pan powie, co się z panem dzieje? Nie ciekawi pana, skąd znam te wersy?

– Ja... ja cierpiałem na chorobę, gorączkę mózgową – odparł nerwowo Byron, a jego uśmiech, w połączeniu z widocznym niepokojem, wyglądał idiotycznie. – Ja... muszę iść, proszę, ja... cierpię na chorobę... – Słowa zdawały się wyskakiwać mu gwałtownie z ust, jedno za drugim, jakby nanizane na sznurek, który Doyle wyciągał mu z gardła.

Nagle Doyle uświadomił sobie, gdzie widział już ten bezmyślny uśmiech – na twarzach członków sekt, którzy żebrali na lotniskach czy pod całodobowymi restauracjami. Niech mnie diabli, pomyślał, Byron zachowuje się, jakby był zaprogramowany.

– Co pan sądzi o dzisiejszej pogodzie? – spytał go Doyle.

– Proszę mi wybaczyć, muszę iść. Moja choroba...

– Jaki mamy dzień?

– ... gorączka mózgową, która, co się niekiedy zdarza, zaciemnia mój umysł...

– Jak się pan nazywa?

Młodzieniec zamrugnął.

– Lord Byron, szósty baronet Rochdale. Czy mogę postawić panu szklanekę jakiegoś trunku?

Doyle usiadł naprzeciwko.

– Tak, proszę – odparł. – Właśnie nadchodzi dziewczyna.

Byron wyciągnął złotą monetę z kieszeni i zapłacił za piwa, choć nie tknął swojego.

– Jeśli zastanawiasz się, co par Anglii...

Śród labiryntu grzechów on wędrował,

Nie znał pokuty, nabroiwszy siłą...

– Kto to napisał?

Uśmiech znów zniknął z twarzy Byrona, który odsunął krzesło, lecz Doyle wstał i ponownie zablokował przejście.

– Kto to napisał? – spytał powtórnie.

– Hm... – Na blade czoło Byrona wystąpił pot. W końcu odpowiedział szeptem: – Ja... ja to napisałem.

– Kiedy?

– Zeszłego roku. W Tepaleen.

– Od jak dawna jest pan w Anglii?

– Nie pamięć... cztery dni? Chyba jestem chory...

– Jak pan tu przybył?

– Jak ja tu...

Doyle skinął kudłatą głową.

– Tak, przybył tu. Na statku? Jakim statku? A może łądem?

– Ach! Oczywiście, wróciłem... – Byron zmarszczył czoło. – Nie mogę sobie przypomnieć.

– Nie może pan? Czy to się nie wydaje panu dziwne, że pan nie wie? A jak pan myśli, skąd ja znam te pańskie wersy?

– Czytał pan moją poezję! – stwierdził Byron, a na jego twarzy znów pojawił się dziwaczny uśmiech. – Pan mi pochlebia. Lecz teraz moja twórczość wydaje mi się czymś dziecinnym; w chwili obecnej zajmuje mnie poezja działania, raczej dobrze wymierzone pchnięcie szpadą niż starannie dobranym słowem. Moim celem jest zadanie ciosu, który zerwie...

– Niech pan przestanie – powiedział Doyle.

– ... kajdany krepujące nasze...

– Niech pan przestanie. Proszę posłuchać, nie mam zbyt dużo czasu, mój umysł też nie pracuje na pełnych obrotach, lecz pańska obecność tutaj... Muszę wiedzieć, co pan tu robi, muszę wiedzieć... Och, do diabła, mnóstwo rzeczy... – Doyle podniósł do ust swój kubek, gdyż poczuł, że jego głos zaczyna przechodzić w niewyraźny szept. – Na przykład czy jest to prawdziwy rok 1810, czy też jakiś sfałszowany...

Byron wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym sięgnął niepewnie po drugi kubek i podniósł do ust, choć nie wypił.

– On powiedział mi, że bym nie pił – stwierdził.

– Do diabła z nim – mruknął Doyle, ocierając z piany sumiaste wąsy. – Zamierza pan pytać go, kiedy może pan sobie wypić?

– Do... do diabła z nim – zgodził się Byron, choć wymówił to z pewną trudnością. Łyknął piwa i gdy opuścił kubek, jego wzrok nie był już taki mglisty. – Do diabła z nim.

– Kim jest ten „on”? – spytał Doyle.

– Kto?

– Do licha, człowiek, który pana zaprogramował – przepraszam, okiełznał, założył klapki na oczy i osiodłał? – spytał Doyle, a ujrzawszy, że Byron marszczy ze zdziwieniem czoło, a jego oczy znów zachodzą mgłą, powiedział szybko: – „Dzień dobry, mój dobry człowieku. Jestem lord Byron. Czy mogę ci postawić szklanekę jakiegoś trunku? Jeśli zastanawiasz się, co par Anglii robi w takim miejscu” – kto to wszystko powiedział?

– Ja.

– Ale kto to powiedział panu, kto kazał się tego panu nauczyć? To nie są pańskie słowa, prawda? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć, kto to wszystko panu powiedział.

– Nie mogę sobie...

– Niech pan zamknie oczy. A teraz niech pan usłyszysz te słowa, lecz wymawiane innym głosem. Jaki jest ten głos?

Byron zamknął posłusznie oczy i po długiej chwili powiedział:

– Głębszy. Głos starego człowieka.

– Co jeszcze mówi?

– „Mój lordzie – głos Byrona nawet pogłębił się o oktawę, cytując te słowa – dzięki znajomości owych stwierdzeń i pytań powinieneś przetrwać te dwa dni. Lecz jeśli wszystko zacznie dziać się za szybko i za głośno, a ty utracisz ochronny pancerz, jaki zapewnia ci moje przewodnictwo, wracaj natychmiast tutaj, do obozu, zanim ludzie na ulicy rozerwą cię na strzępy, jak szczury kalekiego psa. Teraz Ryszard zawiezie cię swoim wozem do miasta, a potem, o szóstej wieczorem, zabierze z powrotem. Czekaj na rogu Fish Street i Bread Street. A oto i Ryszard. Wejdz. Gotów do drogi? *Avo, rya. Rya, ta zabawka, którą kupił ten chał z zagranicy – puśćmy ją w ruch, moja małpka chciała-by zobaczyć, jak chodzi.* Porozmawiamy o tym później, jeśli pozwolisz, Ryszardzie. Zawieziesz teraz milorda do miasta”. – Byron otworzył oczy, zdumiony. – Potem – dodał – znalazłem się na wozie.

Twarz Doyle’a pozostała niewzruszona, lecz jego umysł ogarnęła gorączka. Niechaj Bóg ma nas w swojej opiece, to znów Romany, uświadomił sobie. Cóż on, do diabła, znowu knuje? Co ma nadzieję zyskać, poddając lorda Byrona praniu mózgu i wypuszczając go na wolność, by wygłaszał mowy pachnące zdradą stanu? Bez wątpienia stara się, by jego protegowany był na publicznym widoku; żeby go znaleźć, musiałem jedynie podążyć śladem plotek głoszących, że jakiś zwariowany lord stawia wszystkim drinki. Czy to Romany jest

odpowiedzialny za bytność Byrona w Anglii akurat teraz? W każdym razie muszę uczyć się tego biednego głupca.

– Niech pan posłucha – powiedział – tkwią w panu jakieś wspomnienia, które trzeba by przywołać, a nie możemy zrobić tego tutaj. Mam pokój kilka ulic stąd, odziedziczyłem go, by tak rzec, a ludzie, którzy tam mieszkają, nie są szczególnie wścibscy. Pójdźmy tam.

Wciąż otumaniony, Byron podniósł się z miejsca.

– Dobrze, zgadzam się, panie...?

Doyle już miał odpowiedzieć, ale tylko westchnął.

– Do licha. Myślę, że może mnie pan nazywać Williamem Ashblessem. Na razie. Ale niech mnie diabli, jeśli będę musiał pozostać nim przez cały czas. Zgoda?

Byron wzruszył ramionami oszołomiony.

– Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu.

Podczas krótkiego spaceru do pensjonatu Byron wciąż wyciągał szyję, przyglądając się budynkom i tłumom spieszących dokądś ludzi.

– Naprawdę jestem w Anglii – mruknął. Opuścił ciemne brwi, marszcząc czoło, które nie wygładziło się przez resztę drogi.

Dotarli do nędznego budynku i zaczęli wspinać się po schodach. Kilka rodzin uznało je, jak się zdawało, za swoją prywatną kwaterę; przeklinali dwóch młodych ludzi i zazdrośnie chowali przed nimi resztki wstrętnego jedzenia. Potem Doyle z towarzyszami weszli do pokoju, należącego niegdyś do Joego Psiej Twarzy. Gdy w końcu napełnili dwie filiżanki kawą z dzbanka, który wisiał nad ogniem w kominku, Byron obdarzył Doyle'a pierwszym tego dnia, niespokojnym spojrzeniem.

– Którego dziś jest, panie Ashbles?

– Sprawdźmy... dwudziestego szóstego. – A ponieważ wyraz twarzy Byrona nie zmienił się, Doyle dorzucił: – Września.

– To niemożliwe – stwierdził Byron. – Byłem w Grecji... Pamiętam, że byłem w Grecji w sobotę, hmm, dwudziestego drugiego. – Poruszył się niespokojnie na krześle i schylił, by zdjąć buty. – Do diabła, te buty uwierają – zaczął, po czym podniósł jeden i przyjrzał mu się. – Skąd, u licha, je wytrzasnąłem? Nie tylko są za małe, ale i niemodne, i to o dobry wiek! Czerwone obcasy, no i te klamry! – I jak, na Boga, mogłem włożyć kiedykolwiek taki płaszcz? – upuścił but i powiedział głosem tak opanowanym, że Doyle od razu się domyślił, jak bardzo się boi: – Proszę zdradzić mi prawdziwą datę, panie Ashbles, i wszystko, co działo się ze mną od powrotu z Grecji, wedle pańskiej najlepszej wiedzy. Sądzę, że byłem chory. Ale dlaczego w takim razie nie jestem z moimi przyjaciółmi, albo z moją matką?

– Jest dwudziestego szóstego września – potwierdził ostrożnie Doyle – co zaś się tyczy pańskiego zachowania w ostatnim czasie, to wiem tylko tyle, że przez kilka minionych dni stawał pan drinki polowie mieszkańców Londynu. Ale wiem, kto może powiedzieć, o co naprawdę chodzi.

– Więc udajmy się do niego czym prędzej. Nie mogę znieść tego...

– On tu jest. To pan. A teraz proszę posłuchać – przypominał pan sobie kilka minut temu pewne rozmowy, słowo w słowo. Proszę to znów zrobić i posłuchać samego siebie. Zobaczmy... Niech pan spróbuje zacząć od „*Avo, rya*”. Niech pan sobie przypomni, jak pan tego słuchał. Wtedy było to wypowiedziane innym głosem.

– „*Avo, rya* – powiedział Byron, a na jego twarzy nie malował się już strach. – *Avo, rya. Jest z tym bardzo kusztu. Miał już przedtem broń w ręku, to jasne. To dobrze, Wilbur. Choć nie będzie musiał wykazać się szczególną wprawą – powinien znajdować się od niego w odległości około metra, gdy jej użyje. Czy umie wyciągnąć ją dostatecznie szybko? Chciałbym, żeby miał ją w kieszeni, ale obawiam się, że nawet lord może zostać poddany rewizji, nim znajdzie się w obecności królewskiego majestatu. Och, avo, rya, mała kabura pod pachą nie będzie mu przeszkadzać. Powinien pan go widzieć – ma rękę szybką jak wąż. I strzela bez wahania? Musi zrobić to odruchowo. Avo, rya, kukła jest cała podziurawiona, tak często na niej ćwiczyl...*”

Byron zerwał się z krzesła.

– Dobry Boże, człowieku – zawołał własnym głosem – miałem zabić króla Jerzego! Cóż za potworność! Byłem lalką, lunatykiem, który przyjmował te instrukcje równie... posłusznie jak dziewczyna w gospodzie, która podaje posiłki! Na Boga, zażądam satysfakcji za ten... ohydny afront! Matthews albo Davies przekażą me wyzwanie temu... temu... – Uderzył prawą pięścią w otwartą dłoń lewej ręki, po czym wskazał na Doyle’a. – Myślę, że wie pan komu.

Doyle skinął głową.

– Chyba tak. Ale niech pan nie przerywa tego w pół drogi. Równie dobrze może pan uporządkować to, co pan już wie, nim zacznie pan działać. Wie pan co – niech pan spróbuje od „*Tak, Horrabinie*” tym samym głosem, który w tej ostatniej rozmowie zadawał pytania. Kojarzy się to panu z czymś?

Byron, choć wciąż miał zmarszczone czoło, usiadł ponownie.

– „*Tak, Horrabinie. – Jego twarz znów przybrała wyraz całkowitej obojętności. – Tak, Horrabinie, tego też każę zabić. Wszystko*

musi działać jak w zegarku, a nie można wykluczyć, że on wie dostatecznie dużo, by przeszkodzić w którymś momencie. Lepiej przesadzić z dokładnością, nieprawda? A tak przy okazji, czy Bractwo Anteusza naprawdę jeszcze istnieje? Chodzi mi o to, czy się spotykają i w ogóle. Jeśli tak, to powiadam, że ich też zniszczymy. Z pewnością byli swego czasu uciążliwym cierniem w naszym boku. *Może sto lat temu, wasza Wielmożność, ale teraz to nic innego jak tylko klub starszych panów. Słyszałem dawne opowieści na ich temat, i wygląda na to, że kiedyś byli potężni; lecz teraz to jedynie przeżytek. Można ich zniszczyć, lecz zwróci to niepotrzebnie uwagę na ich bogatą przeszłość, jak sądzę.* Masz rację... bardzo dobrze, ale postaw swoich ludzi w miejscu, w którym mogą się gromadzić. – *Przy Bedford Street, wasza Wielmożność, pokoje nad sklepem cukiernika.* – I niech zameldują, jeśli widzieli jakiegokolwiek... och, mniejsza z tym. Gonię za cieniami. A może byś tak zabrał jego lordowską mość i jeszcze raz przeciwczył z nim rolę”. – W oczach Byrona znów pojawiła się ostrość i skupienie. Cmoknął niecierpliwie. – To bezcelowe, Ash-bless. Nie pamiętam niczego z wyjątkiem niezrozumiałych dialogów i wciąż nie mogę sobie przypomnieć szczegółów mego przyjazdu z Grecji. Jednakże pamiętam, że uczono mnie drogi powrotnej do obozu tego człowieka. Wrócę tam z pewnością, ale zabiorę ze sobą dwa pistolety pojedynkowe.

Podniósł się z gracją i podszedł do okna, które, jak Doyle wciąż się trochę lękał, mogło znów zacząć swoje wygibasy, i stanął ze skrzyżowanymi ramionami, wpatrując się pałającym chęcią zemsty wzrokiem w dachy domów.

Doyle potrząsnął zrezygnowany głową.

– Ten człowiek nie jest dżentelmenem, milordzie. Przyjąłby pewnie twe wyzwanie, po czym dał znak jednemu ze swych ludzi, by strzelił ci od tyłu w głowę.

Byron odwrócił się i spojrzał na Doyle’a spod przymkniętych powiek.

– Kim on jest? Nie przypominam sobie, bym słyszał jakieś przypisywane mu imię. Jak wygląda?

Doyle uniósł krzaczaste brwi.

– Dlaczego pan sobie po prostu nie przypomni? Niech pan się wsłucha w ten głos: „Tak, Horrabinie, tego też każę zabić”. Ale niech pan nie tylko słyszy – niech pan też widzi.

Byron przymknął oczy i niemal natychmiast powiedział z niedowierzaniem:

– Jestem w namiocie pełnym egipskich staroci, a na klatce dla ptaków siedzi najbardziej w świecie odrażający kłown. Rozmawia z łysym, starym – wielkie nieba, to mój grecki lekarz, Romanelli!

– Romany – poprawił go Doyle. – Jest Grekiem?

– To Romanelli. No nie, myślę, że jest Włochem; ale to on jest doktorem, który leczył mnie w Patras. Jakim cudem nie rozpoznałem go do tej pory? Zastanawiam się, czy on i ja wróciliśmy tu razem... Ale dlaczego Romanelli chce zabić króla? I dlaczego przywiódł mnie aż z Patras, bym to uczynił? – Usiadł znowu i wlepił twarde, a nawet wojowniczy wzrok, w Doyle'a. – Dość żartów, przyjacielu, muszę znać prawdziwą datę.

– To jedna z niewielu rzeczy, których jestem pewien – stwierdził spokojnie Doyle. – Dzisiaj jest środa, dwudziestego szóstego września, 1810 roku. I powiada pan, że był w Grecji zaledwie cztery dni temu?

– Niech mnie diabli – wyszeptał Byron, znów siadając. – Myślę, że mówi pan poważnie! I wie pan, moje wspomnienia z choroby w Patras zdają się mieć nie więcej niż tydzień. Tak, byłem w Patras zeszłej soboty i był tam też ten łajdak Romanelli. – Uśmiechnął się szeroko. – Ach, jest w tym jakaś magia, Ashbless! Nawet... armaty, ustawione w rzędzie przez cały kontynent, nie zdołałyby mnie przenieść na swoich kulach stamtąd tutaj, tak bym mógł tu przybyć w odpowiednim czasie i stawiać wczoraj ludziom drinki. Julius Obsequens pisał o takich rzeczach w książce na temat cudów. Romanelli najwidoczniej posiadał władzę nad eterycznymi duchami!

To zaczyna być irytujące, pomyślał Doyle.

– Może – powiedział ostrożnie. – Ale jeśli Romanelli pełnił tam rolę pańskiego lekarza, to... No cóż, prawdopodobnie wciąż tam jest. Gdyż doktor Romany, który jest najwidoczniej jego bliźniaczym bratem, przebywał tu przez cały czas.

– Bliźnięta, powiada pan? W takim razie wydobędę wszystko od tego londyńskiego bliźniaka, pod muszką pistoletu, jeśli zajdzie taka konieczność. – Wstał z rozmysłem, po czym zerknął na swoje odzienie i stopy w pończochach. – Do diabła! Nie mogę wyzywać człowieka na pojedynek będąc w takim stroju. Najpierw udam się do krawca.

– Zamierza pan grozić czarnoksiężnikowi pistoletami? – spytał sarkastycznie Doyle. – Jego... eteryczne duchy wyleją panu na głowę wiadro wody, by nie zdołał pan w niego wycelować. Proponuję, byśmy wpierw złożyli wizytę temu Bractwu Anteusza. Jeśli stanowi-

li niegdyś groźbę dla doktora Romany i jego ludzi, to być może zna ją jakąś skuteczną broń przeciwko nim, prawda?

Byron pstryknął zniecierpliwiony palcami.

– Przypuszczam, że ma pan rację. Powiedział pan: „byśmy”? I pan ma z nim rachunki do wyrównania?

– Muszę się od niego czegoś dowiedzieć – odparł Doyle, wstając z miejsca. – Czegoś, czego mi nie powie... dobrowolnie.

– Doskonale. A może, czekając na moje buty i ubranie, zbadamy owo Bractwo Anteusza? Anteusz, tak? Śmiem twierdzić, że wszyscy chodzą boso po brudnych posadzkach.

To przypomniało coś Doyle'owi, ale nim zdołał na to wpaść, Byron już wcisnął się w swoje zniecierpliwione buty i otworzył drzwi.

– Idzie pan?

– Och, oczywiście – odparł Doyle, podnosząc płaszcz Bennera i mówiąc sobie w duchu: Zapamiętaj tę uwagę o stopach i brudnych posadzkach. To przypomina coś, co wydaje się ważne.

Krople potu pełzły po łysych skroniach doktora Romany niczym maleńkie kryształowe ślimaki, a jego koncentrację zakłócało fizyczne wyczerpanie, postanowił jednak raz jeszcze podjąć próbę nawiązania kontaktu z Mistrzem w Kairze. Kłopot, jak sobie uświadomił, polegał na tym, że powietrze w górnych warstwach było akurat zbyt chłonne, i prawdopodobnie na przestrzeni jakichś dwudziestu kilometrów promień wiadomości, którą przesyłał, przybierał kształt rozszerzającego się stożka i emanował energią na boki, zamiast zmierzać wprost ku świecy, płonącej zawsze w izbie Mistrza; po chwili wiadomość zatrzymała się z nagłym drżeniem, po czym wróciła z powrotem do świecy doktora Romany, wydając głośnie, zniekształcone echa, które rozwścieczały go i siały przerażenie wśród Cyganów.

Znowu przysunął lampę do czarnego zwoju knota, a ponieważ była to już dwunasta próba, poczuł z chwilą ukazania się kulistego płomienia, jak opuszcza go energia.

– Mistrzu – tchnął chrapliwym szeptem. – Słyszysz mnie? To ka Romanellogo w Anglii. Muszę bezzwłocznie z tobą mówić. Mam wiadomości, które sprawią być może, że zechcesz zmienić swe plany. Ja...

– *Zezeemee?* – jego własny głos, zniekształcony i spowolniony, powrócił do niego tak głośnie, że Romany odsunął się gwałtownie od świecy. – *Daga Ruberrbeli kadingle. Masseze...*

Nagle to idiotyczne echo zanikło, pozostawiając po sobie jedynie dźwięk przypominający swym brzmieniem odległy szum wiatru, który nasila się i cichnie, jakby słyszany zza miotanej nim zasłony. Romaneli znów nachylił się ku świecy. Nie był to sygnał świadczący o nawiązaniu kontaktu, lecz przynajmniej było to coś innego.

– Mistrzu? – spytał z nadzieją.

Odległy szum, nie przekształcając się w głos, który stawał się tylko dźwiękiem rozległej pustki, zaczął formować się w słowa.

– *Kes ku sekher ser sat* – szeptała otchłań – *tuk kemhu a pet...*

Osobliwy płomień zgasł, gdy świeca, uderzona pięścią doktora Romany, wylądowała na ścianie namiotu. Wstał, spocony i drżący, po czym wyszedł na dwór, huśtając się na swoich podszwach.

– Ryszardzie! – zawołał gniewnie. – Do diabła, gdzie jesteś? Weź swój...

– *Acai, rya* – odpowiedział Cygan, podbiegając do niego.

Doktor Romany rozejrzał się wokół. Zachodzące słońce, które rzucało długie cienie na coraz mroczniejsze wrzosowiska, było zbyt zajęte swym rychłym pograżeniem się w Tuauacie i podróżą na barce przez dwanaście godzin nocy, by spoglądać za siebie i patrzeć na wszystko, co przenika na tym polu swym światłem. Na trawie leżała drewniana konstrukcja, przypominająca fragment mostu, o długości około siedmiu metrów, a opary brandy niesione wiatrem były tak duszące, że Romany od razu się domyślił, iż jego groźby podziałyły, i że Cyganie nasączyli drewno zawartością całej beczki, nie zachowując ani kropli dla siebie.

– Kiedy to zalaliście? – spytał.

– Ledwie minutę temu, *rya* – odparł Ryszard. – Ciągnęliśmy losy, by sprawdzić, kto ma cię wezwać.

– Doskonale. – Romany potarł oczy i westchnął głęboko, starając się wyrzucić z myśli ów szept, który przed chwilą usłyszał. – Przynieś mi kubełek z węglami i lancet – powiedział w końcu. – Spróbujemy przywołać żywioły ognia.

– *Avo*.

Ryszard oddalił się czym prędzej, mrużąc głośno „czosnek”, a Romany znowu obrócił się ku słońcu, które spoczywało teraz na krawędzi mroku. Gdy jego strażnik zniknął, natychmiast powróciły do niego tamte słowa: *Kes ku sekher ser sat, tuk kemhu a pet...* „Twe kości spadną na ziemię i nie ujrzysz niebios”...

Usłyszał, jak Ryszard brnie z szelestem przez wysoką trawę, po czym wzruszył fatalistycznie ramionami i zaczął badać lewe ramię

zakrzywionymi jak szpony palcami prawej ręki, próbując znaleźć dobrą żyłę.

Mam nadzieję, że zadowolą się krwią ka, pomyślał.

Starszy mężczyzna w wyświechtanym szlafroku zmarszczył siwe brwi, po czym otworzył szeroko oczy w niemal małym grymasie gniewnego zdumienia, gdy Doyle ośmielił się ponownie napełnić swój niewielki kieliszek lichą sherry z karafki. Kiedy Byron jednak nalał sobie po raz drugi, skinął tylko głową, uśmiechnął się i powiedział:

– Proszę się poczęstować, milordzie.

– Ach, hmm, o czym to mówiliśmy...? – spytał drżącym głosem. – Tak... oprócz... aa... braterstwa, tak, propagowania... spokojnych rozrywek światłego towarzystwa, naszym głównym celem jest przeciwdziałanie... skażeniu starego, dobrego brytyjskiego pnia przez... pośredniejsze cechy.

Wysypał drżącą dłonią zbyt dużą szczyptę tabaki na nadgarstek drugiej ręki, wciągnął proszek nozdrzami, po czym, jak się przynajmniej wydawało Doyle'owi, niemal umarł w ataku kichania.

Byron mruknął coś cicho poirytowany i wychylił swoją sherry.

– Litości! Ja – *psiiik!* – bardzo przepraszam, milordzie.

Starszy człowiek ocierał chusteczką zażawione oczy.

Doyle pochylił się i wypalił zniecierpliwiony:

– I jak zamierza pan zapobiec temu, jak się pan wyraził, skażeniu, panie Moss?

Zerknął na zakurzone zasłony, tapety, obrazy i książki, które odgradzały pokoje Bractwa Anteusza od świeżego, jesiennego wiatru za ścianami. Zapach wosku świec, szkockiej tabaki, pleśniejących książek w skórzanych oprawach i starej tapicerki zaczynał przyprawić go o mdłości.

– Hę? Och, no cóż... pisujemy listy. Do gazet. Protestujemy przeciwko, hm, łagodności przepisów imigracyjnych i proponujemy ustawy, na mocy których... Cyganom, Murzynom i, hm, Irlandczykom nie wolno by przebywać w większych miastach. Drukujemy ponadto i rozprowadzamy pamflety, które – zwrócił się z przymilnym grymasem do Byrona – jak się pan domyśla, uszczuplają klubową kiesę, to znaczy skarbiec. Sponsorujemy też wystawianie moralitetów...

– Dlaczego Bractwo Anteusza? – przerwał mu Doyle, zły, że ta nikła nadzieja, jaka rozbudziła się w jego sercu, kiedy usłyszał po raz pierwszy ową nazwę, okazała się tak złudna.

– ... które... Co? Och! Tak, no cóż, uważamy, że siła Anglii, podobnie jak siła Anteusza opisana w klasycznej, by tak rzec, mitologii, opiera się na... utrzymaniu kontaktu z ziemią, z głębą... Rozumie pan, solidna, rodzimie brytyjska... hm...

– Gleba – dokończył Byron i przytaknął gwałtownie, odsuwając krzesło od stołu i wstając. – Doskonale. Dziękuję, panie Moss, to było niezwykle inspirujące. Może pan zostać, Ashbless, i dalej gromadzić owe cenne informacje, na wypadek, gdybyśmy zostali zaatakowani przez dzikich Murzynów czy Irlandczyków. Wolę w tym czasie poczekać u krawca. Tam będę jedynie znudzony.

Obrócił się na pięcie, wyraźnie tłumiąc grymas bólu z powodu zbyt ciasnych butów, i skierował się w stronę holu. Na krytych podziurawionym chodniku schodach załomotały jego nierówne kroki, po czym trzasnęły drzwi prowadzące na ulicę.

– Proszę wybaczyć – zwrócił się Doyle do osłupiałego Mossa. – Lord Byron to człowiek miotany burzliwymi uczuciami.

– Ja... No cóż, młodość – wymamrotał Moss.

– Ale niech pan posłucha – zwrócił się do niego poważnie Doyle, wychylając się na swoim krześle, ku niekłamanemu przerażeniu Mossa. – Czy pańscy ludzie nie byli kiedyś bardziej... wojowniczy? Powiedzmy jakieś sto lat temu? Czy ich działania nie były w swej konsekwencji... no nie wiem... poważniejsze od tych, jakie mógłby wywołać list do *Timesa*?

– No cóż, rzeczywiście, jak się zdaje, dochodziło do pewnych ekscesów, owszem, incydentów gwałtownej natury – potwierdził ostrożnie Moss. – Działo się to wtedy, gdy główna kwatery Bractwa mieściła się przy London Bridge, po stronie Southwark. Znajdują się w naszych archiwach wzmianki na temat dość poważnych...

– Archiwach? Czy mógłbym je przejrzeć? Widzi pan, lord Byron zauważył, iż chciałby poznać historię Bractwa przed podjęciem decyzji o wstąpieniu do niego – dodał pospiesznie, dostrzegając dziwny grymas, który zaczął wykrzywiać twarz Mossa. – W końcu, nim zdecyduje się zainwestować fortunę w organizację tego typu, chciałby przyjrzeć się jej bliżej.

– Tak? No cóż, oczywiście. To nieregulaminowe, rozumie pan – stwierdził Moss, podnosząc się ostrożnie z krzesła, wsparty na łasce. – Ale sądzę, że w tym wypadku możemy zrobić wyjątek od zasady, wedle której dostęp do archiwów mają wyłącznie członkowie Bractwa... – Wyprostowawszy się w końcu, podreptał w stronę drzwi, które znajdowały się za jego plecami. – Gdyby zechciał pan wziąć

lampę i zbliżyć się tutaj – powiedział, a wzmianka o fortunie sprawiła, że obdarzył Doyle’a mruklwym „sir”.

Drzwi otworzyły się do środka z takim jękiem, że Doyle domyślił się, iż były zamknięte od dłuższego czasu, i zrozumiał przyczynę, gdy ruszył w ślad za Mossem, a lampa oświetliła wąskie pomieszczenie.

Wypełniały je, od podłogi do sufitu, stosy oprawionych w zbudowaną skórę dzienników, które miejscami poprzewracały się, rozsypanych po wilgotnej podłodze skurczone i pożółkłe ze starości kartki. Doyle sięgnął po tom leżący na szczycie stosu, który sięgał mu jedynie do piersi. Woda deszczowa, przeciekająca zapewne do wnętrza, zmieniała wiekową oprawę w bezkształtną, twardą masę. Wyśiłki Doyle’a pobudziły do szaleństwa armię pajaków, pozostawił więc w spokoju książki i spojrzął na półkę, na której stało kilka par zmumifikowanych, wysokich butów. Uchwyciwszy jakiś błysk przy obcasie jednego z nich, przyjrzał się dokładniej i zobaczył cienki, złoty łańcuch pięciocentymetrowej długości, przyczepiony do starej jak świat skóry. Okazało się, że wszystkie buty są zaopatrzone w takie łańcuchy, co prawda w większości miedziane i pokryte zielonym nalotem.

– Skąd te łańcuchy?

– Hm? Och, to... taka tradycja – podczas pełnienia oficjalnych funkcji nosimy łańcuchy przyczepione do prawego obcasa. Nie wiem, skąd się ów obyczaj wziął, to jedna z tych osobliwości, jak na przykład guziki przy mankietach, których nigdy nie...

– Co pan wie o początkach tego obyczaju? – warknął Doyle, gdyż zdawał się on, podobnie jak uwaga Byrona o bosych stopach na brudnej podłodze, coś mu przypominać. – Proszę pomyśleć!

– Widzi pan, sir... nie ma potrzeby... przybierać tak gniewnego tonu... ale zobaczmy. Myślę, że członkowie bractwa nosili te łańcuchy przy każdej okazji podczas panowania Karola Drugiego... Ach, oczywiście, nie przytwierdzali ich jedynie do obcasów, jak czynią to teraz; łańcuchy w rzeczywistości przechodziły przez dziurę w bucie, następnie przez skarpetę, a w końcu owijały się wokół kostki. Bóg jeden wie dlaczego. W ciągu lat obyczaj się uprościł... Chodziło o otarcie skóry...

Doyle zabrał się za jeden ze stosów książek, tych bardziej wysuszonych i starszych z wyglądu. Stwierdził, że są poukładane z grubsza chronologicznie, według wzoru przypominającego warstwy geologiczne, i że zapiski w dziennikach z osiemnastego wieku nie relacjonowały niczego ponad coraz mniej istotne sprawy natury

towarzyskiej: kolacja, na której był oczekiwany Samuel Johnson, lecz się nie pojawił, skarga na sfałszowane wina, protest przeciwko złotym i srebrnym guzikom, ozdobom męskich kapeluszy, lecz gdy doposał się do górnych tomów siedemnastego wieku, zapiski stały się coraz rzadsze i bardziej tajemnicze, przybierając na ogół postać skrawków papieru wklejonych lub powkładanych do książek. Nie był w stanie pojąć treści tych dawnych kronik, na które składały się rzędy jakichś pozycji, sporządzone szyfrem, albo mapy pełne niezrozumiałych skrótów, oznaczających nazwy ulic; lecz w końcu znalazł tom, który, jak się zdawało, był w całości poświęcony wydarzeniom jednej nocy, przypadającej czwartego lutego 1648 roku. Skrawki papieru pokrywało pospieszne pismo, a język był zrozumiały, jakby komuś zabrakło czasu na szyfrowanie.

Ich autorzy jednakże zdawali się z góry zakładać, że czytelnik będzie zorientowany w ogólnej sytuacji, w związku z czym zainteresują go głównie szczegóły.

„... Po czym ruszyliśmy za nim i za jego piekielną świtą nazad, na skos po lodzie, od kwater przy Pork-Chopp Lane do Southwark – czytał Doyle na jednym ze skrawków papieru – nasza kompania chyżo w Łodzi z kółmi, pilotowana przez B. i naszego bezimien’go Informatora, i zważaliśmy pilnie, by uniknąć jawnego konfliktu, będąc na wodzie, jeno probowaliśmy wepchnąć ich na stały ład... jako że Konnexia, ma się rozumieć, niczym dobrym na zamarznętej wodzie nie była... po czym wyniknęły Kłopoty”. – Następny fragment zaczynał się od słów: „... roztrzaskana ze szczętem, a przywódca ich ubity kulą pistoletową w twarz...” Bliżej środka książki znajdował się zapisek, tym razem sporządzony na jednej ze stron: „Jakośmy już mieli zasiąść do spożycia stokfisz i wybornej wołowiny, wpadł do izby, po czym z frasunkiem odciągnął nas od wieczerzy, która wspinała być miała”.

Więc co się wydarzyło, chłopaki?, zastanawiał się Doyle. Owa piekielna świta brzmiała złowieszczo... I co piszący rozumiał przez ową konnxię? Przekartkował książkę do samego końca, w odruchu bezradności, a wtedy wpadła mu w oko bardzo krótka notatka, napisana bez wątpienia na wyklejce.

Przeczytał ją i po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęły się jego przygody i nieszczęścia, naprawdę zwątpił w swą poczytalność.

Treść notatki była następująca: IEHAY, ENDANBRAY. PUIESZ-KAAY? – i na dodatek była sporządzona jego charakterem pisma, choć atrament był wyblakły ze starości jak każdy inny zapisek w tej księdze.

Doznawszy nagle zawrotu głowy, usiadł na stercie książek, które pod jego ciężarem rozpadły się w pył, przez co wylądował plecami na innej stercie, która przywalała go, grzebiąc w wilgotnych, rozpadających się pergaminach i zasypując deszczem pajaków i robactwa.

Przerażony Moss po prostu uciekł, gdy wrzeszczący coś bez związku olbrzym, pokryty teraz robactwem i skrawkami papieru, powstał z tego pobojuwiska, niczym piąty jeździec Apokalipsy ucieleśniający plagę rozkładu.

Człowiek, który nie wiedział w tym momencie, czy jest Doyle'em, czy Ashblessem, czy też jakimś od dawna martwym członkiem Bractwa Anteusza podniósł się, po czym, wciąż się drąc i oczyszczając brodę z robactwa, wybiegł z archiwum i mijając salon skierował się do przedpokoju. Na ścianie wisiał zegar z kukułką, i człowiek ten, pod wpływem impulsu, bez zastanowienia, chwycił jeden z wiszących łańcuchów wahadła, szarpnął za ciężarek w kształcie szyszki i przeciągając łańcuch przez mechanizmy zegara, wyrwał go. Potknął się na schodach, ściskając w dłoni zdobycz i pozostawiając za sobą zegar, który zatrzymał się już na zawsze.

Od pogrążonej w ogniu platformy bił intensywny żar, więc doktor Romany odwrócił się i cofnął o kilka kroków. Poczuł na spoconej twarzy chłodny powiew nocnego wiatru. Zaciskał i otwierał na przemian dłonie, krzywiąc się z obrzydzeniem na widok lepkiej krwi, która spływała mu po ramieniu, ilekroć nacinał je lancetem. Westchnął głęboko, żałując, że nie może usiąść na trawie. W tej chwili odpoczynek na ziemi wydawał się najdroższą z niezliczonych rzeczy, których musiał się wyrzec, by dokonać owego czarnoksięskiego aktu.

Znużony, wciąż stojąc plecami do kręgu czerwonego światła rzuconego przez ogień i wpatrzony w ciemność, z którą był złączony swym długim cieniem, wyjął z kieszeni poplamiony lancet i oblepioną krwią miseczkę, by podjąć jeszcze jedną próbę.

Nim zdołał jednak nakłuć umęczoną żyłę w swym ramieniu, za jego plecami odezwał się jakiś głos, przypominający śpiewne pociągnięcie smyczkiem po strunie skrzypiec.

- Widzę buty. – Pobrzmiewała w tych słowach radosna dzikość.
- Ja też – odpowiedział inny głos, podobny do pierwszego.

Romany westchnął, dziękując martwym bogom, po czym zdobył się na odwagę, której wymagał zawsze niepokojący widok jagów, i odwrócił się.

Przebudzone słupy ognia przybrały z grubsza kształt ludzkich postaci, podobnych na pierwszy rzut oka do płonących gigantów, które machają nad głową rękami.

– Buty stoją teraz do nas przodem – ponad trzaskającym ogniem zadźwięczał jeszcze jeden głos. – Wierzę, iż należą one do tego, który nas przywołał, a którego nie widzę.

Romany obliział wargi, zaniepokojony jak zwykle, ilekroć żywoły nie mogły go dostrzec.

– Buty te naprawdę należą do tego, który was przywołał – odparł surowo.

– Słyszysz szczekającego psa – zaśpiewał jeden z gigantów ognia.

– Ach tak, psa? – spytał Romany, tym razem zagniewany. – A więc doskonale. Wszak pies nie mógłby odsłonić tej wspaniałej zabawki, która kryje się pod zasłoną za moimi plecami, nieprawda?

– Masz zabawkę? Jak ona działa?

– O co prosicie psa? – spytał ironicznie Romany.

Przez kilka chwil jasne postacie machały nad głową rękami, nie odzywając się, aż w końcu jedna z nich przemówiła:

– Prosimy o wybaczenie, panie czarnoksiężniku. Pokaż nam zabawkę.

– Pokażę ją wam – powiedział Romany, zbliżając się rozhuśtanym krokiem do kształtu przykrytego całunem. – Lecz nie uruchomię jej, dopóki mi czegoś nie obiecacie. – Ściągnął zasłonę z wioski bawarskiej, zadowolony, że za okienkami miniaturowych domków wciąż płoną świece. – Jak widzicie – powiedział tonem człowieka przekonanego, że zabawka będzie funkcjonować, i że jagowie dotrzymają każdej obietnicy, jaką tylko uczynią – to bawarska wioska. Kiedy puści się ją w ruch, wszystkie te ludziki, zaczną chodzić w kółko, a sanki ruszą z miejsca. Konie, które są do nich zaprzężone, naprawdę zginają nogi! A dziewczęta tańczą w takt, hm, radosnej melodii akordeonu.

Wysokie płomienie nachyliły się ku niemu, jakby pod uderzeniem silnego wiatru, tracąc ludzkie kształty – znak, że były podniecone.

– W-w-właaacz... to – nakazał, zacinając się, jeden z nich.

Doktor Romany sięgnął bardzo ostrożnie do dźwigni.

– Pozwolę wam patrzeć, jak to działa, tylko krótką chwilę – rzekł. – A potem porozmawiamy o tym, czego od was chcę.

Uruchomił zabawkę.

Maszyneria wydała przytłumiony odgłos, po czym rozległy się dźwięki radosnej muzyki, podczas gdy maleńkie figurki tańczyły,

maszerowały i chodziły wkoło. Wyłączył ją i zerknął niepewnie na jagów.

Byli teraz kolumnami szalejącego płomienia, strzelającymi na wszystkie strony ogniem.

– Yaaah! – grzmiało kilku z nich. – Yaaah! Yaaah!

– Wyłączyłem to! – krzyknął Romany. – Słuchajcie, wyłączyłem to, zatrzymało się! Chcecie, bym znów to uruchomił?

Płomienie stopniowo uspokoiły się i znów przybrały niewyraźne, ludzkie kształty.

– Włącz to jeszcze raz – nakazał jeden z nich.

– Gdy uczynicie to, czego chcę – odparł doktor Romany, ocierając rękawem spocone czoło. – Wtedy ją uruchomię.

– Czego chcesz?

– Chcę, byście zjawili się wszyscy jutrzejszej nocy w Londynie i wspomnieli tę zabawkę wyobrażając sobie, jakby to było wspaniałe, gdybyście mogli patrzeć na nią bez końca, ile tylko zapragniecie. Krew i płonąca brandy będą waszym drogowskazem

– Londyn? Prosiłeś nas już o to kiedyś.

– Tak, w 1666, zgadza się – przytaknął Romany. – Ale to nie byłam wówczas ja. To był Amenofis F...

– To była para butów. Jak mogliśmy odróżnić?

– Sądzę, że to nieistotne – mruknął doktor Romany, nieco zbity z tropu. – Ale ma to się odbyć jutrzejszej nocy, rozumiecie? Jeśli zrobicie to w niewłaściwym czasie lub w niewłaściwym miejscu, nie dostaniecie tej zabawki, ani nawet jej nie zobaczycie.

Płomienie kołysały się niespokojnie; jagowie bywali niepunktualni.

– N-nigdy nie zobaczymy? – zaśpiewał jeden, głosem jednocześnie błagalnym i groźnym.

– Nigdy – zapewnił go Romany.

– Chcemy zobaczyć, jak zabawka działa.

– Doskonale. Więc gdy tylko ujrzycie ognie drogowskazu, nadejdźcie szybko i ożywcie je. Chcę, by ogarnęło was wtedy szaleństwo.

– Ogarnie nas szaleństwo – odpowiedział jak echo jeden z jagów tonem pełnym satysfakcji.

Romany przygarbił się z ulgą, gdyż najtrudniejsze było już za nim. Teraz należało tylko czekać cierpliwie, aż jagowie odejdą, a ogień znów stanie się tylko ogniem. Słyszał było jedynie furkot płomieni, czasem gwałtowny trzask pękających desek, a także, gdy wiatr zmienił kierunek, skrzekliwą mowę żab.

Nagle, gdzieś z mrocznych peryferii obozu, dobiegł krzyk:

– Gdzie się chowasz, Romany, czy jak się tam zwiesz? Wystąp naprzód, ty psi synu, jeśli cena, jaką musiałeś zapłacić za swoje czarnoksiężstwo nie uczyniła z ciebie tchórzliwego eunucha!

– Yaaaah! – zawołał jeden z jagów, rozpalając się jednocześnie i tracąc ludzkie kształty. – Buty to tchórzliwy eunuch!

W górę wystrzelił falujący płomień, wydając jakby grzmiący odgłos śmiechu.

– Ho, ho – zawołał drugi. – Młodzieniec o kręconych włosach chce zabić naszego gospodarza! Czyż nie wyczuwacie jego gniewu?

– Może uruchomi nam zabawkę! – wykrzyknął radośnie inny, zatracając w przypiływie nagłego podniecenia wszelką rozpoznawalną formę.

Doktor Romany rzucił pełne przerażenia spojrzenie ku niewidocznemu intruzowi, świadomy, że ogniste żywioły lada moment wymkną się spod kontroli, co będzie miało straszliwe skutki.

– Ryszardzie – wrzasnął. – Wilburze! Do diabła, złapcie tego człowieka i uczście go!

– Avo, rya – odezwał się z ciemności płaczący głos niezadowolonego Cygana.

– Jeśli uspokoiacie się – zagrmiał Romany na jagów, którzy już zaczęli ciskać wkoło ognistymi piorunami – włączę zabawkę jeszcze raz.

Prócz strachu, Romany odczuwał też złość, nie tyle wywołaną pojawieniem się intruza, ale faktem, że jagowie go widzieli i że mogli nawet, do pewnego stopnia, czytać w jego myślach.

– Czekajcie chwilę – nakazał jeden ze słupów ognia pozostałym. – Buty chcą znów uruchomić zabawkę.

Płomień powoli i z niechęcią przybrały ludzką formę.

Od strony obrzeży obozowiska nie dobiegały już żadne krzyki, więc Romany po krótkiej chwili odprężył się nieco. Znowu obrócił się ku wiosce bawarskiej, odzyskując pewność siebie.

Gdy Romany sięgał ręką do głównej dźwigni, nadbiegł Ryszard. Stary Cygan, będąc tak blisko jagów, obnażył w strachu zęby, lecz podszedł wprost do doktora i szepnął mu do ucha:

– T-ten człowiek, co krzyczał, *rya*, to był twój *gorgio* lord, on wrócił do domu wcześniej.

Romany przygarbił się, a jego chwiejna pewność siebie nagle się ulotniła.

– Byron? – wyszeptał, chcąc się do końca upewnić o porażce.

– Avo, Byron – mruknął szybko Ryszard. – Jest teraz inaczej ubrany i ma kasetkę z dwoma pistoletami. Chce się z tobą pojedynkować, ale go związaliśmy.

Cygan skłonił się i ruszył szaleńczym biegiem w ciemność, w stronę namiotów.

Wszystko stracone, pomyślał oszołomiony Romany, kierując od ruchowo dłoń ku dźwigni uruchamiającej zabawkę. Musiał spotkać kogoś, kto zna prawdziwego Byrona; a ktokolwiek go obudził, uwolnił go jednocześnie spod mojej władzy.

Przesunął dźwignię i przytrzymał przez kilka chwil, podczas gdy ludziki się poruszały, a jazgotliwa muzyka, nie pasująca do otoczenia, niosła się ponad mrocznymi polami. Jagowie znów zaczęli falować i huczeć. Romany wyłączył maszynię.

– Zmieniłem zdanie! – krzyknął. – Zdecydowałem, że zabawkę dostaniecie już dziś wieczór, zapomnijcie o Londynie. – Przypomniał sobie ze smutkiem, jak Mistrz mówił, że samo spalenie Londynu, bez jednoczesnego zniszczenia brytyjskiej waluty i dokonania królobójstwa, byłoby w najlepszym razie nieskutecznym ciosem, a także zmarnowaniem cennych przygotowań. – Poczekajcie, aż moi ludzie załadują to na wóz i wywiozą przez wrzosowisko, tam gdzie zaczyna się las, żebyście mogli nacieszyć się waszą zabawką. Będziecie mieć... trochę więcej miejsca.

Mówił matowym głosem, w którym wyczuwało się rozczarowanie, choć jagowie wystrzelali płomieniami w górę, niczym wybuchające beczki prochu.

– Tu, w obozie, macie być spokojni – nakazał im. – Poczekajcie, aż dotrzecie do lasu, dopiero wtedy poszalejecie. Słuchajcie mnie, do diabła, albo nie dostaniecie zabawki!

Pozostaje przynajmniej możliwość podróży w czasie, którą warto zbadać, pomyślał odwracając się, by poszukać Ryszarda i Wilbura. Przynajmniej nie muszą meldować o całkowitej klęsce.

– Będą na noc zamknięte – powiedział woźnica po raz trzeci. – Jestem pewien. Ale posłuchaj pan, mogę pana zawieźć do pewnej damy mieszkającej przy Long Alley, która czyta z dłoni.

– Nie, dziękuję – odparł Doyle, otwierając małe drzwiczki do rożki. Wyprostował swą wysoką postać i postawił ostrożnie stopę na ziemi, ponieważ pijany woźnica nie zaciągnął hamulca. W powietrzu panował chłód, więc widok płomieni migoczących w oddali, gdzieś za pogrążonymi w mroku namiotami Cyganów, osładzał trochę myśl o wizycie w obozowisku.

– Najlepiej jak poczekam, sir – powiedział woźnica. – Stąd jest kawał drogi na Fleet Street, a tu nie znajdzie pan dorożki.

Koń grzebał niecierpliwie kopytem w ziemi.

– Nie, nie, jedź, wróć na piechotę.

– Jeśli się pan upiera. A zatem dobranoc.

Woźnica smagnął długim batem i powóz zakołysał się, po czym odjechał. Kilka sekund później Doyle posłyszał stukot kół na bruku Hackney Road, gdy dorożka ruszyła ku przyćmionym światłom, w kierunku południowo-zachodnim, tam gdzie leżało miasto.

W końcu dotarły do niego od strony obozu doktora Romany niewyraźne głosy. Przypuszczam, że Byron już tam jest, pomyślał. Krawiec mówił, że wyszedł dobre pół godziny wcześniej i że po założeniu butów i ubrania spytał tylko, gdzie jest najbliższy sklep z bronią; nim Doyle tam dotarł, Byron zdążył już ruszyć dalej, nabywszy wprawdzie za złote suwereny, które dostał od doktora, komplet pistoletów pojedynkowych. Potem Doyle musiał jeszcze zaczepić policjanta i spytać go, gdzie obecnie biwakują Cyganie doktora Romany, gdy tymczasem Byron znalazł już drogę.

Przeklęty głupiec, pomyślał Doyle. Przecież mu mówiłem, że pistolety nie robią wrażenia na takich jak Romany.

Zrobił dwa kroki w stronę rysujących się na tle ognia namiotów, po czym przystanął. Co, mówiąc szczerze, masz nadzieję tu zdziałać? – spytał samego siebie. – Ocalić Byrona, jeśli jeszcze żyje? Od tego jest policja. Pójść na jakiś układ z doktorem Romany? No dobrze; warto by poznać lokalizację szczeliny w 1814 roku, przez którą podwładni Darrowa skoczą z powrotem do 1983, a wtedy mógłbym znaleźć się tam, podbiec i chwycić jednego z nich za rękę, nim szczelina się zamknie. Jeśli Romany jednak sądzi, że wiem cokolwiek o tym, na czym mu zależy, to mnie uwięzi, zamiast pertraktować.

Doyle wyprostował ramiona, złączył dłonie i ścisnął mocno, czując, jak mięśnie naprężają mu się pod koszulą. Może tym razem, pomyślał z nieśmiałą satysfakcją, nie zdoła tak łatwo mnie pokonać. Ciekawe, jak Joe Psia Twarz funkcjonuje w moim ciele. Chyba niespecjalnie przejmuję się łysieniem.

Znów poczuł, że za chwilę dozna zawrotu głowy, potrząsnął więc nią energicznie, odetchnął kilka razy chłodnym, wieczornym powietrzem i ruszył zamaszystym krokiem przez łąkę. Podkradnąc się i zrobię rozeznanie, postanowił. Powęszę trochę. Nie muszę nawet zbliżyć się do namiotów.

Przyszła mu do głowy nagle pewna myśl, więc przystanął. Po chwili uśmiechnął się z dezaprobatą i ruszył dalej, lecz w chwilę później znów się zatrzymał. A dlaczego by nie? – spytał sam siebie. Mało to zwariowanych rzeczy okazuje się prawdą?

Usiadł na trawie, ściągnął prawy but, po czym szczyrykiem Joego Psiej Twarzy czy Bennera wyciął otwór wzdłuż szwu nad obcasem. Następnie zdjął skarpetkę, wydobyl z kieszeni łańcuch od zegara, obwiązał jeden koniec wokół nagiej kostki i nałożył but z powrotem. Posługując się ostrzem noża, bez trudu przeciągnął przez dziurę w bucie koniec łańcucha, który włókł się teraz za nim jakieś pół metra. Wstał i znów ruszył w stronę namiotów.

Jagowie zajaśnili i nachylili się ku południu, w stronę namiotów.

– Spójrzcie na tego zagubionego człowieka – rzekł śpiewnie jeden z nich. – Przychodzi tutaj, nie wiedząc, czego chce.

– Ani nawet kim jest – dorzucił drugi z żywym zainteresowaniem.

Doktor Romany zerknął w tamtą stronę, ale dostrzegał tylko niewyraźne sylwetki Ryszarda i Wilbura, którzy zaprzęgali do wozu konia. To nie w ich myślach jagowie czytają, pomyślał. To musi być ka Byrona, jego umysł pełen jest sprzecznych wspomnień i poleceń, emanuje zagubieniem. Jeśli jego odczucia nadal będą pobudzać jagów, nakazę Wilburowi ogłuszyć go albo nawet zabić; nie jest już do niczego potrzebny.

Doyle czuł, jakby w jego umysł wnikały jasne, migotliwe ostrza.

Znów potrząsnął głową, próbując rozjaśnić myśli. Co ja teraz robię? – pomyślał. – Och, naturalnie, podkradam się pod obóz, by zobaczyć, gdzie jest wspaniała zabawka... nie! Gdzie są Byron i Romany. Dlaczego, zastanawiał się z niepokojem, pomyślałem właśnie teraz o jakiejś zabawce? O wspaniale skomplikowanej zabawce z małutkimi ludzikami i końmi biegnącymi zmyślnie po miniaturowych ścieżkach... – Jego serce tłukło się z podniecenia, pragnął wyrzucić w górę ogromne kule ognia, które będą jarzyć się nad ciemnymi polami...

– Yaaaah! – rozległ się przed nim niesamowity, grzmiący okrzyk i jednocześnie za namiotami rozbłysły płomienie.

Gdzieś w oddali usłyszał normalny głos, który wołał:

– Ryszardzie! Pospiesz się z tym!

Cokolwiek się tu dzieje, pomyślał Doyle, przyciąga niewątpliwie powszechną uwagę. Pobiegnął przed siebie, nisko pochylony, i po kilku chwilach już się schował za dużym namiotem, stwierdzając z zadowoleniem, że w ogóle nie jest zdyszany.

Jego umysł znów owionęło technienie jakiejś obcej ingerencji i Doyle usłyszał dziki, grzmiący głos:

– Jego nowe ciało porusza się lepiej!

Mój Boże, pomyślał Doyle, któremu nagle spocły się dłonie, coś czyta w moich myślach!

– Mniejsza o niego! – krzyczał głos, który, jak Doyle zdążył się już zorientować, był ludzki, w przeciwieństwie do tych grzmiących. – Jest związany! Jeśli chcecie swojej zabawki, musicie się uspokoić!

– Buty to żadna zabawa – zaśpiewał inny z nieludzkich głosów.

Muszę się stąd wydostać, pomyślał Doyle, prostując się i zwracając ku drodze.

– Ryszardzie! – odezwał się głos, który, jak Doyle teraz podejrzewał, należał do doktora Romany. – Powiedz Wilburowi, żeby pozostał przy tym... przy Byronie i żeby był gotów go zabić, kiedy dam znak.

Doyle zawahał się. Nic mu nie jestem winien, pomyślał. No ale postawił mi lunch i dał kilka suwerenów... Do diabła, i tak należały do doktora Romany, po prawdzie... Mimo to, wcale nie musiał mi pomagać... Ale go ostrzegąłem, żeby tu nie wracał... Och, nic mu nie będzie, nie umrze do 1824... To znaczy, według historii, którą znam, bo oczywiście w tej historii Byrona nie było w Londynie w 1810... No dobra, myślę, że mogę przynajmniej mieć wszystko na oku.

Kilka metrów na prawo rósł bujny, stary kasztanowiec, służący za cumę dla kilku lin namiotowych, i Doyle, na palcach, zbliżył się szybko do niego i ukrył za pniem. Spojrzał w górę i dostrzegł gałąź, która, jak sądził, zdoła go utrzymać, podskoczył więc i chwycił się jej.

Łańcuch, który ciągnął się za jego prawym obcasem, zawisł w powietrzu, nie dotykając ziemi.

– On zniknął! – wykrzyknął jeden z jagów skrzeczącym głosem.

– Wilbur! – wrzasnął Romany. – Czy Byron wciąż tam jest, i to przytomny?

– *Avo, rya!*

Więc o czym ten jag gada, zastanawiał się Romany. Czy mógł tu kręcić się jakiś obcy? Jeśli tak, to chyba już sobie poszedł.

Ryszard podjechał ostrożnie wozem do zabawki, po czym zsiadł z kozła i podszedł do *village Bavaois*.

– Dasz radę sam to położyć na wozie? – warknął podenerwowany Romany.

– N-nie sędzę, *rya* – zająknął się Ryszard, nie patrząc na niespokojne sylwetki ogniowych gigantów.

– Musimy ich natychmiast wyprowadzić z obozu. Wilbur! Zabij Byrona, a potem przyjdź tutaj!

Ryszard skrzywił się. Zabił w ciągu swego życia kilku ludzi, ale zawsze podczas zaciętych pojedynków, w których szanse były z grubsza wyrównane, i tylko myśl, że sam zostałby zabity, gdyby się cofnął, pomagała mu przetrwać godziny straszliwych dreszczy i mdłości, które nawiedzały go nieodmiennie po walce; jednak myśl o bezlitosnym poderżnięciu gardła skępowanemu człowiekowi czy nawet o biernym przypatrywaniu się temu była nie do zniesienia.

– Zaczekaj, Wilbur! – krzyknął, a gdy Romany obrócił się ku niemu gniewnie, wyciągnął z rozmysłem dłoń i przesunął dźwignię *village Bavaois* do przodu – po czym oderwał ją.

Gdy tylko Doyle usłyszał, jak Romany wydaje rozkaz zabicia Byrona, podczołgał się na niemal poziomo rosnącej gałęzi, mając nadzieję dojrzeć owego Wilbura i spuścić coś na niego z góry, jednakże nie nauczył się jeszcze uwzględniać większej wagi swego nowego ciała; gałąź, która wygięłaby się jedynie pod jego dawną postać, teraz naprężyła się jak łuk, wydała jęk, który przeszedł stopniowo w zgrzyt, po czym z nagłym trzaskiem oderwała się od pnia.

Ciężki konar wraz ze swoim uwieszonym ciężarem runął na dach namiotu, niszcząc pomieszczenie, które służyło za cygańską kuchnię; głośny brzęk czajników, garnków, łyżek i patelni zmieszał się z rozdzierającym, straszliwym odgłosem łupnięcia, a po chwili falujące, zapadające się z wolna płótno namiotu rozjaśnił od wewnątrz ogień.

Doyle stoczył się z namiotu na trawę, łądując na kolanach i dłoniach. Wysokie, czerwone słupy za obozowiskiem falowały i huczały niczym płonący skład benzyny. Doyle, siedząc jeszcze na drzewie, zauważył ludzki kształt języków ognia, doszedł jednak do wniosku, że wszystko to jest grą jego wyobraźni.

Zerwał się na równe nogi, gotów pobiec w jakimkolwiek kierunku, i gdy tylko dotknął ziemi stopą z łańcuchem, znowu poczuł w swoim umyśle ciekawskie ostrza i usłyszał jeden z nieludzkich głosów:

– Znów się pojawił!
– Witaj – odezwał się podobny głos. – Brendan Doyle! Chodź zobaczyć naszą zabawkę!

– Doyle tu jest? – do jego uszu dotarł krzyk Romany’ego.

– Yaaah! – zagrzmiało coś ogłuszającym basem, a jedna z poziomych kolumn ognia rozciągnęła się na nieprawdopodobną odległość trzydziestu metrów i zamieniła jeden z namiotów w pochodnię. Doyle’owi zdawało się, że ponad krzykiem Cyganów, którzy wybiegli z namiotu, słyszy wesołą muzykę brzękliwego pianina i akordeonu.

Podskakując na swoich sprężynowanych butach doktor Romany oddalił się od ognia, rozglądając się wokół przerażonym wzrokiem, lecz zatrzymał się gwałtownie, ujrawszy Doyle’a, który stał obok płonącego namiotu-kuchni.

– A ty kto jesteś? – sapnął chrapliwie. Po chwili warknął: – Mniejsza z tym. – Zdyszany, lśniący od potu czarnoksiężnik wyciągnął w stronę większego płomienia wyprostowane palce jednej dłoni, jakby czerpiąc stamtąd energię, po czym wymierzył wskazujący palec drugiej w Doyle’a. – Umieraj – rozkazał.

Doyle poczuł, jak uderza w niego lodowaty deszcz, ścinając mu mrozem serce i żołądek, lecz w chwilę później przejmująco zimne lodowate drobinki spłynęły strumieniem po jego prawej nodze, aż do stopy, przez którą wsiąkły w ziemię.

Romany wpatrywał się w niego zdumiony.

– Kim, u diabła, jesteś? – wymamrotał, cofając się. Sięgnął do pasa i wyszarpnął pistolet skałkowy o długiej lufie.

Ciało Doyle’a zdawało się reagować bezwiednie. Wskoczył w górę, prostując gwałtownie nogę i uderzając silnie obcasem w pierś doktora; czarnoksiężnik cofnął się i upadł na plecy jakieś dwa metry dalej. Doyle, będąc jeszcze nad ziemią, wyprostował się i wylądował na ugiętych nogach, łapiąc jednocześnie lewą dłonią pistolet, który wyleciał w górę.

– Rya? – dobiegł zza jego pleców jakiś głos. – Mam zabić Byrona?

Doyle odwrócił się na pięcie i zobaczył Cygana z obnażonym nożem, który stał przy wejściu do najbliższego namiotu i rozglądał się wokół. Mężczyzna dostrzegł w końcu czarnoksiężnika, który toczył się i przewracał po ziemi, po czym odwrócił się szybko i zniknął w namiocie.

Doyle pokonał dwoma susami dystans dzielący go od namiotu i szarpnął jego połę, by ujrzeć, jak Cygan przykładając ostrze noża do szyi Byrona, który leżał na pryczy skrepowany i zakneblowany. Ręka Doyle’a pod wpływem odrzutu broni podskoczyła w górę, nim

zdecydował się w ogóle strzelić, i zobaczył przez chmurę dymu Cygana z raną w skroni, który przewracał się na tylną ścianę namiotu.

Czując jeszcze, jak mu w uszach dźwięczy huk wystrzału, Doyle skoczył do przodu, wyrwał z martwej dłoni nóż i pochylając się przeciął sznur kępujący kostki i nadgarstki Byrona.

Młody lord sięgnął ręką do twarzy i wyciągnął sobie knebel z ust.

– Ashbless, zawdzięczam ci życie...

– Trzymaj – powiedział Doyle, wciskając Byronowi w dłoń rękę jeść noża. – Uważaj, dzisiejszej nocy dzieją się tu przedziwne rzeczy.

Doyle wypadł z namiotu, mając nadzieję złapać doktora Romany, gdy ten ciągle będzie tarzać się po ziemi, bezradny i pozbawiony pomocy, lecz czarnoksiężnik zniknął.

Większość namiotów już płonąła. Doyle zawahał się, nie bardzo wiedząc, w którą stronę najbezpieczniej uciekać. Po chwili zaczął wyteżać wzrok, by przyjrzeć się dokładnie temu, na co, jak mu się zdawało, patrzył. Może był to skrót perspektywiczny, lecz zobaczył trzech płonących ludzi, każdy o wzroście około dziesięciu metrów, którzy biegali i odbijali się od ziemi energicznie, nawet radośnie, między namiotami a drogą. W chwilę później przemknęło szybko niczym komety dwóch następnych.

Trzeba się stąd wynosić, i to czym prędzej, pomyślał Doyle, ale gdy zwrócił się w stronę północnego krańca obozu, ujrzał, że i tam pojawili się ognioi biegacze. Mój Boże, czymkolwiek są, okrążają cały obóz!

Znów rzucił się ku południowej stronie, by po chwili pojąć jasno dwie rzeczy: było ich teraz zbyt wielu i biegli zbyt szybko, by cokolwiek mógł liczyć na to, że przedrze się przez ten ognisty krąg; po drugie, płonące koło zmniejszało się z każdą sekundą.

To Romany przywołał te istoty, pomyślał zdesperowany Doyle, i jeśli okaże się, że nie jest w stanie odesłać ich tam, skąd przybyły, to nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie próbowałem skrócić mu ręki albo karku. Musi być w jednym z tych namiotów.

Doyle ruszył biegiem w kierunku najbliższego, podczas gdy jego cień rozpadał się na kawałki i wirował wokół jego postaci.

Rozdział 9

*Wyszliby może zwycięzcami z burzy
Synowie ziemi; weź nas i staw na dnie,
Gdzie się Kocytu toń od chłodu mruży**

Wergiliusz zwracający się do
Anteusza
w *Piekle* Dantego

Osiągnięcie wymaganej energii nie nastarczy problemu, myślał doktor Romany, garbiąc się nad stertą papierów na biurku i starając się nie słyszeć przerażonych Cyganów, którym nie udało się uciec, i huczącej ściany ognia, która, wymknąwszy się spod kontroli, otaczała obóz. Dzięki kąтови, pod jakim ułożyłem szklane pałeczki, obliczę, jak daleko zdołam skoczyć, rozumował. Lecz jak uda mi się wrócić? Potrzebuję ożywionego talizmanu, jako łącznika z tym czasem... Kawałek zielonego łupka skalnego z wygrawerowanymi współrzędnymi obecnej chwili byłby doskonały... – zerknął zamyślony na kamienny posążek Anubisa, służący za przycisk do papierów.

Ponad pełnymi przerażenia krzykami dochodzącymi z zewnątrz słyhać było huk w sąsiednim namiocie i głos, który wołał:

– Gdzie jest Romany, do diabła! Gdzie go ukryliście?

To musi być ten obrośnięty olbrzym, który był jakimś cudem odporny na mój lodowy cios, pomyślał Romany. Ściga mnie. Nie ma czasu na grawerowanie kamieni. Będę musiał zrobić to na kawałku papieru i ufać, że odrobina mojej krwi, trochę większa odrobina, ożywi go.

* Przekład E. Porębowicz.

Skrobiać pospiesznie na białym świstku hieroglify Starego Państwa, zastanawiał się, kim może być ten brodac. I gdzie znajdował się Brendan Doyle?

Pióro znieruchomiało w powietrzu, gdy przyszła mu do głowy prawdopodobna odpowiedź. Ależ oczywiście, mogę się założyć, że tak właśnie jest, pomyślał niemal ze zgrozą. Oczywiście, czyż jeden z jagów nie powiedział: Jego nowe ciało porusza się lepiej? Ale wydawał się taki bezradny, gdy go schwytałem. Czy wszystko było tylko grą? Na Seta, musiało tak być! Każdy, kto potrafi zmusić Amenofisa Fikee, by przeniósł go do doskonalszego ciała, pozbawionego trucizny, i kto nie tylko potrafi przeżyć mój najskuteczniejszy lodo-
wy atak, ale w chwilę później obezwładnić mnie fizycznie, nie jest... no cóż, nie jest bezradny.

Nadal rysując hieroglify, zastanawiał się, w jaki czas skoczyć. Gdzieś w przyszłość? Nie, nie w sytuacji, gdy oznaczało to wpisanie dzisiejszej klęski na trwałe w historię. Lepiej skoczyć w przeszłość i tak zaaranżować wszystko, by w ogóle nie doszło do sytuacji, której miał zaradzić ów poroniony plan. Kiedy to tak naprawdę zaczęły się kłopoty Mistrza z Anglią? Z pewnością na długo przed bitwą morską w porcie Abu Kir w 1798, po której wszyscy zobaczyli, że przeznaczeniem Brytyjczyków jest sprawowanie kontroli nad Egiptem; nawet gdyby owa bitwa zakończyła się inaczej, a francuski generał Kleber nie został zamordowany, Anglia do tej pory i tak już by odgrywała pierwszoplanową rolę. Nie, jeżeli zamierzał cofnąć się w przeszłość, to równie dobrze mógł cofnąć się do czasu, gdy Anglicy po raz pierwszy postawili stopę na kontynencie afrykańskim. To byłoby w... około 1660, kiedy Karol II został osadzony na tronie angielskim i ożenił się z portugalską księżniczką Katarzyną Braganza, której posag stanowiło, między innymi, miasto Tanger.

Romany dokonał kilku szybkich obliczeń, po chwili skrzywił się, uświadamiając sobie, że nie ma żadnej szczeliny na przestrzeni dwudziestu lat od zaślubin Karola II. Była co prawda jedna w 1684, zapisał to w szaleńczym pośpiechu, czwartego lutego. Rok przed śmiercią Karola Stuarta, kiedy to kairski Mistrz podjął pierwszą próbę uczynienia następcą niezłomnego Karola głupiego i podatnego na wpływy Jakuba, księcia Monmouth. Fikee w owym czasie, od niemal dwu dziesięcioleci, trzymał w odwodzie newtonowskie odbicie magicznego czynu jagów z 1666 roku, po czym został poinstruowany, by przywrócić równowagę pod postacią straszliwych mrozów, a jednocześnie otruc monarchę, spreparować „nowo odkryty” akt ślubu zawartego między

Karolem II a Lucy Walter, matką Monmoutha, a także zorganizować sekretny powrót samego Monmoutha z Holandii.

Chwytny w szaleńczym pośpiechu wysłużony lancet, by zatopić go jeszcze raz w swej żyłę, Romany przypomniał sobie, co nie wypaliło z tamtym planem. Śmiertelna dawka rtęci znalazła się w żołądku jednego z królewskich spanieli... A wielki mróz, który miał się skończyć wraz z triumfalnym przybyciem Monmoutha do Folkstone, okazał się znacznie bardziej nieustępliwy, niż przewidywał Fikee, i przeciągnął się do samego marca... Spreparowany zaś akt zaślubin w zamkniętej, czarnej szkatule jakimś cudem się zagubił. Mistrz nie był z tego wszystkiego zadowolony.

Ściany namiotu rozjaśnił pomarańczowy blask, jaki rzucał wirujący krąg szalonych jagów, a krople potu rozcieńczały gęstą krew, którą teraz Romany starannie rozmazywał na marginesach kartki.

Tak – myślał, podnosząc się szybko i poruszając szklanymi różdżkami po blacie biurka, właśnie tam – a raczej wonczas skoczę. I powiem Fikeemu i Mistrzowi, co czeka ich w przyszłości. Żeby zapomnieli o sprawowaniu kontroli nad Anglią, a raczej skupili swą energię na jej zniszczeniu: by starali się przedłużyć i spotęgować ten mróz, zamiast kłaść mu kres, aby nastawiali katolików przeciwko protestantom i Żydom, żeby mordowali późniejszych przywódców, dopóki są jeszcze dziećmi...

Uśmiechnął się, ustawiając szklane bieżące pod idealnym kątem, a potem obrócił otwartą dłoń ku kręgowi szalejących żywiołów ognia, by czerpać od nich potężną energię, potrzebną do wykonania skoku w czasie.

Doyle wybiegł na zewnątrz, ignorując przerażonych Cyganów, którzy leżeli na podłodze i sapali ciężko. Płonący krąg wokół obozu świecił jasno niczym słońce, nie sposób było nań patrzeć. Doyle dyszał w rozrzedzonym powietrzu, czując, jak pot, który dopiero co wystąpił mu na ciele, z miejsca wyparowuje. Wszystkie namioty na granicy kręgu płonęły, i nawet te w środku, bliżej niego, zaczynały się dymić. Mój Boże – pomyślał przerażony, dlaczego ich nie powstrzyma? Jeśli temperatura wzrośnie jeszcze o parę stopni, to zapalimy się jak suche gałązki na ruszcie.

Pobiegł do następnego namiotu, którego brzeg zapłonął linią niebieskiego ognia; kiedy odsunął na bok połę i wszedł do środka, zobaczył doktora Romany stojącego obok biurka, z jedną dłonią wyciągniętą w je-

go stronę, a drugą ściskającą kawałek papieru. Doyle rzucił się na niego... i został porwany przez gorący wiatr. Przez kilka sekund po prostu garbił się, czekając na ogłuszające uderzenie, a potem leciał bezwładnie przez milczącą i ciemną otchłań... aż do chwili, gdy znienacka, bez żadnego sygnału, powróciły do niego jasność i dźwięk.

Mignął mu przed oczami zadziwiający obraz wielkiego pomieszczenia rozjaśnionego świecami w surowych, drewnianych żyrandolach, a potem znów leciał przez szokująco zimne powietrze, by w sekundę później uderzyć butami o blat stołu, jednym miażdżąc pieczoną kaczkę, a drugim rozchlapując na wszystkie strony niemal całą zawartość wazy z zupą. Nogi mu się rozjechały i usiadł z łoskotem na półmisku z pieczoną szynką.

Obryzgnani jadłem biesiadnicy po obu stronach stołu wznieśli pełen zdumienia okrzyk i cofnęli się, a Doyle ujrzał doktora Romany, rozciągniętego między półmiskami na sąsiednim stole, twarzą do blatu.

– Proszę wybaczyć... bardzo przepraszam – wymamrotał zawstydzony Doyle, gramoląc się ze stołu.

– Niech mnie diabli! – wykrzyknął jakiś starszy gość z wybałuszonymi oczami, ocierając koszulę serwetką. – Cóż to za przekłeta sztuczka?

Wszyscy, gdy minęła już pierwsza chwila osłupienia, wyglądali na rozgniewanych. Doyle usłyszał, jak ktoś mówi:

– To cuchnące siarką czary. Każmy ich aresztować.

Romany też zsunął się na podłogę i rozpostarł ramiona tak władczym gestem, że ludzie, którzy zerwali się obok niego na nogi, teraz cofnęli się posłusznie.

– Miał miejsce pewien wybuch – wysapał, starając się, by jego głos wydawał się równie surowy co zdyszany. – Zejdźcie mi z drogi, muszę... – urwał, gdyż w tym momencie dostrzegł Doyle'a.

Pomimo całkowitej dezorientacji, Doyle z zaskoczeniem, ale i radością zauważył, że czarnoksiężnik zbladł, po czym zakręcił się na pięcie i torując sobie drogę ciosami i przekleństwami, przedarł się do najbliższych drzwi, które otworzył jednym szarpnięciem. Rzucił Doyle'owi ostatnie, lękliwe spojrzenie, nim zniknął w nocnej ciemności, która panowała na dworze.

– Za nim, Sammy, sprowadź go z powrotem – odezwał się spokojny głos za plecami Doyle'a.

Doyle odwrócił się i napotkał podejrzliwe spojrzenie potężnie zbudowanego mężczyzny w fartuchu i z tasakiem rzeźniczym w dłoni, którym, co było widoczne, dobrze władał.

– Nie słyszałem żadnego wybuchu – zwrócił się do Doyle’a, gdy krzepki młodzieniec wybiegł za doktorem. – Ty zaś zaczekasz tu, aż przynajmniej postanowimy, kto ma płacić za zmarnowaną wieczerzę.

– Nie – odparł Doyle, starając się, by jego nowy głos brzmiał poważnie, co nie było łatwe, gdyż zauważył, że kilku mężczyzn jest ubranych w wysokie buty z szerokimi mankietami, kamizelki sięgające kolan i krótkie peruki; porozumiewali się zaś językiem niemal niezrozumiałym, i domyślił się już, co się wydarzyło. – Wychodzę stąd, rozumiecie? Być może, spróbujesz mnie zatrzymać, posługując się tym przedmiotem, ale jestem tak przerażony, że postaram ci się go odebrać, co pewnie skończy się wzajemnymi kontuzjami, a wygląda na to, że w takich czasach lepiej nie odnosić poważnych obrażeń.

Dla podkreślenia swych słów wyciągnął dłoń i podniósł pusty kufel cynowy do piwa. Benner, mam nadzieję, że byłeś do tego zdolny, pomyślał obejmując naczynie palcami. Ścisnął kufel mocno, dostatecznie mocno, by zbiełały mu kłykcie, a wówczas rozmowy ucichły i wszyscy, nie wyłączając karczmarza, patrzyli z zainteresowaniem. Doyle zaś podwoił wysiłki, czując jak każde, najdrobniejsze nacięcie i wgłębienie na powierzchni kufla wpija mu się w wewnętrzną stronę palców; bolała go cała ręka, aż do samego ramienia, trzęsąc się gwałtownie... lecz kufel nawet nie drgnął.

Po kilku sekundach bezowocnego wysiłku rozluźnił uchwyt i delikatnie odstawił naczynie na stół.

– Bardzo solidna robota – mruknął.

Kilku stojących w pobliżu wyszczerzyło w uśmiechu zęby, a od jednego z dalszych stołów dobiegł głośny śmiech. Nawet na powściągliwej twarzy karczmarza dostrzec można było skąpy grymas wesołości. Gdy Doyle zabrał się do wyjścia, wszyscy ryczeli już ze śmiechu, który, podobnie jak małe pęknięcia, znaczące topiący się lód, przełamał napięcie. Doyle mógł więc przepchnąć się przez rozweseloną cizbę do drzwi, czerwony na twarzy, lecz przez nikogo nie zatrzymywany.

Kiedy otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, poczuł zimno tak palące, że natychmiast stracił zucia w twarzy i dłoniach. Płuca zbuntowały się przy pierwszym oddechu, i był pewien, że nos musi mu krwawić od wściekle mroźnego powietrza. Jezu, krzyknął w myślach, gdy drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem – co to jest? To nie może być Anglia, ten sukinsyn przeniósł nas na jakieś peryferie Ziemi Ognistej, czy coś w tym rodzaju.

Gdyby nie powszechna wesołość w karczmie, odwróciłby się i wszedł z powrotem do środka; ruszył jednak przed siebie, wsu-

nąwszy szczypiące od mrozu dłonie w kieszenie zbyt cienkiego płaszcza, po czym pobiegł wąską, ciemną uliczką, żywiąc słabą nadzieję, że zdoła dogonić doktora Romany i zmusić go, by poszukał jakiegoś ciepłego miejsca, gdzie można by posiedzieć przez chwilę.

Nie znalazł go, lecz udało się to Sammy'emu, na którego Doyle natknął się u wylotu wąskiej alejki, kawałek za gospodą; w popielatym świetle księżycy mógł go nie zauważyć, usłyszał jednak jego bezradny szloch. Chłopak przywarł do cegieł muru policzkiem pokrytym zamarzniętymi łzami i gdy Doyle przykucnął i podniósł delikatnie głowę młodego człowieka, rozległ się cichutki trzask lodu.

– Sammy! – powiedział Doyle głośno, by przełamać straszliwy smutek chłopca. – Dokąd poszedł? – a nie otrzymawszy odpowiedzi, potrząsnął nim. – W którą stronę, człowieku? – spytał. Para jego oddechu unosiła się w górę niczym dym.

– On... – wyrzucił z siebie młodzieniec – on mi pokazał... węże, które we mnie siedzą. Powiedział: „Spójrz na siebie”, a ja spojrzalem i zobaczyłem je. – Znów zaczął łkać. – Nie mogę powrócić do gospody ani do domu. Wpełzną we wszystkich.

– Już ich nie ma – odparł twardo Doyle. – Rozumiesz mnie? Nie mogą znieść takiego zimna, widziałem po drodze, jak wszystkie odpełzły, żeby zdechnąć. A teraz mi powiedz, dokąd poszedł ten drań.

Sammy pociągnął nosem.

– One poszły? I są martwe? Pewnyś, panie? – zerknął na siebie lękliwie.

– Tak, do diabła. Widziałeś, dokąd się udał?

Młody człowiek poklepał się i pomacał po swoim odzieniu, objawiając coraz mniejszy lęk, po czym zaczął trząść się z zimna.

– M-muszę wracać – powiedział, podnosząc się sztywno z ziemi. – Przeklęty mróz. Aha, chciałeś wiedzieć, panie, dokąd się udał.

– Owszem. – Doyle doznał takiego ataku dreszczy, że zaczął niemal stepować na bruku. Zdrętwiała mu prawa kostka. Lękał się, że ciągnący się za nią łańcuch przymarznie mu do skóry.

Sammy znów pociągnął nosem.

– Przeskoczył przez tamten dom, na drugą ulicę.

Doyle przekrzywił głowę, by lepiej słyszeć.

– Co?

– Przeskoczył przez ten dom, jak konik polny. – Znów pociągnięcie nosem. – Miał takie zwoje przy podeszwach butów – dodał Sammy tonem wyjaśnienia.

– Ach, tak... dziękuję ci – powiedział Doyle i pomyślał: Najwi-
doczniej Romany zahipnotyzował chłopca. I to w ciągu zaledwie kilku
sekund! Nie bądź zbyt pewien siebie tylko dlatego, że się ciebie lęka. –
Aha, jeszcze jedno. – zwrócił się z pytaniem, kiedy chłopak oddalał
się, powłócząc nogami – Gdzie jesteśmy? Zgubiłem się.

– Na Borough High Street. W Londynie. Southwark.

Doyle uniósł brwi.

– W Londynie?

– Oczywiście, że w Londynie – odpowiedział chłopiec, drepcząc
niecierpliwie w miejscu.

– Hm, a który to rok? Data?

– Nie wiem, panie. Ale jest zima, to pewne.

Odwrócił się i ruszył biegiem w stronę gospody.

– Kto jest królem? – zawołał za nim Doyle.

– Karol! – dobiegła rzucona przez ramię odpowiedź.

A któren to Karol? – pomyślał Doyle i wrzasnął za znikającą w od-
dali sylwetką chłopca:

– A kto był królem przed nim?!

Sammy już tego nie usłyszał, ale z góry dobiegło skrzywienie otwie-
ranego okna.

– Błogosławiony Oliver – odezwał się jakiś poirytowany męski
głos. – I kiedy rządził, nie było nocą takiego rejwachu na ulicach.

– Proszę wybaczyć, sir – odezwał się pospiesznie Doyle, zwraca-
jąc ku górze łzawiące od mrozu oczy i próbując się zorientować,
które to z wielu maleńkich okienek uchyliło się nieznacznie. – Cier-
pię na... – Czemu by nie, pomyślał – ... na gorączkę mózgową, stra-
ciłem więc pamięć. Nie mam dokąd pójść. Czy pozwoli mi pan prze-
spać się do rana w swej kuchni, lubo rzuci mi jakieś grubsze odzie-
nie? Ja...

Posłyszał odgłos zamykanego okna i trzask zasuwki, choć wciąż
nie wiedział, gdzie powinien patrzeć. Typowo cromwellovskie, po-
myślał, idąc ociężale przed siebie. Pozwalił sobie na westchnienie, które
uleciało pod postacią małego obłoczka. A więc jestem gdzieś pomię-
dzy, hmm, 1660 a... którym rokiem? Kiedy zmarł Karol II? Chyba
około 1690. Wciąż niedobrze. W 1810 miałem przynajmniej szansę
znaleźć ludzi Darrowa i wrócić do domu, albo, gdyby mi się nie po-
wiodło, mogłem zaakceptować to, co zgotował mi los, i przeżyć życie
w umiarkowanym dobrobycie jako William Ashbless. Cholera, jak zim-
no, jęknął. Ty idioto, mówił w myślach do siebie, dlaczego tego nie
zrobiłeś? Wystarczyło spisać z pamięci wiersze Ashblessa, odwiedzić

Egipt i czekać, aż przyjdzie kolej na jakąś tam sławę i fortunę, a nawet ładną żonę. Ale nie, zamiast tego wolałeś niepokoić czarnoksiężników i teraz historia jest pozbawiona postaci Williama Ashblessa, a ty utknałeś w przeklętym wieku, gdy nikt nie myje zębów i nie kąpie się, a człowiek trzydziestoletni uchodzi za podstarzałego.

Patrzył akurat w górę, gdy jakaś dziwaczna postać przemknęła przez wąski pas nieba, widocznego między dachami domów – rysowała się przez moment na tle niemal pełnego księżyca – i Doyle natychmiast uskoczył z ulicy, wciskając się w kamienną ścianę najbliższego budynku, ponieważ ta skacząca nieprawdopodobnie wysoko postać, to był doktor Romany. Ani przez chwilę w to nie wątpił; nawet z tej odległości widział wyraźnie łysą głowę, rozpostartą pelerynę i podeszwy obu butów z rozciągniętymi do końca sprężynami.

Gdy siła rozpędu przestała działać, Romany poczuł, jak pierwsza, cieniutka pajęczyna ziemskiej grawitacji zaczyna ściągać go w dół, a najbliższe dachy znów się unoszą, zasłaniając oszronione pełne przepychu wysokie domy przy London Bridge i nieruchomą, białą rzekę w dole. Wtedy uświadomił sobie, że jego skoki są słabsze niż jeszcze kilka minut wcześniej i że osłona rozedrganego powietrza zaczyna przepuszczać intensywny chłód. Zdolność unoszenia się nie oznaczała w rzeczywistości wzrostu jego mocy; była to zwykła, magiczna siła, przeniesiona w bardziej archaiczne, a zatem bardziej sprzyjające czarom, środowisko; zresztą odczuwał już słabnięcie tego efektu. To tak jak z człowiekiem, któremu jego własny miecz wydaje się niezwykle lekki po wielogodzinnych ćwiczeniach z cięższą bronią, pomyślał, odbijając się od wystającego gontu i wykonując salto w dół, ku wybrukowanej ulicy. – Miecz w rzeczywistości waży tyle co zawsze i złudzenie, jakoby dysponowało się większą siłą, szybko znika. Ten widoczny wzrost mojej mocy nie przetrwa pewnie do rana... a owe wrota w gospodzie, które wyważyliśmy, zamkną się o brzasku. A zatem, myślał dalej, zmierzając z wolna ku ziemi i obejmując ramieniem szyld gospody w kształcie tańczącego Murzyna, będę musiał jak najszybciej zamienić słowo z Fikeem i Mistrzem, i powiedzieć im, kim jestem i dlaczego tu przebywam.

To będzie jedna z owych wspaniałych wieczerzy, pomyślał Ezra Longwell. Zawsze uwielbiał jedzenie, które Bractwo zapewniało

swym członkom. Ponownie nalał do szklanki porto z butelki stojącej przy kominku; podczas tej srogiej zimy nawet wina szampańskie musiały stać przez pół godziny przy ogniu, nim można było je podać, wina czerwone zaś i wzmocnione aż całą godzinę i pół. Sącząc wciąż chłodny trunek zbliżył się do małego, elżbietańskiego okna, które dzięki ciepłu panującemu w kuchni nie pokrywało się szronem. Wyrwał rękawem parę i wyrzwał na zewnątrz.

Na zachód od mostu widać było migające światła pomiędzy słoczonymi budami i namiotami zaśnieżonego targowiska, które ciągnęło się przez pokrytą lodem rzekę, począwszy od Temple Stairs aż do Surrey. Łyżwiarze kręcący młynka trzymanymi w dłoniach lampkami sunęli wesoło po lodzie jak świetliste strzały albo fajerwerki, lecz Longwell cieszył się, że jest w ciepłym pomieszczeniu, czekając z niecierpliwością na gorący posiłek.

Odsunął się od okna, i rzucając ostatnie, pełne uwielbienia spojrzenie na parujące rondle.

– Uważaj na te cudowne sztokfisz! – nakazał kucharce i udał się holem do jadalni, ciągnąc za sobą przywiązany do kostki łańcuch, który pobrzękiwał cicho na kamiennej posadzce.

Owen Burghard podniósł wzrok i śmiechnął się na widok Longwella.

– Jak tam rocznik sześćdziesiąty ósmy, Ezra?

Longwell poczerwieniał na twarzy, zmiierzając w stronę swego stałego miejsca, świadomy rozbawionych spojrzeń pozostałych członków.

– Nieźle – odparł obrażonym głosem, gdy krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Choć jest zbyt zimny.

– Lepiej panować nad sangwicznymi humorami, Ezra – odparł Burghard, znów kierując uwagę ku karcie leżącej na stole. Postukał o dłoń swoją glinianą fajką i powiedział w typowy dla siebie, niedbały sposób:

– A więc widzicie, panowie, że owe okresy wzmożonej aktywności ze strony cygańskiej bandy Fikeego...

Przerwało mu uderzenie w drzwi.

Wszyscy zerwali się w okamgnieniu, opierając dłonie na rękojeściach mieczy i kolbach pistoletów, i każdy odruchowo poruszył łańcuchem przyczepionym do prawego buta, jakby rozluźnienie owych stalowych ogniwi było równie ważne jak broń.

Burghard zbliżył się do drzwi, odsunął zasuwę i cofnął się o krok.

– Można wejść – powiedział.

Gdy drzwi otworzyły się i do środka wkroczył, jak się zdawało, olbrzym ze skandynawskich opowieści, zebrani, jak jeden mąż, unieśli

w zdumieniu brwi. Był przerażająco wysoki, jeszcze wyższy od króla, który mierzył pełne dwa metry, a jego dziwacznie skrojony i zbyt cienki jak na tę porę roku płaszcz nie stanowił żadnej ochrony dla szerokich barów i muskularnych ramion. Pokryta lodem broda nadała mu starczy wygląd.

– Jeśli macie tu ogień – zaskrzeczała barbarzyńskim akcentem oszroniona zjawa – i jakkolwiek gorący trunek... – Zachwiał się, a Longwell zaczął się lękać, że z półek pospadają księgi, jeśli ten potwór runie na podłogę.

Po chwili Burghard sapnął, wskazując na prawy but intruza, za którym ciągnął się po podłodze długi łańcuch, i skoczył, by go podtrzymać.

– Beasley! – rzucił szybko. – Pomóż mi. Ezra, kawa i brandy, szybko!

Burghard i Beasley pomogli chwiejącemu się, zmarzniętemu człowiekowi podejść do ławy stojącej przed kominkiem jadalni. Kiedy Longwell przyniósł wielki kubek kawy z domieszką alkoholu, olbrzym wdychał przez chwilę jej aromat, nim się napił.

– Ach – odetchnął w końcu, odstawiając kubek z kawą na podłogę i zbliżając rozpostarte dłonie do ognia. – Myślałem, że tam umrę. Czy tutejsze zimy zawsze są takie ciężkie?

Burghard zmarszczył czoło i zerknął na pozostałych.

– Kim jesteś, panie, i jak tu trafiłeś?

– Słyszałem, że zwykliście... że spotykacie się w domu przy południowym krańcu mostu. Gdy zapukałem do pierwszych z brzegu drzwi, nie wpuszczono mnie, ale udzielono mi wskazówek, jak tu dotrzeć. A co do tego, kim jestem, możecie nazywać mnie imieniem... Do diabła, nic mi nie przychodzi do głowy. Lecz zjawiłem się tutaj – wymizerowaną twarz wykrzywił uśmiech – ponieważ wiedziałem, że się zjawię. Myślę, że jesteście ogarami, za pomocą których schwytam mego lisa. Jest pewien czarnoksiężnik zwany doktorem Romany...

– Masz na myśli doktora Romanellogo? – spytał Burghard. – Wiemy o nim.

– Wiecie? Przebywając tak daleko w górę strumienia czasu? Dobry Boże. No cóż, Romanelli ma brata bliźniaka, który skoczył, mogę chyba powiedzieć: czarnoksiężkim sposobem, do waszego Londynu. Trzeba go złapać i zmusić, by powrócił do... właściwego miejsca. A przy odrobinie szczęścia można sprawić, by zabrał mnie ze sobą.

– Bliźniak? Chyba ka, jak przypuszczam – rzekł Longwell, wyciągając z ognia szczypcami rozżarzony węgielek i umieszczając go uważnie w świeżo nabitej fajce. – Zechciałbyś zapalić?

– Jezu, tak – stwierdził Doyle, biorąc od niego delikatną, glinianą fajeczkę białego koloru i woreczek z tytoniem. – Co rozumiesz przez „ka”?

Burghard zaczął przyglądać się Doyle’owi zmrużonymi oczami.

– Stanowisz, panie, zadziwiającą mieszaninę wiedzy i ignorancji, i czasem myślę, że chętnie wysłuchałbym twej własnej historii. Dla przykładu, nosisz łańcuch koneksyjny, ale zdajesz się niewiele o nas wiedzieć; wiesz za to o doktorze Romanellim, lecz nie wiesz, co to jest ka, ani jak się stało, że ta zima jest tak okrutną. – Uśmiechnął się, choć w jego zwodniczo łagodnych oczach wciąż błąkał się błysk wyrachowania. Przesunął dłonią po krótko obciętych, rzędnych włosach. – W każdym bądź razie, ka jest duplikatem ludzkiej osoby, wyrosniętym w kadzi pełnej specjalnego roztworu, z kilku zaledwie kropel krwi osoby pierwotnej. Jeśli rzecz cała zostanie właściwie dokonana, ów duplikat będzie nie tylko przypominał swój oryginał w każdym szczególe, ale będzie też posiadał jego wiedzę.

Doyle nabił fajkę tytoniem i zapalił w ten sam sposób co Longwell.

– Tak, przypuszczam, że Romany może być takim właśnie tworem – powiedział, pykając dymem, który rozpuszczał lód oblepiający jego brodę. Oczy mu się rozszerzyły. – Ach, wierzę, że znam jeszcze jedną osobę, która jest prawdopodobnie... również ka. Biedny głupiec. Jestem pewien, że o tym nie wie.

– Czy słyszałeś o Amenofisie Fikeem? – spytał Burghard.

Doyle powiódł wzrokiem po zebranych, zastanawiając się, ile może ujawnić.

– Jest, będzie, lub był przywódcą bandy Cyganów.

– Owszem, jest. Skąd owe „był” i „będzie”?

– Mniejsza o to. W każdym razie, panowie, ten ka doktora Romanellego jest dzisiejszej nocy w Londynie, uzbrojony w wiedzę, której nikt z tu obecnych nie ma prawa posiadać, trzeba go więc odnaleźć i odesłać tam, gdzie powinien przebywać.

– A ty chcesz powrócić wraz z nim – rzekł Burghard.

– Zgadza się.

– A po cóż to korzystać z tak niebezpiecznego, aczkolwiek szybkiego, sposobu podróży? – spytał Burghard. – Statkiem, konno czy na osle mógłbyś zjechać wszędzie w pół roku.

Doyle westchnął.

– Przypuszczam, iż funkcjonujecie jako pewien rodzaj... magicznej straży – zaczął.

Burghard uśmiechnął się i skrzywił jednocześnie.

– Niezupełnie, sir. Jesteśmy opłacani przez pewnych bogatych i rozumnych panów, a naszym zadaniem jest zapobiegać czarnoksiężskiej zdradzie. Nie posługujemy się magią, lecz zaprzeczeniem magii.

– Pojmuję. – Doyle położył fajkę na brzegu paleniska. – Jeśli opowiem wam moją historię – stwierdził ostrożnie – a wy przyznacie, że owa istota Romany jest, przyjmijmy; straszliwym niebezpieczeństwem dla Londynu, Anglii i świata, to czy zechcecie pomóc mi go schwytać, a potem nie sprzeciwić się memu powrotowi, jeśli jest on w ogóle możliwy, do właściwego miejsca?

– Masz moje słowo – rzekł cicho Burghard.

Doyle wpatrywał się przez kilka chwil w tego człowieka, podczas gdy ogień trzaskał i podskakiwał w zupełnej ciszy.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu. – Będę się streszczał, gdyż musimy działać szybko, a myślę, że wiem, gdzie będzie przebywał przez najbliższą godzinę. On i ja przybyliśmy tu jednym skokiem, za sprawą takiego czy innego działania magicznego, lecz nie z innego miejsca, jak na przykład Turcja. Skoczyliśmy z... innego czasu. Ostatni poranek, jaki oglądałem na oczy, przypadał dwudziestego szóstego września, 1810 roku.

Longwell wybuchnął głośnym śmiechem, lecz z miejsca umilkł, gdy tylko Burghard uniósł dłoń.

– Mów dalej – powiedział.

– No cóż, wydaje się, że coś... – Przerwał, gdyż dostrzegł na stole oprawioną w skórę księgę, i choć teraz była nowa, a złote cyfry: 1684 – jaśniały blaskiem na jej grzbiecie, Doyle rozpoznał ją. Wstał i podszedł do niej. Obok kałamarza leżało pióro i Doyle, uśmiechając się szeroko, zamoczył je w inkauscie, przewertował księgę aż do ostatniej stronicy, po czym napisał przez całą jej szerokość: IEHAY, ENDANBRAY. PUIESZKAAY?

– Co napisałeś? – spytał Burghard.

Doyle zbył pytanie niecierpliwym machnięciem ręki.

– Panowie, wydaje się, że coś uczyniło dziury w strukturze czasu...

Zaledwie kwadrans później, grupa dwunastu ludzi, idąc blisko siebie z powodu wielkiego mrozu, wyłoniła się z budynku od strony

ulicy i ruszyła pospiesznie na południe, wąskim mostkiem biegnącym ku nabrzeżu Surrey. Choć między ścianami starodawnych domów było wystarczająco dużo miejsca dla dwóch ludzi idących ramię w ramię, ci podążali gęsiego. Doyle szedł jako drugi, zaraz za okrytym peleryną Burghardem, bez trudu dorównując mu kroku, nawet jeśli nie nawykł jeszcze do kanciastej pochwy od miecza, objającej mu się o prawe udo. Cienka smuga żółtego blasku, rzucanego przez latarnię Burgharda, była jedynym źródłem światła. W tunelu ulicy panowała absolutna ciemność, choć kilka pieter wyżej księżyc szronił swymi promieniami nierówne dachy i płataninę grubych, poprzecznych belek, podtrzymujących stare budynki przed zawaleniem. Na mostku panowała cisza, słychać było tylko czasem brzęk łańcucha przytwierdzonego do kostek idących, a z prawej strony docierały do nich słabe odgłosy muzyki i śmiechu.

– Tutaj – wyszeptał Burghard, skręcając w jakąś uliczkę i kierując światło w stronę drewnianej konstrukcji, w której Doyle rozpoznał schody wiodące w dół. – Nie ma sensu obwieszczać wszem i wobec naszego przybycia, wkraczając przez południową bramę.

Doyle podążył za nim w dół, po ciemnych schodach i po długiej, krętej wędrowce przez sień wykutą w kamiennej kolumnie mostu wyłonili się na otwartej przestrzeni, pod szerokim przęsłem. Doyle po raz pierwszy zauważył, że rzeka, widoczna za drewnianymi stopniami i między łukami mostu, jest białym, nieruchomym bezkresem lodu zalanego księżycową poświatą.

W oddali widać było grupę ludzi, zmierzającą po lodzie w stronę północnego brzegu. Doyle zerknął na nich od niechcenia, ale po chwili te odległe postaci znów przyciągnęły jego spojrzenie. Co było w nich takiego, że jego wzrok wędrował bezustannie w tamtą stronę? Niezgrabne, przygarbione postaci? Rozkołysany, wysoki krok tego na przedzie?

Doyle zacisnął wielką, okrytą rękawicą dłoń na ramieniu Burgharda.

– Teleskop – mruknął cicho, gdy Longwell wpadł na niego od tyłu. Doyle nawet nie drgnął.

– W tej chwili.

Burghard pogrzebał pod płaszczem i podał Doyle'owi składaną lunetę.

Doyle rozciągnął przyrząd z głośnym kli-klik-klak na całą długość i skierował na odległą grupę ludzi. Nie był w stanie dokładnie nastawić ostrości, ale widział na tyle wyraźnie, by nie mieć żadnych wątpliwości; ten na przedzie to doktor Romany; pozostałych pięć,

nie, sześć postaci przypominało bezkształtnych osobników odzianych w futra.

– To nasz człowiek – powiedział cicho Doyle, oddając teleskop Burghardowi.

– Ach tak. Dopóki pozostanie na lodzie, nie zdobędziemy się na odwagę, by stawić mu czoło.

– Dlaczegoż to? – spytał Doyle.

– Rzecz w koneksji, człowieku, łańcuchy na wodzie są nieprzydatne – syknął niecierpliwie Burghard.

– Tak – mruknął Longwell z ciemności, która rozciągała się za plecami Doyle’a – gdybyśmy mieli stawić mu czoło na lodzie, rzuciłby przeciwko nam w jednej chwili wszystkie diabły piekiel, a nasze dusze, nie będąc zakotwiczone łańcuchami, byłyby wobec nich bezbronne.

Powiew arktycznego wiatru poruszył starymi schodami, które zakotyły się jak mostek statku na wzburzonym morzu.

– Jednakowoż, możemy podążyć za nimi do północnego brzegu, nieprawdaż? – rozważał Burghard – I tam ich zatrzymać. Tak, ruszajmy.

Podjęli swą wędrówkę w dół i po kilku minutach przeciskania się przez wąski tunel schodów wyszli na popękane, wypaczone i pokryte śniegiem drewniane nabrzeże, a w końcu zstąpili na lód rzeki.

– Podążają teraz bardziej na wschód, uszedłszy spory kawałek na północ – powiedział cicho Burghard, nie odrywając oczu od siedmiu poruszających się po lodowej tafli postaci. – Wyjdziemy spod mostu po zachodniej stronie, po czym skierujemy się na północ i natkamy ich już na brzegu, w punkcie kulminacyjnym owych podchodów.

Kiedy wyszli spod wysokiego łuku na lód, Doyle ujrzał przed sobą podskakujące światełka i znow usłyszał śmiech i muzykę, tym razem głośniejsze. Na rzece widać było namioty i budy, a także ogromne huśtawki z pochodniami przytwierdzonymi do boków. Była tam również wielka łódź na osiach z kołami, sunąca z wolna tam i z powrotem po rzece. Na jej żaglach i kołach wymalowano jaskrawymi kolorami twarze, a z olinowania zwieszały się wstęgi i proporce. Milcząca procesja Bractwa Anteusza, maszerując na północ minęła pogrążonych w zabawie od wschodniej strony.

Gdy od brzegu wciąż dzieliło ich jakieś sto metrów, z ciemności zalegającej pod najbardziej na wschód wysuniętym łukiem mostu wyłoniła się grupa doktora Romany i skierowała się ku schodom wiodącym pod górę, na Thames Street. Wysoka, zwinna postać doktora

odwróciła się, gdy jego grupa zaczęła wchodzić na schody. Niemal natychmiast Burghard uskokczył na bok i wykręcił zgrabnego młynka, uderzając na koniec Doyle'a w pierś; Doyle stracił równowagę i usiadł ciężko na lodzie, Burghard zaś wybuchnął hałaśliwym śmiechem. Longwell zawirował groteskowo w wykwintnym piruecie, niczym baletnica, i przez chwilę Doyle był pewien, że Romany rzucił na nich jakiś lunatyczny czar, i że za chwilę on sam zacznie szczeakać jak pies albo zjadać własny kapelusz.

Romany odwrócił się z powrotem i zaczął wraz ze swoją zadziwiająco zwinną świtą wspinać się na schody. Po chwili tarczę księżycza zasnęła postrzępiona chmura, zaciemniając całą scenę niczym welon.

Burghard i Longwell, których twarze były już poważne, pomogli Doyle'owi wstać.

– Proszę wybaczyć – powiedział ten pierwszy. – Szło o to, by wzięli nas za pijanych krzykaczy. A teraz szybko, dogońmy ich.

Dwunastu ludzi na lodzie ruszyło biegiem w stronę brzegu. Doyle nabrał szybko wprawy w łyżwowym kroku, dzięki któremu był w stanie zachować równowagę, i po kilku minutach dotarli do podnóża schodów, przeskoczywszy uprzednio maszt zatopionej łodzi, sterzający pod ostrym kątem z lodu.

Wspięli się na Thames Street, po czym przystanęli na szerokim bulwarze, spoglądając to w lewo, to w prawo.

– Tam – rzucił zdławionym głosem Burghard, wskazując na połać śniegu zalegającą środek ulicy. – Przeszli tamtędy i zniknęli w tej alejce.

Dwunastu ludzi ruszyło we wskazanym kierunku, choć Doyle nie mógł pojąć, jak Burghard zdołał określić drogę, którą podążał Romany; wszystko, co dostrzegł, gdy mijali połać śniegu, to tylko ślady łap kilku ogromnych psów.

Wbiegli w alejkę, a wtedy ciało Doyle'a zareagowało na niewyraźny odgłos drapania, nim jeszcze jego umysł to wychwycił – lewą dłonią dobył z pochwy miecza i wyciągnął przed siebie poziomo, gdy jeden ze stworów skoczył na niego i nadział się na ostrze. Siła potężnego uderzenia odrzuciła Doyle'a do tyłu, a do jego uszu dobiegło gardłowe warczenie i zgrzyt zębów o stal. Oparł o bestię lewą stopę i zepchnął ją z ostrza.

– Potwory! – usłyszał krzyk Burgharda, a wówczas latarnia uderzyła z brzękiem o bruk ulicy, zalewając wąską alejkę żółtym światłem.

Scena, która ukazała się oczom Doyle'a, przypominała jakiś surrealistyczny obraz Goi, którego malarz nigdy jednak nie zdołał stworzyć: Burghard tarzał się po ziemi w dzikim pojedynku zapaśniczym

z jakąś nieludzką umięśnioną istotą, która zdawała się być jednocześnie człowiekiem i wilkiem, a kilka innych stworów czaiło się w pobliżu desperacko szczipionej pary; barki miały przygarbione, jakby poruszanie się na tylnych nogach było dla nich czymś niezwykłym, a ich pyski, na podobieństwo psich, sterczały pod płaskimi czołami, szerokie zaś wargi połyskiwały zębami, które Doyle'owi przypominały ostrza kordów z kości słoniowej... Lecz w ich maleńkich oczach migotała inteligencja; cofnęły się ostrożnie, gdy Doyle, nie spuszczać z nich wzroku, przebił mieczem tors włochatej istoty, zmagającej się u jego stóp z Burghardem.

– *Mietche, Rowary!* – szczeknął jeden z nich przez ramię, gdy Burghard zrzucił z siebie kopnięciem martwego napastnika i wstał, ocierając rękawem krew z oczu, prawą zaś dłonią dobywając miecza; w lewej ścisnął już ociekający czerwienią sztylet. Dwa skręcone, pokryte grubym futrem ciała przestały się rzucać i leżały teraz rozciągnięte między obiema grupami przeciwników.

– Longwell, Tyson – powiedział cicho Burghard – biegnijcie za te domy, szybko, i zatrzymajcie się przy drugim końcu uliczki.

Obaj oddalili się posłusznie, stukając i pobrzękując mieczami.

Romany zawrócił i podszedł bliżej. Przepchnął się między dwoma wilkokszałtnymi pomocnikami i stanął oko w oko z rywalami. Jego chuda twarz, podświetlona niesamowitym blaskiem leżącej na bruku latarni, była wykrzywiona wściekłością. Otworzył usta i zaczął wyrzucać z siebie sylaby, które zdawały się niemal wypaczać i palić samo powietrze, które je niosło; Doyle poczuł, jak łańcuch owinięty wokół jego kostki zaczyna wibrować i rozgrzewać się. Romany dostrzegł teraz Doyle'a, stojącego na czele grupy, z obnażonym i skrwawionym mieczem w dłoni, najwidoczniej odpornego na jego magię i nie próbującego nawet zasłonić się przed nią. Śpiewna litania załamała się i ucichła; usta doktora Romany zastygły rozwarłe w grymasie zdumienia.

Doyle schylił się, by podnieść latarnię, po czym wyprostował się, wyszczerzył do czarnoksiężnika zęby i wskazał na niego mieczem.

– Obawiam się, że będziesz musiał z nami pójść, doktorze Romany – rzekł.

Mag wykonał fantastyczny skok do tyłu, ponad głowami wilkołaków. Podążył tym sposobem w głąb ulicy, a jego stwory pokłusowały za nim, ścigane przez Doyle'a, Burgharda i pozostałych.

Gdzieś z przodu rozległ się głośny wystrzał pistoletowy i w chwilę później między stłoczonymi, kamiennymi ścianami odbiło się

echem przeraźliwe wycie. Gdy przeszło w urywane dyszenie, Doyle usłyszał krzyk Longwella: „Stójcie, wy bestie – mamy dość nabitych pistoletów, by posłać was do diabła”.

Doyle, biegnąc przed Burghardem, uniósł latarnię i dostrzegł postać w pelerynie, lecącą wprost w górę.

– Chce skoczyć na dach, dostańcie go czym prędzej! – zagrzemiał, a wtedy huknęły z przodu dwa następne wystrzały, lufy zaś, z których dobył się błysk, skierowane były w górę. Niemal ogłuchł, kiedy pistolet Burgharda wypalił tuż obok jego ucha.

– Te potwory wspinają się po ścianach jak pająki! – krzyczał Longwell. – Strącać je!

Gdzieś w górze uchyliło się z jękiem okno, po czym na na pobliską ścianę chlusnęło coś, co mogło być jedynie zawartością czyjegoś nocnika, obryzgując przy okazji Doyle’a.

– Precz stąd, wy złodzieje i mordercy! – wrzasnął przeraźliwie kobiecie głos.

Na bruk ulicy pospadały kawałki okapów i kamieni.

– Nie strzelajcie! – zawołał Burghard głosem chrapliwym z niezadowolenia – traficie tę przeklętą kobietę.

– Uciekli, wodzu – powiedział Longwell, podbiegając do miejsca, w którym stali Doyle, Burghard i inni. – Pomknęli dachami szybko jak szczury.

– Z powrotem na Thames Street – rzucił chrapliwie Burghard. – Zgubiliśmy go, kiedy jest w górze, może skierować się w każdą stronę.

– Prawda, wracajmy do stołu – zasugerował skwapliwie Longwell. Kiedy schowali do pochew swe miecze i odrzucili pistolety, przestępując włochate zewłoki, ruszyli z powrotem ku Thames Street, której bruk jaśniał w księżycowym blasku.

– Wiem, dokąd on zmierza – powiedział cicho Doyle. – Kieruje się na powrót do miejsca, o którym już wcześniej mówiłem, tam, gdzie jego magia zadziała najlepiej, na polu szczeliny, w tej gospodzie przy Borough High Street.

– Nie cieszy mnie pomysł wędrówki po lodzie, gdy on już wie, że stawiamy mu czoło – przemówił chudy członek Bractwa o kręconych włosach. – Jeśli obróci się wtedy przeciwko nam...

– Wcale nie znaczy, że nas pokona – odparł Burghard, ruszając naprzód. – Nie pokładajcie zbyt wielkiej ufności w waszych łańcuchach. Teraz dokonamy tylko rekonesansu, nie będziemy uciekać się do nieostrożnych posunięć.

Ruszyli pospiesznie ku schodom poniżej Thames Street i wychylając się poza balustradę przy górnych stopniach poczęli się wpatrywać w pochodnie i namioty śnieżnego jarmarku.

– Zbyt wielu tam ludzi, byśmy się zorientowali, czy któryś należy do tamtych – mruknął Longwell.

– Może – odparł cicho Burghard, który wydobyl swój teleskop i przybliżywszy go do oka przesuwał powolutku. – Widzę ich – wyszeptał w końcu. – Podążają teraz na skos rzeki, nie troszcząc się nawet o ludzi, którzy mogą ich zobaczyć. Szkoda, że nie widzicie, jak niektórzy cofają się z przerażeniem! – Zwrócił się do górującej nad pozostałymi postaci Doyle’a. – O ile będzie potężniejszy, gdy dotrze do owej gospody?

– Nie wiem dokładnie – odparł Doyle. – Powiedzmy, że znacznie. Musiało mu chodzić o coś nie cierpiącego zwłoki, że w ogóle ją opuszczał.

– Lękam się, iż będziemy musieli podążyć za nimi – rzekł z niechęcią Burghard, ruszając schodami w dół. – Trzeba szybko ruszyć w pogoń.

Dziwacznie obuty przywódca grupy obserwował przez chwilę pustą ulicę, po czym podążył zdecydowanym krokiem przed siebie. Jego chodaki o grubej podeszwie stukały o pokryty szronem bruk, podczas gdy inna grupa przekradających się chyłkiem ludzi wynurzyła się zza rogu kościoła i wkroczyła na Thames Street.

– Poczekaj sekundę, alchemiku – oświadczył jeden z kompanii. – Nie pójdę dalej, nie usłyszawszy wyjaśnienia. To, co do naszych uszu dotarło, to był ogień broni palnej, nieprawdaż?

– Zgadza się – odparł niecierpliwie przywódca. – Ale nie był on wymierzony w ciebie.

– Lecz czymże było to, w co był wymierzony? Sądzę, że to nie człowiek krzyczał. – Wiatr rozwiął po nieco pulchnej twarzy kasztanowe loki mężczyzny, pozbawionego peruki. Mocniej nacisnął na głowę kapelusz. – Ja tu sprawuję dowództwo, choć nie z oficjalnego nadania, podobnie jak mój ojciec we Francji. Powiadam, że potrzeba nam tego, co niesiesz w tym pudełku, nie zaś rady jeszcze jednego przekłętego czarownika.

Amenofis Fikee zbliżył się do mężczyzny i syknął, patrząc na niego z góry dzięki swym koturnom:

– Posłuchaj mnie, ty błaznie. Jeśli twój przeklęty zadek ma kiedykolwiek spocząć na tronie, to stanie się tak dzięki moim wysiłkom, a wbrew twoim. A może sądzisz, że owa idiotyczna próba zabójstwa Karola II, którąście podjęli zeszłego roku wraz z Russelem i Sidneyem, była czymś mądrym? Ha! Głupcy, którzy próbują sięgnąć przez szybę po smakołyki! Potrzebujesz mnie, magii i sporej dawki szczęścia, by uratować głowę przed katowskim toporem, a cóż dopiero mówić o królowaniu! Człowiek, który porozumiał się ze mną dzisiejszej nocy i powitał przez płomień świecy starożytnym hasłem, odznacza się większą mocą niż widziałem u jakiegokolwiek czarnoksiężnika od... No cóż, od bardzo dawna. Byłeś przy tym – by się z nim połączyć, nie potrzebowałem nawet zapalać knota świecy, sam buchnął płomieniem! Teraz natrafił na jakiś opór, bardzo możliwe, że samego Bractwa Anteusza, i musi obecnie wycofać się do owego miejsca w Surrey, gdzie znajduje się jedna z tych niewytłumaczalnych powietrznych kul, o których ci wspominałem; w jej obszarze łatwiej działa magia. Zatem spotkamy go tam. A może wolisz powrócić do Holandii i starać się o koronę w pojedynkę, bez mej pomocy? – Fikee wyciągnął w jego kierunku małe czarne pudełko, gdyż książę Monmouth wciąż wyglądał na przygnębionego. – I bez aktu ślubnego, który tak bezbłędnie sfalszowałem? – dodał.

Monmouth skrzywił się, lecz jedynie wzruszył ramionami.

– Doskonale, czarnoksiężniku. Ale pospieszmy się, nim twój przeklęty mróz zmieni nas w sople lodu.

Grupa znów ruszyła do przodu, zmierzając w stronę mostu.

Łódź żeglowała niemal pod wiatr; na wpół pijana załoga marynarzy starała się wymachiwać płonącymi pochodniami w takt śpiewu, lecz teraz człowiek przy rumplu skręcił zbyt pod wiatr, więc żagiel obwisł i załopotał; łódź wytraciła szybkość. W miarę jak obrycze toczyły się coraz wolniej na swych osiach przechodzących pod kadłubem wehikułu, groteskowe twarze wymalowane na wielkich, drewnianych kołach przybierały coraz wyraźniejszy kształt. W końcu łódź zatrzymała się na lodzie, by po chwili, gdy żagiel wydał się w przeciwną stronę, ruszyć niezdecydowanie do tyłu.

Burghard, za którym biegli po lodzie w długim, wijącym się szeregu Doyle i dziesięciu członków Bractwa, ukryci za zasłoną, jaką stanowiła łódź na kołach, zrównał się z nią teraz, skoczył, przerzucił ciało przez burzę i upadł na pokład. Pijani marynarze, i tak już poiry-

towani utratą wiatru, zwrócili się gniewnie ku temu niepozornemu i szczupłemu pasażerowi, lecz cofnęli się zdumieni, gdy przez burtę przeskoczyła bez trudu potężna brodata postać Doyle'a w pelerynie, z rozwianą grzywą włosów.

– Przejmujemy dowodzenie tym statkiem – zawołał głosem napiętym od tłumionego śmiechu, gdyż uświadomił sobie, że czytał o tej przygodzie zaledwie przed paroma godzinami. – Burghard, jak wprawić ten pojazd w ruch?

– Stowell – krzyknął wódz, wychylając się za burtę – pchnijcie tylne koła, żeby wykonały pełny obrót, a potem wskakujcie na pokład. Wszyscy już przywykli do widoku tej łodzi na rzece, nasz człowiek nawet nie zauważył, że podąża za nim.

– Jednakże to moja łódź, przyjacielu – sprzeciwił się pulchny mężczyzna na rufie, który podniósł się z wysiłkiem, gdy rumpel poruszył się powoli.

Burghard wręczył mu kilka monet.

– Masz. Nie będziemy obchodzić się źle z twym statkiem i pozostawimy go na południowym brzegu. Aha, to też dostaniesz – odliczył jeszcze kilka monet – jeśli dasz nam swoje maski i pochodnie.

Właściciel łodzi ważył w dłoni monety, rozważając widoczną determinację nowych pasażerów, po czym wzruszył ramionami. – Zejdźcie z pokładu, chłopaki – zawołał do swych kompanów. – I zostawcie te maski i pochodnie, mamy tu dość pieniędzy na beczkę wina.

Wyeksmitowani z pokładu marynarze przeleźli przez burtę i zeskoczyli w wesołym nastroju na lód, a gdy już wszyscy ludzie Burgharda znaleźli się na pokładzie, żagiel znów złapał wiatr, a statek szarpnął do przodu.

Burghard, założywszy na twarz niebiesko-czerwoną maskę w kształcie głowy tukana, operował z uwagą rumpem i szotem, by podążać za ściganymi, lecz nie wyprzedzać ich. Przecięli już niemal całą szerokość rzeki i znaleźli się w odległości około trzydziestu metrów od schodów prowadzących na Jeter Lane, gdy podskakujący Romany spojrzali za siebie po raz trzeci, zawahał się i wyhamował, domyślając się w końcu, że jest śledzony.

– Zobaczyl nas! – krzyknął Doyle, ale Burghard zdążył już szarpnąć rumpel, przechylając niebezpiecznie łódź na lewą burtę, podczas gdy dwa drewniane koła po tejże stronie wzbily w górę fontannę drobnego lodu, lecz po chwili statek znów wyrównał tor jazdy, po czym skręcił ostro w prawo, nie zmierzając już ku schodom, lecz podążając wprost na długie nabrzeże.

Doyle wstał i wyciągnął swój miecz, lecz niemal natychmiast odrzucił go od siebie, gdyż nie był to już miecz, tylko długi, srebrzysty wąż, który wykręcał się, by go ukąsić. W chwilę później poczuł, jak jego sztylet zaczyna wić się w pochwie, i to tak gwałtownie, że musiał przytrzymać go obiema dłońmi. Odzienie falowało na nim jakimś szalonym ruchem, maska trzepotała wściekle na twarzy, a pokład pod stopami unosił się i opadał niczym żebra wielkiego, dyszącego zwierza. Uświadamiając sobie w panice, że znalazł się wewnątrz jakiegoś straszliwego skupiska magii, wykorzystał kolejne wyrzuczenie pokładu jako trampolinę i skoczył przez burtę pędzącego, rozkołysanego statku; wylądował na wyciągniętych dłoniach i zwinął się w kłębek. Potoczył się kilka metrów i znieruchomiał w chwilę po tym, jak łódź z kołami wryła się w nabrzeże, rozbijając z trzaskiem kadłub i maszt, i ciskając wokół członkami Bractwa jak kręglami.

Doyle usiadł, zerwał z twarzy palącą maskę kota i odrzucił ją z całej siły, a wtedy dostrzegł swój sztylet, który wypadł mu z pochwy, pełznący ku niemu niczym wielka glista; kopnął go i natychmiast poczuł, jak ogarnia go niemal paraliżująca dezorientacja, bo choć broń gieła się jak kawałek gumowego węża, to jednak, uderzając o lód, wydawała za każdym razem głośny brzęk.

Burghard po upadku na lód, podniósł się szybko i choć twarz wykrzywił mu grymas bólu, zdołał wykrztusić: „Na brzeg”, zmuszając się do kulawego kroku.

Z rozbitego kadłuba poczęły dobywać się jasne płomienie. Jedno z kół, oderwane od osi, toczyło się wolno po lodzie, wymalowane na nim usta otwierały się i zamykały spazmatycznie, a oczy wodziły wkoło złośliwym spojrzeniem; i gdy płomienie pomknęły łączywie po krawędziach żagla, wymalowana na nim twarz przewróciła ślepiami i zmarszczyła się wściekle, wykrzykując niezrozumiałe słowa.

Czerwony na twarzy Stowell, który walczył z własnym szalem, broniąc się przed uduszeniem, wpadł na Doyle'a, biegnącego już ku nabrzeżu. Doyle otrząsnął się ze skutków zderzenia, odetchnął głęboko i ruszył w ślad za Stowellem. Coś złego zaczęło dziać się z powietrzem: miało wstretny smak i paliło oczy, nozdrza i płuca. Doyle czuł, jak opuszczają go siły.

Przed najbliższą drabinką zgromadziło się mnóstwo wirujących i tańczących kawałków połamanego drewna, chłoszcząc po kolanach i wciskając się pod podeszwy każdego, kto próbował się do nich zbliżyć. Jeden z mężczyzn upadł i zostałby niemal zadźgany na śmierć, gdyby Burghard nie zdołał go na czas odciągnąć. Doyle'owi nie po-

zostało nic innego, jak po prostu chwycić ślaniającego się na nogach Stowella za pasek i kołnierz, a następnie, wykorzystując resztkę sił, jaka mu pozostała, rozhuścić go i cisnąć w górę; potem osunął się na kolana i patrzył zamglonym wzrokiem, jak tamten unosi się w powietrze, wymachując nogami i rękami, po czym ląduje miękko na deskach nabrzeża.

Powietrze było teraz przepełnione wyziewami przypominającymi odór siarki i chloru; Doyle wiedział, że gdyby nawet podskakujące kawałki drewna odsunęły się na bok, i tak nie miałyby siły podpełznąć do drabinki i wspiać się po niej na górę. Osunął się na łód, położył na boku, a potem przekręcił na plecy, obserwując bez zainteresowania, jak Stowell wychyla się poza krawędź nabrzeża, oświetlony blaskiem coraz wyższych płomieni, i sięga w dół swoim mieczem. Doyle odczuwał lekką zazdrość, że miecz Stowella jest prosty i twardy, podczas gdy jego własny zamienił się w wijącego węgorza. Po chwili przestał o tym myśleć, a także o czymkolwiek innym.

Burghard, który wciąż trzymał się jakimś cudem na nogach, uczynił kilka niepewnych kroków i znalazł się pośród wirującej chmury deseczek. Zaczęły go uderzać wściekle w kolana i kręcić młynka, by trafić w krocze albo brzuch, i gdy już miał się osunąć, wyrzucił rozpaczliwym gestem dłonie i złapał za ostry niczym brzytwa, skierowany w dół miecz.

Deseczki z miejsca odsunęły się od niego, czyniąc dziwne zamieszanie.

Burghard podciągnął się i stanął na nogach, by ulżyć zmęczonej dłoni, po czym odetchnął rozdygotany.

– Do mnie, Anteusze! – zawołał.

Longwell podczołgał się i zakrywając ramieniem głowę przed brutalnymi ciosami patyków, wyciągnął dłoń i chwycił za łańcuch ciągnący się za butem Burgharda.

Patyki i deseczki odskoczyły od niego.

Trzej następni czołgali się jeden za drugim, by ucześcić się łańcucha. Do uprzykrzonych kawałków drewna dołączały co chwila nowe patyki; niektóre, te pochodzące z wraku, paliły się, ślizgały po lodzie i wirowały posuwając się w kierunku Doyle'a, który nie zdołał połączyć się jeszcze z towarzyszami. Mniejsze kawałki poruszały się szybciej; gdy go dopadły i zaczęły chłostać po twarzy, Burghard zawołał:

– Niech któryś go dotknie, prędko!

Człowiek na końcu złączonego łańcuchem szeregu wyprężył się, nie zdołał jednakże dosięgnąć Doyle'a. Zerknął za siebie i kiedy zobaczył, że wielkie deski, które mogą bez trudu zmiażdżyć ludzką czaszkę, zbliżają się coraz szybciej, przeklinając odpiął skórzaną pochwę, wy dobył sztylet i przyciągnął ostrzem stopę Doyle'a dostatecznie blisko, by przebić ją na wylot, przytwierdzając do lodu.

Doyle poczuł, jak od jego stopy rozchodzi się gorąco, przynosząc ulgę niemal skamieniałym mięśniom i docierając w końcu do głowy, by wypędzić z niej wizje ogromnych, zwielokrotnionych warstw kryształu, które przyciągały resztki jego gasnącej uwagi. Pod wpływem czujności, która powracała ciepłą falą, usiadł na lodzie, uświadamiając sobie, że jego stopę unieruchomił jakiś sztylet, a kawałki drewna odskakują od niego, by zaatakować dwie rozciągnięte na lodzie i nieruchome ludzkie postaci, znajdujące się zbyt daleko, by mógł je dosięgnąć łańcuch Anteusza.

– Ty! – wrzasnął Burghard. – Ty z brodą! Nie uwalniaj stopy, dopóki nie chwycisz się dłoni Friedmana!

Doyle skinął głową i zbliżył się odrobinę do człowieka ze sztyletem.

– Nie lękaj się – zawołał do Burgharda. – Nie zamierzam przezwyciężać koneksji.

Dosięgnął wolnej dłoni Friedmana i zacisnął na niej palce, a wtedy mężczyzna wyrwał ostrze sztyletu z jego stopy. Schował go do pochwy i sięgnął za siebie, by złączyć dłonie z człowiekiem, który trzymał go z przodu za łańcuch.

Kiedy Burghard powiedział: „Do góry”, pięciu mężczyzn podniosło się niepewnie. Doyle czuł się tak, jakby w jego stopie wciąż tkwił nóż, i gdy łańcuch ludzi zaczął posuwać się ku drabinie, kulejąc i powłócząc nogami, odwrócił się i zobaczył w tyle ciemne, parujące plamy na lodzie. Tam zaś, gdzie jeszcze niedawno tkwiła jego stopa przebita ostrzem sztyletu, widniał teraz wielki i nieregularny krąg o czarnej barwie, przykryty już warstwą lodu.

– Trzymajcie się tego, który będzie nad wami, i stawiajcie stopy na szczeblach drabiny – zawołał Burghard, który stał teraz na nabrzeżu. Nawet w pomarańczowym świetle płomieni jego twarz była blada. – Podciagniemy was.

Po kilku minutach Doyle i pięciu członków Bractwa siedziało albo stało na nabrzeżu, kołysząc się niepewnie, chwytając oddech, grze-

jąc się ciepłem płonącej łodzi i wzmacniając się, jak trunkiem, ozdrowieńczą siłą, która płynęła w górę przez łańcuchy przy butach.

– On... wyruszył dalej, osłabiwszy nas – wyszeptał zdyszany Burghard, obwiązując skaleczoną dłoń chusteczką. – Mamy szczęście, że... przeliczył się z czasem i uderzył w nas jedynie krótkotrwałym czarem Złego Ożywienia. Gdyby tylko miał dość czasu, żeby wypowiedzieć jak należy czar Złego Powietrza...

Po łodzi biegł w ich stronę jakiś człowiek.

– Wy synowie ladacznicy! – wrzeszczał tęgi właściciel zniszczonej łodzi. Gestykulował znacząco w stronę swego nieszczęsnego statku. – Zaciągnę was przed oblicze rajców!

Burghard pogrzebał w kieszeni zdrową dłońią, wyciągnął sakiewkę i rzucił w dół.

– Przyjmij nasze przeprosiny – krzyknął, gdy tamten złapał trzos. – Jest tam dość pieniędzy na nową łódź i wynagrodzenie trudów, jakie szukając jej poniesiesz.

Odwrócił się do Doyle'a i pozostałych.

– Straciliśmy tu sześciu ludzi – powiedział cicho. – A niektórzy z was odnieśli rany, które wymagają natychmiastowego opatrzenia; twoja stopa, panie, nie jest tu wyjątkiem, poza tym nasza druga pod względem skuteczności broń – gotówka – wyczerpała się. Nie będzie nam poczytane za tchórzostwo, jeśli teraz wycofamy się do naszych kwater, opatrzymy się, spożyjemy co nieco i zażyjemy drzemki, a rzecz całą odłożymy do jutra.

Doyle, który już wcześniej obnażył stopę i obwiązał ją kawałkiem swego szala nasączonego brandy, włożył but na powrót, zaciskając z bólu zęby, po czym spojrział na Burgharda.

– Muszę iść dalej – powiedział chrapliwie – jeśli mam kiedykolwiek jeszcze powrócić do domu. Lecz ty masz słuszość. Twój ludzie dokonali... znacznie więcej, niż miałem prawo żądać. I jest mi strasznie przykro z powodu twych sześciu towarzyszy.

Wstał, zadowolony teraz z przejmującego zimna, gdyż działało ono na jego stopę jak środek znieczulający.

Longwell potrząsnął niezadowolony głową.

– Nie – odparł. – Dotarłszy do północnego brzegu rzeki byłbym z chęcią zapomniał o pościgu i powrócił do naszej wieczerzy. Lecz teraz, gdy McHugh i Kickham, a także pozostali, nie żyją, nie mógłbym spokojnie delektować się moim porto, wiedząc, że ich zabójca jest na wolności... i zapewne chęłpi się swym czynem.

– Racja – rzekł Stowell, wciąż dotykając z nieufnością swego szala. – Będzie dość czasu na jadło i napitek, gdy wyślemy tego niegodziwca do diabła.

Twarz Burgharda, która w pomarańczowym świetle płomieni wydawała się szczególnie ascetyczna, rozjaśnił grymas uśmiechu.

– Niechaj tak będzie. Ty zaś, panie – zwrócił się do Doyle’a – nie dręcz się ani też nie pochlebiaj sobie myślą, że owych sześciu ludzi umarło, niosąc ci pomoc. To jest praca, za którą otrzymujemy wynagrodzenie, towarzyszące zaś jej niebezpieczeństwo jest wielkie. A gdybyś nie podrzucił Stowella w górę, na nabrzeże, to wszyscy byśmy leżeli martwi. Możesz iść?

– Pójdę.

– Bardzo dobrze. – Burghard zbliżył się do krawędzi nabrzeża. – Czy zapłata jest wystarczająca? – zawołał do właściciela łodzi, który przycupnął na łodzie i przyglądał się, jak płonie.

– Och, tak, tak – skinął głową tamten i zamachał radośnie dłonią. – Zawsze będziesz mógł pożyczać ode mnie łodzie.

– Ktoś przynajmniej cieszy się tego wieczoru zyskiem – mruknął gorzko Burghard.

Łódź, zamieniona w kipiące ogniem piekło, runęła na bok i zanurzała się powoli w popękany i roztopionym lodzie, a przez chmurę dymu można było dostrzec padające jeden za drugim poprzeczne maszty, podobne do palców ludzkiej dłoni, które coś odliczają.

Poirytowany szynkarz zmrużył oczy, gdy Doyle schylił pod nadprożem głowę i wszedł do gospody, a potem otworzył je szeroko ze zdumienia, kiedy ujrzał Burgharda i pozostałych.

– Ten gość jest z tobą, Owen? – spytał z powątpiewaniem szynkarz.

– Tak, Boaz – odparł krótko Burghard. – A Bractwo zapłaci za wszelkie szkody, jakie mógł tu poczynić. Czy widziałeś pewnego...

– Człowieka, który spadł razem ze mną na stoły – przerwał Doyle. – Gdzie on jest?

– Tamten? Tak, do diabła, on...

Dom zatrzęsł się nagle, jakby jakieś potężne organy zaczęły wygrywać pieśń żałobną tak głębokimi dźwiękami, że nie można było jej usłyszeć. Do uszu zebranych docierał też słaby, pozbawiony melodii śpiew, który zdawał się płynąć z bardzo daleka. Łańcuch wokół kostki Doyle’a zaczął gwałtownie wibrować. Świerzbiła go skóra na nodze.

– Gdzie on jest? – krzyknął Burghard.

Nagle zaczęły dziać się jednocześnie różne rzeczy. Świece w drewnianych żyrandolach rozbłysły i trysnęły niczym fajerwerki, ciskając w powałę jasnoliliowe kule ognia i chmury straszliwie cuchnącego dymu; stoły, z przeraźliwym odgłosem rozdzierania i pęknięcia, rozpadły się w kawałki, rzucając na wszystkie strony jadłem, półmiskami, dzbanami i biesiadnikami. Doyle wodząc po tym niespodziewanym pandemonium szeroko otwartymi oczami, dostrzegł nad głową szynkarza Boaza wirujący, biały lej, przypominający małe tornado; podobne wiry, kręcące się i narastające, ukazały się nad wszystkimi głowami biesiadników. Zdjęty nagłym strachem zerknął w górę, lecz nie dostrzegł nad sobą ani nad głowami swych towarzyszy żadnej ektoplazmy.

To dzięki tym łańcuchom, pomyślał. To one chronią nas przed tym piekielnym zesłaniem ducha diabelskiego.

Spojrzał w dół i zobaczył, że jego łańcuch błyska złotymi skrami. Zdawało się, że każdy z jego kompanów też nosi przy prawym bucie iskrownik.

Porozbijane stoły przybrały szybko bliżej nie określone formy człokształtne, których oblicza jeżyły się drgającymi drzazgami jak magnes opiłkami żelaza, po czym ruszyły ociężale, przez liliowy dym, potykając się i uderzając drewnianymi ramionami na chybił trafił w ludzi, ściany i w siebie nawzajem, niczym ślepi obłąkańcy.

– Koło! – zawołał Burghard. Doyle znalazł się nagle między Longwellem i Stowellem, kiedy członkowie Bractwa Anteusza poczęli formować krąg. Pozostali dobyli mieczy i sztyletów, i choć Doyle nie pojmował, jaką krzywdę może uczynić owa przyziemna broń takim przeciwnikom, pochylił się, by wydobyć miecz z pochwy powalonego biesiadnika.

Białe wiry wyskoczyły nagle do góry i uderzyły w jeden punkt na powale. Zaczął się tam formować wielki lej. Dwunastu ludzi, czy to stojących, siedzących, czy też leżących, którzy byli połączeni z tym pająkowskim obrzydlistwem, zaprzestało wszelkich ruchów i obróciło puste jak u imbecyla oczy na krąg uzbrojonych mężczyzn przy drzwiach wejściowych. Koślawe zaś istoty z drewna przystanąły, jakby nasłuchując, po czym, już nie ślepe, obróciły się jak jeden mąż ku członkom Bractwa i ruszyły ostrożnie w ich stronę.

Jeden z tych osobników zatrzymał się przed Burghardem i cofnął swe drewniane ramię, będące niegdyś nogą od stołu, by zadać miażdżący cios, lecz nim zdążył opuścić rękę, Burghard rzucił się do

przodu i wepchnął miecz w staw barkowy tej istoty, a wówczas kawał drewna stanowiący jej ramię oderwał się od blatu stołowego, czyli klatki piersiowej, i spadł z głośnym łomotem na podłogę.

Bez udziału świadomej woli, Doyle uczynił gwałtowny wyrok i wepchnął swą broń prosto w brzuch drugiego osobnika – czując, jak napływają mu łzy do oczu pod wpływem bólu w stopie – ten zaś runął na podłogę jak stos drewna opałowego.

W ogólnej walce, która się rozpełtała, taktyka ta okazała się najskuteczniejsza, i choć Stowell został ogłuszony ciosem zadany przez jednego z tych osobników, a Doyle'owi niemal sparaliżowało rękę, gdy przeciwnik trafił go w ramię, to jednak po paru minutach skoków, uników i zadawania pchnięć członkowie Bractwa zamienili wszystkich wrogów w stos nieruchomego drewna. Wyjątek stanowił ostatni z nich, który znalazłszy się sam na sam z czterema wymierzonymi weń ostrzami, dał pokaz nadzwyczaj ludzkiego przerażenia i umknął przez otwarte drzwi.

Choć liliowe kule ognia wzniciły jeden czy dwa małe pożary pośród porozrzucanych kawałków drewna, to jednak świece w żyrandolach znowu płonęły jasnym światłem, a gryzący dym niemal całkiem zniknął.

– Jest gdzieś w pobliżu – sapnął Burghard. – Zacznijmy od kuchni i trzymajmy się razem.

Ruszył przed siebie.

– Czekaj – rozległ się chór głosów, a potem szuranie i stukanie, gdy Boaz i jego dwunastu nieszczęsnych gości zostało podniesionych do pozycji stojącej przez ektoplazmiczną pepowinę przytwierdzoną do ich głów. Kilku dobyło mieczy i sztyletów, pozostali zaś, w tym dwie stateczne matrony, podnieśli ciężkie kawałki drewna o długości i kształcie pałek.

Doyle spojrział w górę, tam gdzie zbiegały się wszystkie białe leje, i zobaczył, że kulista bryła na suficie przybrała kształt ogromnej, pozbawionej oczu twarzy, z której gapiowato otwartych ust o sflaczałych wargach wychodziły macki, cienkie jak sznurki poruszające kukielkami.

– Doyle – odezwały się wszystkie te istoty jednym głosem – zbierz swe niedobitki i znajdź schronienie, w którym nie dosięgnie cię mój gniew.

– Słusznie, Burghard – powiedział Doyle, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała nutka hysterii. – Czarnoksiężnik, który nie ma zbyt wiele czasu, skierowałby się do kuchni, tam gdzie znalazłby ogień, wrzątek i wszystko, co mu jest potrzebne.

Doyle, Burghard, Longwell i jeszcze jeden ocalały członek Bractwa, niski, krępy człowiek, rzucili się do kuchni, lecz karczmarz i biesiadnicy natychmiast zastąpili im drogę.

Doyle uchylił się przed ciosem wymierzonym przez tłustą damę i zdołał rękojeścią miecza wytrącić jej z dłoni kawałek drewna, by w sekundę później odparować ostrze wymierzone w jego pierś. Rzucił się odruchowo do przodu, wykonując ripostę i przezwyciężając w ostatniej chwili pierwszy odruch obrócił szpadę w ten sposób, by uderzyć osłoną rękojeści, a nie ostrzem, w brzuch marionetkowego napastnika.

Starsza dama płąsała wokół niego i w pewnej chwili uderzyła go mocno małą piastką w nerki. Krzyknął z bólu i odwrócił się na pięcie, zbijając ją kopniakiem z nóg, a gdy padała bezwładnie na podłogę, machnął poziomo ostrzem miecza, który przeciął białego węża sterczącego jej z głowy. Oba jego końce skurczyły się, a ten dłuższy zwinął się jak gumka elastyczna i plasnął o sufit, nim wciągnęły go, niczym obrzydliwe spaghetti, wyszczerzone usta. Przewrócona na podłogę dama zaczęła chrapać.

Choć byli biesiadnicy atakowali ze skoncentrowaną uwagą i wprawą, cały czas mamrotali coś pod nosem jak lunatycy. Jeden z mężczyzn, zapędzając Doyle'a do kąta szybkimi i zwodniczymi pchnięciami swego ostrza, które atakowany instynktownie odparowywał, dziękując Bogu, że Steerforth Benner ćwiczył szermierkę, dowodził tonem błażej rozmowy: „... mogła po prostu spytać, nim go wyrzuciła, to wszystko, o co mam pretensje, i zdaje mi się, że jeśli któreś z nas ma prawo być rozdrażnionym...”

„Rozdrażnionym”, powiedział, przemknęło przez myśl zdesperowanemu Doyle'owi, gdy w końcu wytrącił nieuchwytnie ostrze z dłoni zamroczonego mężczyzny.

„...to właśnie ja, moja droga – ciągnął spokojnie mężczyzna, wymierzając kopniaka, którego Doyle uniknął, podskakując – gdyż był to mój najcenniejszy dublet...”

Dwóch następnych, paplających mężczyzn o twarzach pozbawionych wyrazu ruszyło na niego z obnażonymi mieczami, i Doyle, nie chcąc mieć za plecami przeciwnika, ciął z bekhendu w przewód wychodzący z głowy człowieka, który uważał, iż ma prawo czuć się poirytowany; cios jednakże nie był dość silny i odbił się od białego węża, lecz mężczyzna zaskrzeczał, podskoczył jak raniony królik i upadł na podłogę. Doyle ustawił błyskawicznym ruchem miecz przed sobą, akurat wtedy, gdy obaj napastnicy zrobili ostatni już krok, unosząc broń i kierując jej ostrza w pierś Doyle'a.

Ten uskoczył w prawo, parując pchnięcie w niskim *quinte*, po czym zaczął posuwać się do przodu w trzyfazowym przysiadzie, opierając się jednocześnie na opuszkach rozsuniętych palców prawej dłoni, która spoczywała na podłodze, i po sparowaniu ciosu przeciwnika, wysunął przed siebie miecz, unosząc jego czubek nad głową; ledwie to uczynił, gdy drugi mężczyzna nadział się na ostrze, kierując swą broń w puste miejsce, w którym jeszcze przed sekundą znajdował się tors Doyle'a.

Pierwszy cofnął się o krok, gotów ranić Doyle'a w twarz. – „Gdyby ta przekłeta kocica zdecydowała, czy chce być w środku... – mówił cicho. Doyle szarpnął mieczem w bok, a wraz z nią umierającego człowieka, wprost pod pchnięcie tego pierwszego – ... czy też na zewnątrz” – ciągnął, wpychając ostrze głęboko w plecy swego kompana.

Niech cię diabli, Romany, pomyślał Doyle czując, jak ustępuje jego zimna krew i ogarnia go zwyczajna wściekłość, zabiłem przez ciebie jednego z nich. Uwolnił swą broń i uderzył bokiem ostrza w skroń człowieka, który żałował, że jego kot jest niezdecydowany, i gdy ten padał, Doyle chwycił wypaloną, lecz nie strzaskaną lampę olejową, która stała na podłodze, i cisnął nią jak piłką przez całą, oświetloną płomieniami, salę jadalną w stronę drzwi kuchennych. Pod wpływem uderzenia otworzyły się, a Doyle podskoczył do najbliższego ognistego języka, który wspinał się szybko po ścianie i rozprzestrzeniał po suficie; chwycił długi, płonący z jednego końca kawałek drewna, i rzucił nim, jak zapalonym oszczepem, do kuchni.

Posłyszał, jak płonące drewno uderza o kamienną posadzkę... I kiedy już myślał, że mu się nie udało, z kuchni buchnął pomarańczowy płomień. W tym momencie marionetkowi ludzie zakrzyknęli jednocześnie, jak tuzin radiodbiorników nastawionych na tę samą stację, po czym odrzucili swą broń, rozejrzeli się wkoło z przerażonymi minami, po czym wszyscy, z wyjątkiem szynkarza Boaza, runęli ku drzwiom.

Macki ektoplazmy zwisały teraz luźno, nie połączone już z niczym, a w chwilę później wielka biała twarz oderwała się z głośnym młaśnięciem od sufitu, po czym runęła przez zadymione powietrze, by uderzyć ze straszliwym chlupnięciem o podłogę. Doyle przeskoczył przez nią i ruszył biegiem do płonącej kuchni, mając tuż za sobą Burgharda i kulejącego Longwella, który kłął jak szewc. Boaz podbiegł do półki ze szklankami, zmiótł je na podłogę, gdzie się roztraskały, chwycił zawinięty w płótno pakunek, który leżał z tyłu i rozwijając go drżącymi dłońmi pobiegł za pozostałymi.

Doyle wskoczył do kuchni, wywijając swym ostrzem szalone ósemki, lecz doktora Romany tam nie było. Wyhamował stopami na brudnej podłodze i rozejrzał się, najpierw z uwagą, potem ze zdziwieniem; choć kuchnia była zachlapana kopającym się olejem, mógł dostrzec, że półki, ławy, stoły, a nawet kamienny kominek są wypaczone, ściągnięte ku środkowi pomieszczenia, jakby stanowiły formy z gumy, wymalowane i wyrzuczone od spodu.

Burghard wpadł od tyłu na Doyle'a, Longwell zaś i wściekły szynkarz, wymachujący skałkowym pistoletem odwiniełym z płótna, wpadli na Burgharda. Boaz upuścił broń, która upadła w brudnym kącie.

– Guerlay nie żyje – dyszał Burghard. – Chcę dopaść tego doktora Romany.

Szynkarz podniósł broń i zaczął machać na wszystkie strony pistoletem o zapchaną brudem lufie i dopytywać się, czy książę Yorku zapłaci mu za zniszczenie gospody.

– Pewnie, do diabła – warknął Burghard. – Kupi ci nową, gdzie tylko zechcesz. Daj mi to, zanim kogoś zabijesz – dodał, zabierając mu broń. – Dokąd prowadzą te drzwi?

– Do sieni – odparł niechętnie Boaz. – Na prawo są pokoje, na lewo stajnie.

– Bardzo dobrze, przeszukajmy zatem...

Nagle ogień zaczął palić się wścieklej, więc zamiast płomieni pomieszczenie wypełniała teraz nieruchoma poświata, której kolor przechodził od żółtopomarańczowego do białego; po raz drugi tej nocy Doyle wdychał pałacę, pozbawioną tlenu powietrze.

– On dokonuje tego wszystkiego z zewnątrz – dławił się Burghard. – Biegnijmy!

Burghard i Longwell wytoczyli się do sieni. Doyle ruszył w ślad za nimi, lecz przypomniał sobie nieprzytomnego Stowella, wrócił więc biegiem do sali jadalnej, która również płonęła coraz wścieklej.

Stowell siedział na podłodze, mrugając oślepiiony białym światłem. Doyle zbliżył się do niego, pomógł mu wstać i poprowadził ku drzwiom.

Jednakże Stowell cofnął się, gdy płonące nadproże buchnęło fontanną białych iskier, a na podłogę runęło pół tony gruzu i drewna.

– Niedobrze! – krzyknął Doyle. – Z powrotem do kuchni! – Chwyć Stowella za ramię i pociągnąj oszołomionego mężczyznę za sobą. – Uważaj, tam jest istny piec – uprzedził, zbierając się na odwagę, by wejść do płonącego pomieszczenia. Po chwili rzucili się do przodu i wpadli do kuchni, uderzając dłońmi iskry, które tańczyły na ich

ubraniach i brodzie Doyle'a, i w końcu przedostali się do względnie chłodnej kuchni. – Tu powinny być drzwi – rzucił chrapliwie Doyle – po czym ujrzał, że po lewej stronie, na końcu, zalega góra tłącego się gruzu. – Jezu – wyszeptał bezradnie.

– Szszszsz!

Doyle odwrócił się w stronę, skąd dochodził ten dźwięk, i ujrzał bez szczególnego zdziwienia mrugającą do niego głowę potężnego szynkarza na poziomie podłogi. Po chwili uświadomił sobie, że mężczyzna tkwi po szyję w otworze.

– Tutaj, głupcy! – wrzasnął Boaz. – Do piwnicy! Łączy się z kanałem pod sąsiednią ulicą, choć niby dla czego miałbym ratować drani z przeklętego Bractwa Anteusza...

Doyle otrząsnął się z odrętwienia i ruszył czym prędzej do dziury, pchając przed sobą na wpeł nieprzytomnego Stowella. Boaz był już na dole drabiny, pomagając niecierpliwie Stowellowi stawiać stopy na szczeblach. Doyle schodził tuż za nimi, zamykając za sobą wąż. Po chwili wszyscy trzej znaleźli się na kamiennej podłodze, spoglądając na beczki i skrzynie, ledwie widoczne w blasku dwu skrzących się łańcuchów przy butach.

– To francuskie wina, które chowałem na specjalne okazje – stwierdził krótko szynkarz, wskazując ruchem głowy stos skrzynek. – Tędy, obok cebuli.

Gdy opuścili piwnicę i ruszyli wąskim, kamiennym korytarzem, Doyle spytał, zniżając instynktownie głos do szeptu:

– Na co ci ta kryjówka?

– Nieważne... A zresztą, co mi tam. Kanał jest przy końcu tak szeroki, że można wpłynąć łodzią od strony rzeki. Czasem jest mądrze nie kłopotać Izby Celnej dostawą towaru... Zdarza się też, że jakiś gość chce wyjść po cichu z gospody, drzwiami, których nie widać.

Teraz i ja wychodzę niewidocznymi drzwiami, pomyślał Doyle.

Kiedy przeszli tunelem jakieś czterdzieści kroków, łańcuchy przy butach przygasły i przestały świecić.

– Wydostaliśmy się poza sferę magii – mruknął Stowell.

– Jakby nie było dość tego, że te cholerne łańcuchy roznieciły ogień – warknął Boaz. – Jesteśmy na miejscu, możecie zobaczyć przez kraty światło księżyca.

Podłoga tunelu podchodziła przy samej kracie pod sklepienie, więc Doyle musiał przygiąć kolana, by oprzeć się ramieniem o żelazne pręty. Spojrzał bokiem na Boaza i uśmiechnął się.

– Miejmy nadzieję, że jestem lepszy w rozbijaniu krat niż cynowych kufla.

Po chwili jego twarz straciła jakikolwiek wyraz, gdy natężył wszystkie siły, by się wyprostować.

Prawdę powiedziawszy – myślał roztrzęsiony książę Monmouth, podchodząc do płonącej gospody – wcale nie potrzebuję tych czarnoksiężników, czy też ich przekłętogo aktu zaślubin. Powiedziałem przecież Fikeemu, że mam wszelkie powody wierzyć, iż moja matka została naprawdę – a jest to udokumentowane – zaślubiona w Liège przez króla Karola II, a ślubu udzielił im biskup Lincoln. Dlaczego więc nie próbuje odszukać prawdziwego aktu małżeńskiego?

Wydał wargi, gdyż znał odpowiedź, a ta mu się nie podobała. Było jasne, że Fikke nie wierzy, iż Monmouth jest w istocie prawnym spadkobiercą tronu, a zatem jego wysiłki nie mogły być utożsamiane ze zwykłą, patriotyczną troską.

Podstępny czarnoksiężnik liczy na łaski i korzyści z mej strony, gdy już zostanie koronowany, pomyślał. A przypuszczam, że najwyższą łaską będzie wyrażenie zgody na to, o co zabiega już od lat: na wyrzeczenie się wszelkich brytyjskich interesów w Tangerze. Zastanawiam się, myślał dalej Monmouth, dlaczego Fikee tak bardzo pragnie, by w Afryce nie usadowiła się jakakolwiek europejska potęga.

Spojrzał na nienaturalnie wysokiego czarnoksiężnika, który stał tuż obok, trzymając w dłoniach czarne pudełko ze sfalszowanym dokumentem.

– Na co czekamy, czarnoksiężniku?

– Zamknij się, dobrze? – warknął Fikee, nie odrywając wzroku od płonącego budynku. Nagle wskazał gdzieś. – Och! Tam!

Zza narożnika wybiegł człowiek w płonącym odzieniu, skacząc przy każdym kroku na nieprawdopodobną wysokość trzech metrów, ścigany przez dwóch ludzi, którzy także wydawali się być ogarnięci ogniem; w każdym razie z ich butów sywały się skry.

Fikee ruszył biegiem, gdy jeden ze ścigających skoczył szczupakiem do przodu i zwałił z nóg płonącego człowieka, po czym zaczął tarzać się z nim po śniegu.

Dzielny postępek, pomyślał Monmouth. Lecz po chwili tęgi człowiek znalazł się na wierzchu ogłuszonej i wciąż palącej się postaci. Monmouth aż sapnął, gdy zobaczył, jak dobywa sztyletu i godzi nim

w pierś leżącego, lecz ostrze skreśliło nagle w bok, a wtedy obaj mężczyźni zaczęli zмагаć się gwałtownie na śniegu.

Jeszcze kilka kroków i znajduję się przy nich, pomyślał Fikee, biegnąc niezgrabnie ku walczącym. Być może osiągniemy jeszcze powodzenie, bo choć czarnoksiężnik musi znajdować się w straszliwej agonii, leżąc tak na ziemi, której się wyrzekł, owi napastnicy z pewnością nie mogą go zabić ogniem, stalą – czy też ołowiem – dodał, gdyż zobaczył, jak drugi ze ścigających wyciąga spod peleryny pistolet o szerokiej lufie.

Burghard wiedział, że wystrzał z broni, ani też idiotyczny cios nożem zadany przez Longwella nie może zabić czarnoksiężnika, zwłaszcza w obrębie magicznej sfery. Ujrzał jednak, jak doktor Romany wyciąga dłoń i łapie za łańcuch przy bucie jego towarzysza. Pałaca się dłoń zaskwierczała głośno, a czarnoksiężnik zawył z bólu i oderwał łańcuch gwałtownym szarpnięciem. Pozostała zaledwie sekunda, by przeszkodzić doktorowi Romany w zniszczeniu bezbronniego Longwella; Burghard skoczył do przodu, przystawił lufę pistoletu do twarzy doktora w chwili, gdy czarnoksiężnik otwierał usta, by wypowiedzieć jakieś niszczycielskie zaklęcie, i pociągnął za spust.

Twarz doktora Romany przestała istnieć, on sam zaś runął w splamiony krwią śnieg.

Obaj mężczyźni, Burghard i Amenofis Fikee, znieruchomieli, spoglądając w zdumieniu na rozciągnięty i nieruchomy kształt. Książę Monmouth, lękając się, iż zostanie wmieszany w sprawę o morderstwo, kiedy to jego ojciec, król, zakazał mu postawić chociażby stopę w kraju, odwrócił się i uciekł.

Burghard wyciągnął powoli dłoń i wytrącił z rąk Fikeego czarne pudełko.

Kiedy Doyle, który wierzył, że jak doliczy do trzydziestu, to skończy się jego męka, doszedł do dwudziestu ośmiu, żelazna rama wrzynająca mu się w bark wyskoczyła nagle z metalicznym brzękiem i hukiem pełkającej zaprawy na bruk ulicy. Doyle odsunął kratę na bok i wyskoczył z kanału. Sięgnął dłonią w dół i chwycił karczmarza za nadgarstek, po czym wyciągnął go na zewnątrz. To samo zrobił ze Stowellem.

- Słyszeliście jakieś hałasy, kiedy podważałem kratę? – spytał. – Wydaje mi się, że coś było słychać.
- Zgadza się – sapnął Stowell, pocierając ramię. – Krzyk i strzał.
- Wracajmy tam.
- Ruszyli biegiem tam, skąd przyszli, tym razem po bruku ulicy, i po kilku krokach Doyle poczuł, jak jego łańcuch przy stopie znów się rozgrzewa. Znużony dobył jednak miecza.
- Lecz gdy wybiegli z za rogu płonącego budynku, ujrzeni, że jest już po wszystkim. Burghard i Longwell siedzieli na środku ulicy, patrząc na ogień. Burghard bawił się małym czarnym pudełkiem, podrzucając je i łapiąc. Gdy ujrzał czarną od sadzy trójkę, zerwał się na równe nogi, a zapomniane przez niego pudełko spadło na bruk.
- Jak, na Boga, zdołaliście się wydostać? – zawołał. – Ten twój czarnoksiężnik pozamykał wszystkie drzwi, gdy tylko wybiegliśmy z gospody.
- Przez piwnicę i kanał – powiedział chrapliwie Doyle. Zachwiał się, gdyż zmęczenie wywołane wypadkami nocy zaczęło brać nad nim górę. – Gdzie jest Romany?
- Jakoś zdołałem go zabić – odparł Burghard. – Myślę, że na zewnątrz czekali jego sprzymierzeńcy, ale czmychnęli, kiedy go zastrzeliłem. Przeciągnęliśmy go na drugą stronę ulicy, byle dalej od magicznej strefy...
- Przeszukaliście go? – przerwał gorączkowo Doyle, zastanawiając się, jak długo może jeszcze trwać pole szczeliny, jeśli już się nie zamknęło.
- Miał tylko ten papier...
- Doyle wyrwał mu wilgotny i pokryty ciemnymi plamami kawałek papieru, spojrział na niego, po czym znów podniósł wzrok.
- Dokąd zaciągnęliście jego ciało?
- Tam, pod ten... – Burghard wskazał ręką i otworzył szeroko oczy z przerażenia. – Mój Boże, nie ma go! A przecież wypaliłem mu prosto w twarz!
- Doyle przygarbił się załamany.
- Musiał udawać. Nie sądzę, by można było zabić ich z broni palnej.
- Też tak uważałem – powiedział Burghard – ale przecież widziałem, jak jego twarz rozpada się w kawałki, kiedy wypaliłem do niej z broni Boaza! Do diabła, nie jestem jakimś młodzikiem, który przechwala się, że kogoś tam zabił. Longwell, wszak widziałeś...
- Poczekaj chwilę – przerwał mu Doyle. – Czy to ta broń, która upadła na ziemię?

– Ta sama. Mam szczęście, że nie wybuchnęła mi w dłoni, tak była zapchana błotem.

Doyle skinął głową. Lufa pełna błota mogła rzeczywiście okaleczyć straszliwie doktora Romany, podczas gdy sama kula nie uczyniłaby mu krzywdy – pomyślał. – To musi mieć coś wspólnego z ich awersją do ziemi.

Otworzył usta, by wyjaśnić całą rzecz Burghardowi, ale w tym momencie zgasło wszelkie światło i Doyle polecił, jak mu się zdawało, na wskroś globu, wprost w bezgwiazdną przestrzeń po drugiej stronie.

Po ogłuszającym „huku” Burghard wpatrywał się przez kilka chwil w puste miejsce, w którym stał niegdyś Doyle, i w stos odzieży, która spadła w śnieg. Potem rozejrzał się wokół.

Zbliżył się Longwell, kręcąc głową.

– Słyszałeś ten grzmot, który nie dochodził z miejsca pożaru? – spytał. – No i dokąd poszedł sobie nasz tajemniczy przewodnik?

– Tam, skąd przybył, bez wątpienia – odparł Burghard. – Mam nadzieję, że jest tam cieplej. – Spojrzał na Longwella, unosząc brew. – Czy rozpoznałeś tego człowieka, który czekał przed gospodą na doktora Romany?

– Prawdę powiedziawszy, Owen, wyglądał jak przywódca Cyganów, Fikee.

– Hm? Och, pewnie, Fikee tam był, ale mnie chodzi o tego drugiego.

– Nie, nie spojrzałem na niego. A kto to był?

– Wyglądał jak... ale tamten powinien być teraz w Holandii. – Obdarzył Longwella pełnym znużenia uśmiechem, w którym nie było radości. – Nigdy się prawdopodobnie nie dowiemy, co się tu dzisiaj nocy wydarzyło.

Schylił się i podniósł czarne pudełko. Stowell podszedł z wysiłkiem, śnieg skrzypiał pod jego butami.

– Nie powinienem był cię tam zostawiać, Brian – powiedział Burghard. – Jest mi przykro i cieszę się, że brodacz wrócił po ciebie.

– Nie winię cię – odparł Stowell. – Sam myślałem, że to już koniec ze mną. – Otarł kułakiem oczy. – Co masz w tym pudełku?

Burghard podrzucił je w górę i złapał.

– Coś magicznego, jak przypuszczam.

Cisnął je przez okno pozbawione szyby, w głąb wrzących od ognia zgliszcz.

Włokąc się na niepewnych nogach i starając się dojrzeć cokolwiek jednym okiem, doktor Romany płakał z wściekłości. Nie mógł sobie przypomnieć, kto go zranił i dlaczego, ale wiedział, że jest teraz bezradny. Była też jakaś pilna wiadomość, którą musiał komuś przekazać, ale umknęła mu z głowy razem z utraconą krwią, nim oprzytomniał i nabazgrał na śniegu kilka podstawowych znaków. Gdyby tylko umiał wypowiedzieć zaklęcie, to być może zdołałby się uleczyć, lecz miał strzaskaną szczękę, której połowa zniknęła, więc wypisane na śniegu zaklęcia pozwalały mu jedynie zachować świadomość i utrzymać się przy życiu.

Było jednak coś, o czym wiedział i z czego był głęboko zadowolony: człowiek o nazwisku Doyle już nie żył. Romany uwięził go wewnątrz gospody i gdy wyczołgał się ukradkiem z miejsca, w którym pozostawili go jako martwego, obejrzał się i zobaczył, że budynek, z którego nie było wyjścia, płonie tak wielkim ogniem, że nic, co było w jego wnętrzu, nie mogłoby ocaleć.

Poczucie równowagi zniknęło, więc z ogromnym trudem poruszał się na swoich sprężynowanych podszewkach. No cóż, pomyślał, jestem już dość wiekowym ka. Po kilku dziesięcioleciach zużycia stanę się tak lekki, że siła przyciągania przestanie na mnie działać i będę mógł pozbyć się tych diabelnych butów. A wypisane zaklęcia będą podtrzymywać mnie przy życiu, aż moja twarz wydobrzeje i znów będę w stanie mówić. Z odrobiną szczęścia powinienem dotrzeć do 1810 roku. I – myślał nadal – gdy 1810 wreszcie nadejdzie, poszukam pana Brendana Doyle'a. Kupię tymczasem tę ziemię, na której stała gospoda, i zaprowadzę tam w tymże 1810 pana Doyle'a, i pokażę mu jego własną, wypaloną czaszkę.

Gdzieś z dolnej części zmasakrowanej twarzy dobył się bulgoczący grzechot, który mógłby uchodzić za wymuszony śmiech.

Po kilku krokach znów stracił równowagę, oparł się o ścianę i zaczął osuwać na bruk; wtedy chwyciła go jakaś ręka, dźwignęła w górę i podtrzymała, by mógł zrobić następny krok. Odwrócił głowę, by spojrzeć zdrowym okiem na swego wybawcę, i zobaczył bez zdziwienia, że to wcale nie człowiek, ale ożywiony zbiór kawałków drewna, będących niegdyś bez wątplenia stołem, o kształcie zbliżonym do ludzkiego. Romany objął z wdzięcznością solidną deskę, która stanowiła ramię tej istoty, po czym bez słowa, jako że objął byli pozbawieni zdolności mowy, ruszył przed siebie.

Rozdział 10

*Minerały są pożywieniem dla roślin, rośliny
dla zwierząt, zwierzęta dla ludzi; ludzie też
będą pożywieniem dla innych istot, lecz nie
bogów, gdyż ich natura jest odmienną od naszej;
a zatem muszą stać się pożywieniem dla diabłów.*

Hyperchen Gerolamo Cardano

Po bardzo krótkim locie, Doyle wylądował nagimi stopami na biurku; nie musiał nawet specjalnie uginać kolan, by utrzymać się w pozycji wyprostowanej. Stwierdził, że znajduje się w namiocie. Jak człowiek, który właśnie przebudził się z koszmaru sennego i z wolna rozpoznaje szczegóły swej sypialni, przypomniał sobie, gdzie widział już to biurko i stos papierów, świece i statuetki – był to cygański namiot doktora Romany. Zauważył też, zeskakując z biurka, że jest całkiem nagi; dzięki Bogu było tu ciepło. Najwyraźniej powrócił do roku 1810.

Ale jakim cudem? – zastanawiał się. – Nie miałem przy sobie mobilnego haczyka.

Podszedł do wyjścia i odchylił nieznacznie połę namiotu, by ujrzeć dwa gigantyczne szkielety, niewyraźne jak obrazy pozostające na siatkówce oka po jego zamknięciu, które poruszały się w zwolnionym tempie za płonącymi namiotami; rozplynęły się w nicłość, i to tak szybko, że Doyle nie był nawet pewien, czy je naprawdę widział. Słysząc było tylko, poza cichym trzaskiem ognia, zupełnie nie pasującą do sytuacji wesołą muzykę pianina i akordeonu, która dochodziła z północnego krańca obozu.

Opuścił połę namiotu, po czym zaczął przeszukiwać porozrzucane rzeczy. Znalazł w końcu jakąś szatę z paskiem i sandały na wyso-

kich obcasach, które założył, a także czysty szal do przewiązania wciąż krwawiącej stopy i wreszcie miecz w pochwie. Poczul się nieco pewniej i wyszedł z namiotu.

Z lewej strony dobiegł go odgłos kroków. Wyciągnął broń i obrócił się w tamtą stronę. Po chwili stanął oko w oko ze starym Cyganem, Niecnym Ryszardem, który przyglądał mu się zdumiony, po czym cofnął się gwałtownie, chwytając za sztylet.

Doyle skierował ostrze ku ziemi.

– Nic ci z mojej strony nie grozi, Ryszardzie – rzekł cicho. – Z wdzięczam ci życie... a także kilka drinków. Jak tam twoja małpka?

Brwi Cygana uniosły się tak wysoko jak było to tylko możliwe. Jego uzbrojona w sztylet dłoń drgnęła kilka razy i znieruchomiała przy boku.

– No... bardzo *kuszt*, dzięki, zwłaszcza za troskę – odparł niepewnie. – Hm... gdzie jest doktor Romany?

Melodia niesiona chłodnym, wieczornym wiatrem przybrała wolniejszy i bardziej melancholijny ton.

– Odszedł – powiedział Doyle. – Nie sądzę, byś kiedykolwiek miał go ujrzeć.

Ryszard skinął głową, przyjmując to do wiadomości, po czym schował sztylet, wyjął z kieszeni małpkę i przekazał jej szeptem nowiny.

– Dziękuję – powiedział w końcu, znów spoglądając na Doyle'a. – Teraz muszę odejść i zebrać moich biednych ludzi. – Zaczął odchodzić, ale po kilku krokach przystanął i odwrócił się, a wtedy Doyle dostrzegł w świetle płonącego namiotu błysk zębów. – Chyba twoi *gorgios* nie zawsze są głupi – stwierdził, po czym znów ruszył przed siebie.

Namiot, z którego Doyle wyszedł, stał już w płomieniach, a na tle czystego nocnego nieba wirowały płonące kawałki płótna. Przypominając sobie nocnik, który rozbił mu się nad głową, Doyle pomacał się ostrożnie po włosach; wydawały się czyste, więc doszedł do wniosku, że musiał pozostawić nieprzyjemną woń w 1684 wraz z pożyczonym ubraniem.

– Ashbless! – krzyknął ktoś z prawej strony. Minęła długa chwila, nim Doyle uświadomił sobie, że jest Ashblessem.

To musi być Byron, pomyślał. Może raczej ka Byrona, poprawił się.

– Tutaj, milordzie – zawołał.

Z ciemności wynurzył się kulejący Byron. Rozglądał się wkoło i trzymał w pogotowiu sztylet.

– Tu jesteś – powiedział. Przyjrzał się bliżej. – Po co nałożyłeś tę szatę i dziwaczne buty?

– To... długa historia – powiedział Doyle, chowając swój miecz. – Chodźmy stąd, muszę znaleźć parę spodni i dużą szklanę czegoś mocnego.

– Och? – zamrużył Byron. – A co z ognistymi olbrzymami? Odeszli?

– Tak. Romany ich wypalił, nasycił nimi pewne zaklęcie, dzięki któremu umknął.

– Zaklęcia – powtórzył z odrazą Byron i splunął. – Więc gdzie jest teraz?

– Odszedł – odparł Doyle. – Jest już prawie na pewno martwy.

– Do diabła. Miałem nadzieję, że uda mi się go zabić własnoręcznie. – Przyjrzał się podejrzliwie Doyle'owi. – Wydaje się, że bardzo dużo o tym wiesz. I jakim cudem straciłeś spodnie w ciągu zaledwie kilku minut, jakie upłynęły od chwili, gdy widziałem cię po raz ostatni?

– Odejdźmy stąd – powtórzył Doyle, który zaczął się już trząść z zimna.

Przeszli obok drzewa, z którego Doyle wcześniej spadł, odrywając konar – wedle miejscowego czasu zaledwie przed paroma minutami, jak sobie uświadomił – po czym ruszyli przez łąkę, a w miarę jak coraz bardziej oddalali się od ognia podążające przed nimi cienie niknęły stopniowo w ciemności.

Istota ukryta w ciemnej trawie przekonała się, że łatwiej jej będzie pełznąć niż iść, gdyż mogła chwytac się chwastów i podciągać do przodu, odpychając się czasem od ziemi stopami, dzięki czemu nie musiała rozpląszczać się na brzuchu; w oczach przygodnego widza wyglądałaby jak zwinny skorupiak sunący po morskim dnie.

No cóż, pomyślał stwór, który nie różnił się nigdy niczym od człowieka, ostatni rachunek został wyrównany, długi krąg zamknął się, a człowiek, który mnie zniszczył, wyruszył już w drogę, by paść w końcu z mojej ręki. Widziałem, jak jagowie zniknęli, wiem zatem, że już go nie ma – istota zachichotała, co przypominało szelest suchych liści na wietrze. – Jeszcze przed półgodziną bałem się, że może jakimś cudem uniknąć śmierci, a teraz jest martwy od stu dwudziestu sześciu lat.

Usłyszała głosy i szuranie stóp w trawie, dochodzące od tyłu, z prawej strony, zaprzestała więc pełznąć, tylko przechylała się stopnio-

wo na bok, aż w końcu, oparta o krzew, znieruchomiła, leżąc na plecach z wyciągniętymi w górę rękami i nogami.

– Ale jeśli moi przyjaciele pozwolą nam zatrzymać się u siebie – mówił niecierpliwie jeden z mężczyzn – a ja ci powtarzam, że zrobią to z radością, to czemu by nie?

Wydaje mi się, że to ten młody lord, pomyślała istota w trawie. Mielśmy go nakłonić, by uczynił coś dla nas. Tak, i był on ka, oryginał zaś znajdował się w Grecji. Jak on się nazywał? No i miał zabić króla. Spiski i knowania, skutki obłąkania.

– No cóż – odparł ktoś drugi z powątpiewaniem – uważają, że nie ma cię w kraju. Jak im wyjaśnisz swoją obecność tutaj?

Było w tym drugim głosie coś, co głęboko zaniepokoiło pełznącą istotę, która usiadła tak szybko, że uniosła się nad ziemią i zawisła nad nią przez moment, niemal jak zużyty balon, i gdy znów opadła, odbiła się mocno nogą i wyskoczyła na wysokość siedmiu metrów, by widzieć, co się wokół niej dzieje.

Od strony płonących namiotów, po łące, szło dwóch mężczyzn, a opadająca z wolna istota patrzyła z przerażeniem na tego wyższego. Tak, jest bardzo wysoki – myślała – no i ta grzywa włosów i broda, które wydają się jasne, na Izydę! Ale jaki diabeł pomógł mu wy dostać się z gospody? Kim jest ten człowiek o nazwisku Doyle?

Zaczęła machać rękami jak pływak, by opaść szybciej na ziemię, gdyż musiała za nim podążyć. Jeśli w zdruzgotanym ka, który był niegdyś doktorem Romany, tliła się jeszcze jakaś iskierka świadomego celu, to była nim chęć ujrzenia wreszcie martwego Doyle’a.

Sztucznie wywołana gorączka zaczynała ustępować i doktor Romanelli wpatrywał się gniewnie w swego pacjenta pogrążonego w spokojnym śnie. Niech cię diabli, Romany, rzekł do siebie, daj mi znać, jak to wszystko przebiega. Ta cała historia z gorączką nie potrwa już długo; będę musiał albo go zabić, albo pozwolić mu wyzdrowieć.

Doktor położył dłoń na czole lorda Byrona i zaklął cicho, gdyż było chłodne. Śpiący poruszył się, więc Romanelli wyszedł na palcach z pokoju. Śpij dalej, milordzie, pomyślał. Trochę dłużej, przynajmniej do chwili, w której otrzymam wieści od mego niekompetentnego duplikatu. Wkroczył do nie uporządkowanego pokoju, który służył mu za gabinet, spojrzął z nadzieją na zapaloną, lecz obojętną Świecę Odległej Mowy, po czym westchnął i powiódł spojrzeniem przez otwarte okno, ku słońcu, które zachodziło nad wzgórzami,

gdzieś za Missolongi. Szeroka zatoka Patras była już pogrążona w cieniu, a kilka łodzi rybackich zmierzało do brzegu. Ich trójkątne żagle wydymała wieczorna bryza.

Trzask dobiegający od strony stołu sprawił, że odwrócił się gwałtownie i wlepił wzrok w świecę, która zaczęła płonąć jaśniej.

– Romany! – zawołał w stronę płomienia. – Czy wszystko w porządku?

Płomień świecy był milczący i choć z każdą sekundą palił się coraz jaśniej, nie przybierał kulistego kształtu.

– Romany! – powtórzył czarnoksiężnik, tym razem głośniej, nie dbając o to, że obudzi Byrona. – Czy mam go teraz zabić?

Nie było odpowiedzi. Nagle niemal oślepiająco jasna świeca zgięła się w połowie, niczym przywołujący kogoś palec, po czym rozszczerzyła się cicho, a na blat stołu zaczęła wylewać się parująca struga wosku – doktor Romanelli jęknął ze zdumienia. Gdy świeca skurczyła się do postaci syczącej plamy, zobaczył, że poskręcany knot na całej swej długości promieniuje białozłotym blaskiem.

Niech mnie diabli, pomyślał, to oznacza, że świeca mojego ka spala się w tym momencie. Jego namiot musiał stanąć w ogniu. Czyżby utracił władzę nad jagami? Tak, to musi być właśnie to – zbyt szybko ożywili i wznieśli pożar w obozie. A zatem nie będą gotowi spalić jutro Londynu; pozostaną nasyceni i rozleniwieni przez długie tygodnie. Romany, ty nieporadny, przeklęty... falsyfikacie!

Czekał, aż knot przestanie promieniować, a kałuża wosku zacznie stygnąć i matowieć, po czym udał się do garderoby, otworzył kufer i wyjął ostrożnie następną świecę. Odpakował ją, a następnie zdjął z lampy oświetlającej pokój zakopcony szklany klosz, by odpalić od jej płomienia knot. Po kilku chwilach nowa świeca rozkwitła magicznym, kulistym płomieniem.

– Mistrzu! – szepnęła w stronę światła Romanelli.

– Tak, Romany – odpowiedział natychmiast jękliwy głos Mistrza. – Czy jagowie są przychylni? Czy zabawka jest wystarczająco...

– Niech to diabli, tu Romanelli. Coś się nie powiodło po londyńskiej stronie. Moja świeca stopiła się, gdy próbowałem się z nim porozumieć, pojmujesz? Jego świeca jakimś cudem spłonęła. Myślę, że utracił kontrolę nad jagami. Nie wiem, czy mam zabić Byrona czy nie.

– Roman... Romanelli? Spłonęła? Zabić? Co mówisz?

Romanelli powtórzył wieści kilkakrotnie, aż w końcu Mistrz pojął sytuację.

– Nie – stwierdził. – Nie, nie zabijaj Byrona. Plan da się jeszcze uratować. Jedź do Londynu i sprawdź, co się wydarzyło.

– Ale podróż zabierze mi co najmniej miesiąc – zaprotestował Romanelli. – A do tego czasu...

– Nie – przerwał mu Mistrz. – Nie podróżuj, udaj się tam natychmiast. Musisz tam być jeszcze tego wieczoru.

Ostatnie, świetliste ostrze słońca błysnęło zza wzgórz Patras. Po zatoce nie pływały już żadne łodzie.

– Dziś wieczór? – powtórzył chrapliwym szeptem Romanelli niczym echo. – Ja... mnie nie stać na coś takiego. Magia tego rodzaju... Jeśli mam działać jak najlepiej, dotarłszy na miejsce...

– Czy to cię zabije? – zaskrzeczał płomień głosem Mistrza.

Na czoło Romanellego wystąpił pot.

– Wiesz, że nie – odparł. – Nie całkiem.

– Więc nie trać więcej czasu.

Niski człowiek podążający Leadenhill Street poruszał się z przesadną pewnością siebie, która nie pasowała do jego wyglądu, gdyż w świetle mijanych okien i ganków jego ubranie sprawiało wrażenie wymiętego, a twarz, choć o jasnych oczach i zaciętym uśmiechu, była wymizerowana i pozbawiona jednego ucha.

Sklepy w większości już pozamykano, ale z otwartych drzwi nowego salonu fryzjerskiego wciąż sączyło się na bruk ulicy światło. Niski, uśmiechnięty człowiek wszedł do środka i zbliżył się do długiego kontuaru, po czym zaczął tak szybko uderzać w stojący na nim dzwonek, jakby ktoś obiecał mu szylinga za każde „dzyń”.

Po drugiej stronie kontuaru pojawił się zdyszany subiekt, przyglądając się uważnie klientowi.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i przestał się tym bawić? – powiedział głośno, by było go słychać.

Dzwonienie ustało.

– Mam życzenie pogadać z twoim szefem – oświadczył niski mężczyzna. – Zaprowadź mnie do niego.

– Jeśli przyszedł pan tu, żeby usunąć sobie włosy, to nie musi pan rozmawiać z szefem. Ja mogę...

– Pytałem o szefa, synu, i z szefem będę gadał. Chodzi o mojego przyjaciela, rozumiesz – przysłał mnie tutaj, by tak powiedzieć. Nie może chodzić po ulicy, bo – tu mężczyzna mrugnął znacząco do subiekta – porasta włosami, strasznie gęstymi, na całym ciele. He?

Rozumiesz? I nie próbuj, synu, sięgać po tę twoją wielgachną broń. Prowadź mnie do szefa.

Subiekt zamrugał i oblizał usta.

– Hm... do diabła... no dobrze, zgoda. Zechce pan poczekać, kiedy ja... albo nie. Hm, zechce pan udać się za mną, sir? – Podniósł blat kontuaru, by niewysoki człowiek mógł przejść na drugą stronę. – Proszę tędy. Nie robi pan... niczego szalonego, prawda?

– Nie ja, synu – odparł mężczyzna, najwyraźniej zaskoczony i urażony samą myślą.

Przeszli obaj przez tylne drzwi i znaleźli się w ciemnym korytarzu. Kiedy dotarli do jego końca, zostali zatrzymani przez mężczyznę, który wstał na ich widok ze stołka.

– Co to ma znaczyć? – spytał, podczas gdy jego dłoń ujęła szybko sznur od dzwonka. – Klientom nie wolno tu wchodzić, wiesz o tym, Pete.

– Ten facet zjawił się przed chwilą – wyjaśnił pospiesznie Pete – i mówi, że...

– Mój przyjaciel porasta futrem na całym ciele – wtrącił niecierpliwie niski mężczyzna. – A teraz zaprowadźcie mnie do waszego cholernego szefa, dobra?

Strażnik z korytarza posłał Pete'owi pełne wymówki spojrzenie. Pete wzruszył bezradnie ramionami.

– On... jakimś cudem wiedział o mojej broni. Radził mi, żebym po nią nie sięgał.

Po chwili zastanowienia strażnik puścił sznurek od dzwonka.

– Doskonale – stwierdził. – Poczekajcie tu, a ja go powiadomię. – Otworzył drzwi za swoimi plecami i wszedł do środka, zamykając je starannie, ale sznur nie przestał się nawet kołysać, gdy otworzył je ponownie. – Wracaj do salonu, Pete – powiedział. – Pan, sir, może udać się za mną.

– Niech będzie, *chief*. – Mężczyzna w zaniedbanym ubraniu uśmiechnął się szeroko i ruszył bezzwłocznie przed siebie.

Za progiem znajdował się hol z kilkoma drzwiami. Strażnik wskazał ruchem ręki te, które były otwarte.

– To jego gabinet – powiedział i cofnął się.

Niski mężczyzna zaczesał do tyłu sztuczne włosy z komiczną starannością, po czym wszedł do pokoju.

Zza biurka, na którym panował bałagan, podniósł się stary człowiek o twardych, jasnych oczach i wskazał krzesło.

– Proszę siadać, sir – powiedział przejmująco głębokim głosem – i przyjmijmy za pewnik, że jestem dobrze uzbrojony, zgoda? Rozu-

miem, że pan... – Przerwał i przyjrzał się dokładniej twarzy swego gościa. – D... Doyle? – spytał z niedowierzaniem. Sięgnął szybko dłonią ku lampie i podwyższył jej płomień. – Mój Boże – westchnął głęboko. – To pan! Ale... rozumiem – musiałem przecenić tę bezwzględność interesowności Bennera. Kłamał, kiedy mówił, że pana zabił.

Znów wróciła mu pewność siebie, lecz przez chwilę na jego twarzy widniał prawdziwy strach.

Mężczyzna usiadł, uśmiechając się.

– No tak, kłamał, i to jeszcze jak. Ale mógłby pan powiedzieć, że jestem martwy. – Wysunął język i zrobił zeza. – Otruty.

W oczach starca znów błysnął lęk. By go ukryć, przemówił szybko:

– Nie bawmy się w zagadki. Co ma pan na myśli?

Z twarzy niewysokiego mężczyzny zniknął grymas uśmiechu.

– Rzecz w tym, że jak wyrzucę swoją brzytwę, to już długo łysy nie będę. – Wyciągnął gruzłowatą dłoń. – Widzi pan włosy między palcami? Już zaczęły rosnąć. – Skóra policzków naprężyła się, gdy obnażył w dzikim uśmiechu zęby. – I... „przyjmijmy za pewnik”, sir, że mogę opuścić to miejsce w każdej chwili. Jeśli będę musiał uciekać, to ciało tu pozostanie, ale zamieszka w nim nagle jakaś przeżona i zagubiona dusza, a ja będę wiele kilometrów stąd.

Darrow zbladł.

– Jezu, to ty. Bardzo dobrze, nie, nie uciekaj, nie chcę cię skrzywdzić. – Wlepił twardy wzrok w oczy należące niegdyś do Doyle’a. – Co zrobiłeś z Doyle’em?

– Byłem w ciele tego twojego Steerforth Bennera, i to długo, więc zrobiło się włochate jak niedźwiedź; zjadłem mnóstwo strychniny, a także lekarstwa, które sprawiają, że się widzi różne rzeczy i robi wariactwa, a potem pogryzłem język, żeby Doyle nie miał szansy pogadać z nikim, a potem zamieniłem się z nim miejscami.

– Dobry Boże – wyszeptał Darrow tonem grozy. – Ten... biedny sukinsyn... – Potrząsnął głową. – No cóż, z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Przebyłem długą drogę, by cię znaleźć... i dobić z tobą targu. Do diabła, odbywałem tę rozmowę w myślach setki razy, ale teraz nie wiem, jak zacząć. Zobaczmy – po pierwsze, mogę cię w każdej chwili wyleczyć z tej kosmatości, z tego porostania futrem na całym ciele, i to tyle razy, ile zechcesz, więc od teraz będziesz mógł brać sobie nowe ciało, kiedy sobie tego zażyczysz, już nie będziesz do tego zmuszony. Ale to nie najważniejszy przedmiot naszego interesu. – Wysunął szufladę biurka i wyjął z niej kartkę papieru. – Posłuchaj fragmentu książki, którą posiadam: „Wydaje się –

zaczął głośno czytać – iż człowiek przy sąsiednim stoliku poczuł się urażony – jak słyszałem o tym później – kilkoma obraźliwymi uwagami, które wypowiedział nieznajomy, po czym chwycił bluźniercę za przód koszuli, by tym silniej okazać swe niezadowolenie; koszula rozdarła się, a wówczas, jako że pierś mężczyzny została obnażona, zauważono, iż zakryta dotąd skóra porasta nowymi włosami, takimi, jakie pokazałyby się na nie golonej przez kilka dni twarzy. Pan... – Darrow podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Nie mogę ci jeszcze zdradzić jego prawdziwego imienia. Nazwijmy go zatem panem Anonimem. – Pan Anonim – czytał dalej Darrow – zawołał do zebranych: Tuszę, iż jest to Joe Psia Twarz! Złapcie go i ściągnijcie te rękawiczki! Zdjęto czym prędzej owe rękawiczki z dłoni szamoczącego się człowieka. Okazało się wówczas, iż jego ręce porośnięte są włosami jak reszta ciała. Pan Anonim uciszył panujący gwar i obwieścił, że jeśli sprawiedliwość ma się rozprawić z owym notorycznym mordercą, to musi się to stać bezzwłocznie, bez udziału powolnie toczącej się maszyny prawa, tak więc zaciągnięto mężczyznę na podwórze za gospodą i powieszono za szyję na ramieniu jednego z wyciągów służących do podnoszenia ciężarów”.

Darrow odłożył kartkę i uśmiechnął się do swego rozmówcy.

– Zajmująca fikcja – oświadczył człowiek w ciele Doyle’a.

– Tak – zgodził się Darrow – teraz to fikcja. Ale za parę miesięcy stanie się faktem – historią. – Uśmiechnął się. – To będzie długa opowieść, Joe. Zechcesz napić się brandy?

Twarz Doyle’a znów wykrzywił uśmiech.

– Nie powiem nie – odparł Amenofis Fikee.

W ciszy, która nagle zapadła, Horrabin, kołysząc się w swoim siedzisku z powodu gwałtownej gestykulacji, spojrzął na roztrzaskane zwłoki leżące na kamiennej posadzce obok stołu i uświadomił sobie, że dzięki nieszczęsnemu żebraczemu lordowi odzyskał panowanie nad sytuacją. Uśmiechnął się wesoło, klasnął w pomalowane dłonie i powiedział:

– Nie zdołał się docisnąć do stołu, co?

Kłown znów skupiał na sobie uwagę zebranych, sięgnął więc niespiesznie po kawał mięsa z kością na swoim talerzu, obgryzł go z uwagą, po czym cisnął nim w głęb sieni, gdzie rzucił się nań tłum kalekich nędzników, wydając pełne zadowolenia pomruki i walcząc za wzięcie.

– Żaden z was – powiedział cicho kłown – nie weźmie niczego ode mnie z wyjątkiem tego, co pozwolę mu zabrać.

Spojrzał w górę, na innych lordów zebranych. Nad podłogą wciąż kołysały się ich hamaki, choć przestali krzyczeć i gestykulować, i teraz spoglądali uważnie w dół, połyskując w przyćmionym, czerwonym świetle lamp olejnych białkami oczu. Spojrzenie Horrabina zatrzymało się na zwłokach, po czym objęło złodziejskich lordów zasiadających przy długim stole. Miller, najgłośniejszy we wrzawie buntowniczych głosów, unikał jego wzroku.

– Carrington – powiedział cicho Horrabin.

– Tak? – spytał jego zastępca, występując naprzód. Wciąż utykał po laniu, jakie dostał w jednym z burdeli przy Haymarket, ale nie nosił już bandaży, jego zaś gniewne spojrzenie było tego wieczoru szczególnie intensywne.

– Zabij Millera.

Gdy lord, nagle pobladły i dyszący, odsunął kopnięciem krzesło i zerwał się na równe nogi, Carrington wyciągnął zza pasa pistolet, wycelował niedbale i wypalił. Kula, wpadając przez otwarte usta, trafiła ofiarę w tylną część gardła i wyszła nad kołnierzem.

Horrabin rozłożył ręce, gdy ciało uderzyło o kamienną posadzkę.

– Widzicie – powiedział głośno, zanim wzmógł się tumult głosów, po czym ciągnął już ciszej: – Tak nakarmię każdego z was... w ten czy inny sposób.

Kłown uśmiechnął się. To było dobre przedstawienie. Lecz gdzie się podział doktor Romany? Czy wszystkie jego obietnice, jak utrzymywał Miller, były tylko kłamstwami, mającymi na celu manipulowanie londyńskimi złodziejami, by przeprowadzić jakiś własny, przynoszący zyski plan? Horrabin, który wiedział więcej od pozostałych o tym, co ma się wydarzyć, skrywał niepokój większy niż ten dręczący Millera. Czy król został już zamordowany? Jeśli tak, to dlaczego żaden z wysłanników kłowna, działających na powierzchni ziemi, nie doniósł jeszcze o tym? A może wieści zatajono? Gdzie był Romany?

Nierówne kroki w korytarzu rozbrzmiały w tej ciszy nienaturalnie głośno. Horrabin podniósł wzrok, choć bez specjalnego zainteresowania, gdyż nie był to rezonujący chód doktora Romany. Po chwili otworzył oczy ze zdumienia, kiedy nowo przybyły wkroczył do sali, gdyż okazało się w końcu, że to jednak Romany, tym razem w zwykłych butach.

Kłown powiódł po swej kompanii triumfalnym spojrzeniem, po czym skłonił się groteskowo przed gościem.

– Ach, wasza Wielmożność – zapiszczał cienkim głosem – oczekiwaliśmy twego przybycia z najwyższym, w paru przypadkach, napięciem – wskazał dłonią dwa ciała.

Po chwili jego uśmiech przygasł. Przyjrzał się bliżej, gdyż gość był błądy i chwiał się na nogach, a z nosa i uszu ciekła mu powoli krew.

– Ty jesteś... Horrabin? – spytał chrapliwie mężczyzna. – Zabierz mnie... do obozu doktora Romany... natychmiast.

Gdy kłown zamrugął, nic nie rozumiejąc, z kąta kalekich nędzarzy dobiegł skrzeczący głos.

– Nie ma po co tam iść, lepiej zostać w mieście, Modeście! Cały ten plan jest już martwy jak sam Ramzes! Ale mogę cię zaprowadzić do człowieka, który go zniszczył, a jeśli zdołasz go dopaść i wycisnąć do cna, to będziesz miał coś lepszego od trupa Anglii!

Kilku z grona nędzarzy otrząsnęło się ze swego otepienia na tyle, by przyjąć owo stwierdzenie wiwatami i gwizdami.

– Carrington – wyszeptał Horrabin, wściekły i zakłopotany – wyrzuć stąd tę kreaturę. Właściwie to ją zabij. – Uśmiechnął się nerwowo do Romanellego. – Proszę wybaczyć, hm, sir. Nasze... demokratyczne zasady są czasem zbyt...

Lecz Romanelli wpatrywał się w lekkiego jak piórko nędzarza z pełnym przerażenia zdumieniem.

– Cisza! – wysapał.

– Tak, ucisz go, Carrington – powiedział Horrabin.

– O ciebie chodzi, kłownie – rzekł Romanelli. – Wynoś się stąd, jeśli nie potrafisz trzymać gęby na kłódkę. Ty – nakazał Carringtonowi – zostań tam, gdzie stoisz. – Po czym prawie niechętnie zwrócił się do nędzarza o zniszczonej twarzy. – Podejdz tu – powiedział.

Istota, pełznąca i chwiejąc się na boki, zbliżyła się i zatrzymała przed Romanellim.

– Ty jesteś nim – stwierdził w zamyśleniu Romanelli. – Tym ka, którego Mistrz stworzył przed ośmiu laty. Ale... ta rana na twarzy została odniesiona... dziesiątki lat wcześniej, sądząc po jej wyglądzie. No i twój ciężar – jesteś bliski niemal całkowitej dezintegracji. Jak mogło do tego dojść w ciągu zaledwie ośmiu lat? Czy też od chwili, gdy ostatni raz z tobą rozmawiałem?

– To te wrota, które otworzył Fikee – zaświergotał stwór. – Przeszedłem przez nie, a potem długo powracałem. Ale przedyskutujmy to po drodze i pojmiesz wszystko w lot, Claude – człowiek, który posiada wiedzę na ten temat, jest teraz w gospodzie pod Łabędziem o Dwóch Szyjach przy Lad Lane, i jeśli uda ci się go zabrać do Kairu i porząd-

nie nim potrząsnąć, to może się okazać, że nic, co wydarzyło się od 1802, nie było stratą czasu. – Istota zwróciła oczy na Horrabin. – Będziemy potrzebowali sześciu, nie, dziesięciu, spośród twych największych i najsilniejszych chłopców, tak sprytnych, by schwycić i związać olbrzymiego mężczyznę, nie zabijając go, ani nie naruszając jego cennego mózgu. Aha, i jeszcze dwa powozy i wypoczęte konie.

W tłumie rozległy się szydercze śmiechy. Horrabin, siląc się na niezbyt przekonującą zuchwałość, powiedział:

– Nie przyjmuję rozkazów od przekłętego... stwora, który zrzuca skórę jak wąż.

Romanelli już otwierał usta, by zaprzeczyć, ale okryta postrzępionymi szmatami istota na środku sali uciszyła go machnięciem dłoni.

– Właśnie od takiego kogoś przyjmiesz rozkazy, kłownie – powiedziała. – Słuchałeś mnie już przedtem, choć z trudem sobie teraz przypominam te wieczory pełne knowań, gdyśmy wisieli obok siebie w zrujnowanej dzwonnicy. Za to dokładniej pamiętam oczekiwanie twych narodzin. Znałem twego ojca, kiedy nie przewyższał wzrostem tego oto stołu, i znałem go też, gdy był przywódcą owego złodziejskiego cechu, a potem zwykłem gawędzić z nim nad skradzioną butelką wina, w dniach, gdy skrócił go, by mieć nadwornego trefniasia. – Pod wpływem tej gwałtownej przemowy z ust istoty wyleciały dwa zęby i pofrunęły w górę jak bąbelki w gęstym oleju. – To straszne, siedzieć tak i słuchać swoich głupich stwierdzeń, wiedząc, że są błędne, i czekając, aż czas znów zatoczy koło, ale teraz już się to dokonało. Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który zna tę historię. Jestem jedynym człowiekiem, od którego warto przyjmować rozkazy.

– Rób, co ci każe – warknął doktor Romanelli.

– Tak – powiedziała kołysząca się istota. – A kiedy go złapiesz, udam się z tobą do Kairu. Gdy zaś Mistrz już z nim skończy, ja zabiję to, co z niego pozostanie.

Odtworzywszy z pamięci list do *Couriera*, Doyle rzucił go na stos kartek zapisanych odręcznym pismem, które leżały obok schowanego w pochwie miecza doktora Romany. Nie był szczególnie zdziwiony, kiedy uświadomił sobie po przelaniu na papier kilku pierwszych wersów *Dwunastu godzin nocy*, że choć niestaranna bazgrani na wyszła nieomylnie spod jego pióra, leworęczność, którą się wcześniej nie odznaczał, nadaje jego formalnemu charakterowi pi-

sma odmienny rys – choć w żadnym razie obcy – gdyż było ono identyczne z charakterem pisma Williama Ashblessa. Po napisaniu już pełnej wersji poematu, był przekonany, że gdyby slajd z fotokopią jego wersji położyć na slajdzie, który będzie spoczywać w British Museum w 1983, to pasowałyby do siebie idealnie – każdy przecinek, każda kropka nad „i” pokrywałyby się z odpowiednimi znakami na oryginalnym manuskrypcie.

Oryginalny manuskrypt? – pomyślał z mieszaniną zdumienia i niepokoju. – Ten stos kartek, tutaj, to przecież jest oryginalny manuskrypt... Jest po prostu nowszy niż wtedy, gdy widziałem go w 1976. Ha! Nie byłbym wówczas tak poruszony, gdybym wiedział, że te pociągnięcia piórem wyszły kiedyś lub wyjdą spod mojej dłoni. Zastanawiam się kiedy, gdzie i jak te kartki pokryją się śladami tłuszczu, które, jak sobie przypominam, widziałem na pierwszych stronicach. – Nagle uderzyła go pewna myśl. – Mój Boże, a zatem jeśli pozostanę tu i przeżyję swe życie jako Ashbless, a wszechświat najwyraźniej oczekuje tego ode mnie, to oznacza, że nikt nie napisał wierszy Ashblessa. Odtworzę je z pamięci, jako że czytałem je w Dziełach Zebranych z 1932, moje zaś kopie zostaną złożone do druku w gazetach, a później wyciągnie się je z tychże gazet i ułoży z nich Dzieła Zebrane! Są nie napisane, tworzą zamknięty krąg! A ja pełnię rolę... pośrednika i strażnika.

Słumił tę szaloną myśl, wstał i podszedł do okna. Odsunął zasłony i spojrzął na rozległy dziedziniec Łabędzia, zatłoczony powozami pocztowymi i pasażerskimi. Ciekawe, gdzie jest Byron, pomyślał. Już dawno powinien pojawić się tutaj z mnóstwem butelek czerwonego wina. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby napić się czegoś. Później zająłbym się kilkoma zagadnieniami... Co na przykład ma się stać z tym ka Byrona; powinien zniknąć, gdyż wiem, że historia o nim nie wspomina, ale on upiera się, by poszukać jutro swych starych przyjaciół. No więc jak zniknie? Czy ka po prostu się zużywa? Czy umierają?

Gdy opuścił zasłonę, rozległo się pukanie do drzwi. Podszedł do nich i spytał ostrożnie:

– Kto tam?

– Byron z zapasami – padła wesoła odpowiedź. – A kogo się spodziewałeś?

Doyle odsunął łańcuch i wpuścił przybyłego do pokoju.

– Musiałeś daleko szukać.

– Udałem się aż do Chipside – przyznał Byron – ale z dobrym skutkiem. – Pokuśtykał do stołu, położył na nim pakunek i zerwał papier. – *Voilà!* Gorąca baranina, sałatka z homarów i butelka, jak się sprzedawca zaklinał, samego bordeaux, choć trudno w to uwierzyć. – Nagle spowaźniał. – Szklanki. – Spojrzał na Doyle’a. – Nie mamy ani jednej.

– Nawet czaszki, z której można by się napić – zgodził się Doyle. Byron uśmiechnął się szeroko.

– Czytałeś moje *Hours of idleness!*

– Wielokrotnie – odparł zgodnie z prawdą Doyle.

– Do diabła tam. Możemy ciągnąć na zmianę z butelki. – Byron rozejrzał się po pokoju i zauważył na biurku wiersze. – Ach! – zawołał, chwytając kartki. – Poezja! Wyznaj, że twoja.

Doyle uśmiechnął się i wzruszył z dezaprobatą ramionami.

– A kogóż by innego?

– Mogę?

Doyle machnął niedbale ręką.

– Proszę bardzo.

Byron, po przeczytaniu kilku pierwszych stron, i pozostawieniu na nich, jak Doyle zauważył, tłustych plam po baraninie, odłożył manuskrypt i spojrzął z namysłem na Doyle’a.

– Czy to twoja pierwsza próba?

Wyciągnął z butelki korek i pociągnął spory łyk.

– Tak, owszem.

Doyle ujął podsunętą butelkę i też się trochę napił.

– No cóż, masz iskrę, jak mi się wydaje, choć spora część to niejasny galimatias, a Bóg wie, że w tych czasach być poetą to rzecz bezwartościowa. Bardziej cenię zdolność do czynu. W maju opłynąłem Hellespont, od Sestos do Abydos, i jestem z tego dumniejszy niżli z jakiegokolwiek literackiego osiągnięcia.

Doyle uśmiechnął się szeroko.

– Prawdę mówiąc, zgadzam się. Bardziej niż z napisania tego poematu byłbym zadowolony z wykonania przyzwoitego krzesła, które stałoby równo czterema nogami na ziemi.

Złożył manuskrypt, owinał listem wyjaśniającym, zaadresował, po czym nakapał na niego trochę gorącego wosku, by odcisnąć pieczęć.

Byron przytaknął współczująco, otworzył usta, zawahał się, przerażał, w końcu spytał szybko:

– A właściwie, kim jesteś? Nie mam już prawa żądać odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, gdyż stałem się twym dozgonnym

przyjacielem, kiedy postrzeliłeś tego zbrodniarza Cygana, który w przeciwnym razie zakończyłby historię mego życia. Ale jestem diabelnie ciekaw.

Uśmiechnął się nieśmiało, po raz pierwszy wyglądając na swoje dwadzieścia trzy lata.

Doyle pociągnął kolejny, większy łyk i postawił butelkę na stole.

– No cóż, jestem Amerykaninem, jak się prawdopodobnie zorientowałaś po moim akcencie, i przybyłem... tutaj... by wysłuchać wykładu Samuela Coleridge'a, no a potem starłem się z tym doktorem Romany... – Przerwał, gdyż wydało mu się, że coś słyszy, jakiegoś głoche uderzenie za oknem. Przypomniał sobie, że znajdują się na drugim piętrze, więc stłumił niepokój i ciągnął dalej. – Zgubiłem grupę turystów, z którą byłem, i... – znów zamilkł, czując, jak zaczyna działać alkohol. – Och, do diabła, Byron, opowiem ci prawdziwą historię. Ale wpieryw daj mi wina. – Pociągnął spory łyk i odstawił butelkę z przesadną ostrożnością. – Urodziłem się w...

Z jednej strony rozległ się trzask tłukącej się szyby, a z drugiej pękającego drewna, okno i drzwi wpadły do środka, a po podłodze potoczyli się dwaj ogromni mężczyźni o brutalnym wyglądzie. Stół runął, jedzenie się rozsypało, a lampa stłukła; w nagłym mroku zaczęli wpadać do pokoju inni mężczyźni, potykając się albo przeskakując przez roztrzaskane drzwi, które wisiały pod ostrym kątem na jednym zawiasie. Po plamach oleju zaczęły pełzać niebieskie płomienie.

Doyle chwycił jednego z mężczyzn za chustę zawiązaną pod szyją, postąpił dwa kroki i cisnął nim w okno; mężczyzna uderzył o framugę, i choć przez chwilę wydawało się, że zdoła uczepić się liny, którą przerzucono wcześniej przez parapet, jego dłonie i stopy zniknęły, po czym rozległ się cichnący, pozbawiony tchu krzyk.

Byron chwycił miecz doktora Romany, i gdy dwaj mężczyźni z uniesionymi pałkami ruszyli w stronę Doyle'a, który nie zdążył jeszcze odzyskać całkowitej równowagi, a z ulicy dobiegł zwielokrotniony łoskot i przerażone krzyki, Byron zrobił wyrok, zbyt długi, by można było się natychmiast cofnąć do pozycji stojącej, po czym wepchnął ostrze miecza na głębokość kilku centymetrów w pierś mężczyzny stojącego najbliżej Doyle'a.

– Uważaj, Ashbless! – krzyknął, wyciągając miecz z ciała przeciwnika i próbując się wyprostować.

Drugi mężczyzna, przerażony niespodziewanym pojawieniem się nagiej, śmiercionośnej stali, z całej siły walnął Byrona w głowę pałką.

Rozległo się głucho, odrażające łupnięcie i Byron padł martwy na podłogę, a jego broń potoczyła się z brzękiem po podłodze.

By odzyskać równowagę, Doyle przykucnął i złapał za nogę od biurka, widząc z tej niskiej pozycji nieruchome ciało Byrona;

– Ty skur... – zagrzmiał, prostując się i unosząc nad głową biurko – wszystko zsunęło się z blatu, a koperta zaadresowana do *Couriera* wyfrunęła przez okno – ...wysynu! – dokończył, zwalając ciężki mebel na głowę i uniesione ramię człowieka, który uderzył Byrona.

Mężczyzna upadł, a ponieważ kilku intruzów było zajętych gaszeniem ognia, Doyle rozpoczął wściekłą szarżę ku drzwiom; dwóch mężczyzn skoczyło, by zagrozić mu drogę, ale zostali powaleni przez jego potężne pięści; lecz gdy wypadł na korytarz, starannie wymierzona skarpeta z piaskiem uderzyła go w czoło tuż za uchem, a wówczas frontalna szarża zmieniła się w powolny lot ku ziemi.

Doktor Romanelli przyglądał się przez kilka sekund nieruchomej postaci, kiwając na mężczyzn, którzy wybiegli za Doyle'em z pokoju, po czym schował wypełnioną piaskiem skarpetę do kieszeni.

– Obwiążcie mu twarz szmatą nasączoną chloroformem – warknął. – Nieudolni kłowni.

– Niech to diabli, wasza Wielmożność – jęknął mężczyzna, który ujął Doyle'a za kostki u nóg. – Oni się na nas gotowali! Trzech z nas padło trupem, jeśli Norman nie przeżył upadku.

– A gdzie ten drugi, który z nim był?

– Nie żyje, szefie – odparł ostatni, który wychodził z pokoju, naciągając na ramiona popalony i dymiący płaszcz.

– Ruszajmy zatem. Tylnymi schodami. – Przycisnął dłonie do oczu. – Starajcie trzymać się razem, przynajmniej to zróbcie jak trzeba – wyszeptał. – Rozpętaliście tu takie pandemonium, że będę musiał rzucić promieniujący czar, by zmylić pogoń, która z pewnością jest już w drodze.

Zaczął mamrotać w języku, którego nie rozumiał żaden z ludzi Horrabina, i po kilku sylabach spomiędzy palców zaczęła wypływać mu krew. Od strony schodów frontowych dobiegł tupot stóp, mężczyźni zaś poruszyli się niespokojnie i popatrzyli po sobie, ale w chwilę później do ich uszu dotarły odgłosy beładnej kłótni, a kroki zaczęły się oddalać. Romanelli zamilkł i opuścił dłonie, oddychając chrapliwie. Mężczyźni zbledli na widok krwi, która płynęła mu z oczu jak łzy.

– Ruszajcie się, wy przeklęte insekty – zaskrzeczał Romanelli, wysuwając się na czoło grupy.

– Co to jest pandemonium? – spytał szeptem jeden z mężczyzn idących z tyłu.

– To coś jak organy parowe – odparł jego towarzysz. – Słyszałem je raz na jarmarku, kiedy poszedłem, żeby zobaczyć, jak chłopak mojej siostry gra na swoim organie.

– Na czym?

– Na swoim organie.

– Jezus. I ludzie płacą, żeby zobaczyć coś takiego?

– Cisza! – syknął Romanelli. Później znaleźli się na schodach, dysząc i tak bardzo zmagając się z ciężarem nieprzytomnego człowieka, że nie mieli już żadnej ochoty na rozmowę.

Doyle'a obudził z narkotycznego półsnu chór przeraźliwych, nieharmonijnych gwizdów. Usiadł, drżąc z zimna w swoim pozbawionym wieka pudle, które miało kształt trumny, i kiedy już przetarł oczy i odetchnął głęboko kilka razy, uświadomił sobie, że niewielki, pusty pokój naprawdę się kołysze, i że on, Doyle, musi znajdować się na pokładzie statku. Przełożył nogę przez krawędź pudła i uderzył obutą w sandał stopą o podłogę, po czym przytrzymując się krawędzi stanął niepewnie na nogach. W ustach wciąż czuł ostry smak chloroformu. Skrzywił się i splunął, wlokąc się ku drzwiom.

Były zamknięte od zewnątrz, tak jak się spodziewał. Na wysokości jego szyi widniało małe okienko z solidnymi, żelaznymi prętami zamiast szyby – co tłumaczyło, dlaczego w pomieszczeniu było zimno – i Doyle, kucając i wyglądając przez nie, zobaczył mokry pokład, który rozpływał się kilka metrów dalej w ścianie szarej mgły, a także wyłaniającą się z mroku linę, na wysokości jego brzucha i równoległą do pokładu, najwyraźniej przymocowaną do ściany przybudówki.

Wydawało się, że piskliwe gwizdy dochodzą gdzieś z bliska. Przekonany, że jego strażnicy chcą utrzymać go przy życiu, Doyle zdobył się na odwagę i wrzasnął:

– Skończyć z tym cholernym hałasem! Niektórzy chcą się tu przespać!

Kilka gwizdów ucichło momentalnie, pozostałe umilkły w chwilę później. Doyle zadrzał bezwiednie, gdy usłyszał głos, który niemal na pewno należał do doktora Romany:

– Ty... nie, ty zostań tutaj; ty – idź i go ucisz. A reszta niech gra dalej. Jeśli rozprasza was wrzask jednego człowieka, głupcy, to jak zamierzacie to robić, kiedy zjawi się Shellengeri?

Znów rozległo się dziwaczne gwizdanie i po jakiejś minucie czy dwóch Doyle, wciąż tkwiący uparcie przy okienku, zobaczył niepokojącą istotę – chudego starca owiniętego poplamionym smołą płaszczem z płótna i w skórzanym kapeluszu, który zmierzał w jego stronę, trzymając się liny i wlokąc za sobą bezwładne nogi jakby poruszał się pod wodą. Pozbawiony ciężaru ciała osobnik zderzył się z przybudówką i zajrzał przez małe okienko. Doyle dostrzegł pół twarzy i jedno oko, i wtedy przypomniał sobie. Był to ten sam szaleniec, który obiecał niegdyś, że wskaże mu szczelinę w czasie, po czym zaprowadził go na opuszczoną posesję i pokazał tylko parę starych, spalonych kości.

– Krzycz do woli... proszę i wnoszę... gdy ci ludzie skończą śpiewy, moiściewy – odezwał się nędznik – ale jeśli teraz zrobisz to ponownie, nie dostaniesz jedzenia do końca podróży. A chcesz zachować siły, miły? – Istota przybliżyła twarz do samych krat i warknęła: – Radzę, byś jadł. Chcę, żeby coś z ciebie pozostało, kiedy Mistrz już skończy i odda cię do mojej dyspozycji.

Doyle puścił mokre od mgły pręty, po czym cofnął się, przerażony nienawiścią widoczną w ocalałym oku.

– Poczekaj chwilę – mruknął – spokojnie. Co miałem zrobić... – zamilkł, porażony nagłym podejrzeniem, które natychmiast przerodziło się w pewność. – Mój Boże, to było to samo miejsce po stronie Surrey, prawda? – wyszeptał. – A ty nie mogłeś wiedzieć, że uciekłem przez piwnicę... gdyż sądziłeś, że to moją czaszkę mi pokazujesz, prawda? A więc przeżyłeś strzał Burgharda skażony brudem... ale ja miałem ten papier, który działał jak mobilny haczyk... Jezu, musiałeś po prostu przeżyć całą drogę powrotną!

– Zgadza się – zaświergotał stwór, który był niegdyś doktorem Romany. – A to jest mój powrotny rejs. Ka nigdy nie mieli żyć tak długo, więc już niebawem wsiądę na tę ostatnią łódź, która powiezie mnie przez dwanaście godzin nocy, lecz nim to się stanie, ty będziesz, na zawsze i na pewno, martwy.

Nie, chyba że to ty będziesz tym, który spotka mnie na mokradłach Woolwich, dwunastego kwietnia 1846 roku, pomyślał Doyle.

– Co rozumiesz przez dwanaście godzin nocy? – spytał ostrożnie, zastanawiając się, czy ta istota czytała poemat, który spisał mioniej nocy.

Osobnik czepiający się liny wyszczerzył zęby.

– Ujrzysz to wcześniej niżli ja, Dada. To podróż przez Tuaut, podziemny świat, w którą wyrusza co wieczór martwy bóg słońca

Ra, podążając w mroku od zachodu do wschodu. Ciemność przybiera tam postać stałą, a odległość odmierzają godziny, jakby się żeglowało po tarczy zegara.

Przerwał i beknął przeraźliwie. Zdawało się, że jego ciało utraciło połowę swej masy.

– Cicho tam w dole! – dobiegło z mgły, na tyle głośno, by zagłuszyć piskliwe gwizdy.

– A martwi gromadzą się na brzegach podziemnej rzeki – szeptał dalej Romany – i błagają, by zabrać ich na baręk boga słońca i zawieźć z powrotem na ziemię żyjących, gdyby bowiem udało im się dostać na jej pokład, zdołaliby podzielić się z Ra jego zdolnością odzyskiwania młodości i siły. Niektórzy nawet rzucają się do wody i czepiają burty, lecz wąż Apofis wysuwa łeb... och, wysuwa bardzo daleko... i porywa ich, a potem pożera.

– A więc o tym pisał... pisałem w swoim poemacie – rzekł cicho Doyle. Podniósł wzrok i zmusił się do konfidencjonalnego uśmiechu. – Podróżowałem już po rzece, której kamieniami milowymi są godziny – powiedział. – Odbyłem dwa długie rejsy i przeżyłem. Jeśli wyląduję na brzegu twojej podziemnej rzeki, to mogę się założyć, że wyskoczę po stronie brzasku, odrodzony jak młodzieniec.

To stwierdzenie rozgniewało doktora Romany.

– Ty głupcze, nikt nie...

– Płyniemy do Egiptu, prawda? – przerwał mu Doyle.

Pojedyncze oko zamrugało.

– Skąd o tym wiesz?

Doyle uśmiechnął się.

– Wiem o wszystkim. Kiedy dopłyniemy?

Istota będąca niegdyś doktorem Romany marszczyła przez chwilę czoło, ale potem, jak się zdawało, zapomniała o swoim gniewie i stwierdziła, niemal poufale:

– Za tydzień albo dziesięć dni, jeśli załoga na pokładzie rufowym zdoła wywołać Shellengeri, żywioły wiatru, podobne do tych, które Eol ofiarował Odyseuszowi.

– Aha. – Doyle próbował bez powodzenia przebić wzrokiem mgłę, by dojrzeć rufę. – Coś jak ci ogniowi giganci, którzy oszaleli w obozie doktora Rom... to znaczy twoim?

– Tak, tak! – zawołała istota, tupiąc gołymi stopami. – Bardzo dobrze. Tak, te dwie rasy są spokrewnione. Są też inne, wodne i ziemne. Szkoda, że nie widziałeś tych ziemnych, poruszają wielkimi urwiskami...

Ogłuszający, rozdzierający powietrze gwizd, raczej wrzask, choć dobywający się nie z żywej gardzieli, uderzył w statek z namacalnym impetem, wprawiając każdą oblużowaną deskę w wibrację widoczną gołym okiem. Doyle odskoczył od okna, pewien przez mgnięcie oka, że jakiś potężny samolot, Boeing 747, czy coś w tym rodzaju, ląduje przy pełnej prędkości tuż obok, na wodzie, najprawdopodobniej nad ich głowami. Po chwili rzuciło go z powrotem na drzwi, gdy ściana wiatru uderzyła gwałtownie i wydeła wszystkie żagle, przebijając płótno niczym gigantyczna pięść, a dziób pochylił się, po czym znów uniósł się w górę; statek skoczył do przodu.

Nim łódź z całym ładunkiem dostosowała się do nowej prędkości, deski kajuty napierające na plecy Doyle'a wydawały się przez kilka sekund bardziej podłogą niż ścianą, i gdy trumienne pudło sunęło z łoskotem w jego stronę, podniósł po prostu nogi – nie musiał nawet podskakiwać – by skrzynia uderzyła tam, gdzie przed chwilą jeszcze znajdowały się jego kostki. Potem znów zaczęły obowiązywać prawa grawitacji i Doyle wylądował w pudle, opierając się na dłoniach i kolanach. Ponad krzykiem wiatru usłyszał uderzenie pierwszej, potężnej fali przewalającej się przez dziób statku.

Wstał z wysiłkiem i chwycił się prętów w oknie. Mrużąc oczy przed podmuchami lodowatego wiatru, zaczął się rozglądać za pozostałością doktora Romany, ale istota zniknęła.

Mam nadzieję, że wypadł za burzę, pomyślał. Choć nie sądzę, by zatonął. Popłynąłby za nami jak chrząszcz.

Statek kołysał się na boki niczym autobus pędzący po zaoranym polu, ale Doyle zdołał utrzymać się przy oknie dostatecznie długo, by dojrzeć przelotnie kilka skulonych postaci na pokładzie rufowym, które próbowały się najwyraźniej położyć. Ta wichura rozpędzi przynajmniej mgłę, pomyślał oszołomiony. Puścił się prętów i usiadł, mrużąc podrażnionymi i załzawionymi od wiatru oczami.

Gdy czas upływał, a wichura, zimno i bezustanne kołysanie nie ustawały, Doyle dziękował Bogu, że nie zdążył zjeść sałatki z krabów, którą kupił nieszczęsny Byron i że znajduje się w ciele Bennera, gdyż jego własne miało skłonności do choroby morskiej.

Musiało być południe, gdy przez okienko, między prętami, przechnięto dwa pakunki: papierowy, który uderzył głucho o podłogę, z soloną wieprzowiną i twardym, ciemnym chlebem, jak się okazało, a także puszkę zaopatrzoną w wieko, która opadła kilka centymetrów, po czym zawisa na łańcuchu; było w niej słabe piwo. Ponieważ oderwano go od posiłku w Łabędziu, a wcześniej nie miał nic

w ustach od wczorajszego lunchu, co Doyle'owi wydawało się dłużej niż owe dwadzieścia cztery godziny, które upłynęły tutaj, pochłonał jedzenie z wielkim apetytem, oblizując na końcu papier.

W jakieś sześć godzin później rzecz się powtórzyła i Doyle ponownie zjadł wszystko, co mu przyniesiono. Po niedługim czasie zaczęło się ściemniać, lecz wiatr i wściekły pęd statku nie osłabły ani trochę. Kiedy zaczął już się zastanawiać, jak ma spać, między prętami przeciętno dwa koce.

– Dzięki! – krzyknął. – Mógłbym dostać jeszcze piwa?

W pomieszczeniu nie panowała absolutna ciemność, więc Doyle zdołał urządzić sobie w trumnie całkiem przyzwoite legowisko; gdy już miał się położyć, usłyszał ze zdziwieniem, że ktoś wciąga z powrotem łańcuch, a potem spuszcza hałaśliwie z powrotem. Nalewanie piwa do naczynia zagłuszał wiatr wyjący przeraźliwie na olinowaniu.

Wstał, podbiegł do drzwi, i kiedy stał wsparty o ścianę, starając się nie uronić ani kropli z chlupoczącego w naczyniu piwa, zastanawiał się, dlaczego nie przejmuje się zbyt swym losem więźnia oczekującego tortur i śmierci. Częściowo, bez wątpienia, z powodu bezmyślnej pewności siebie, która nigdy go nie opuszczała, odkąd znalazł się w ciele przewyższającym pod każdym względem poprzednie; poza tym, ów uparty optymizm opierał się na faktie, który teraz przyjmował z chęcią do wiadomości, iż jest Williamem Ashblessem, który nie umrze przed 1846 rokiem. Ale uważaj, synu, powiedział sobie. Możesz być pewien, że przeżyjesz, ale niewykluczone, że obewiesz porządnie raz czy dwa.

Pomimo swego położenia uśmiechnął się, szukając wygodnej pozycji w swym łożu, gdyż pomyślał o Elżbiecie Jacqueline Tichy, którą miał poślubić w przyszłym roku; zawsze uważał, że wygląda ładnie na portretach.

Podczas podróży, która trwała przez piętnaście dni, nieustępliwe wiatry nie ustały ani na chwilę. Po kilku dniach ślaniający się na nogach marynarze, których Doyle widział przez swoje okienko, zobojętnieli już na wściekłe powiewy. W tym czasie ani razu nie widział Romanellogo, czy lekkiej jak piórko pozostałości doktora Romany. Dopóki na starej i przeciążonej belce sufitowej nie pokazała się czwartego dnia długa szczelina, więzień tylko jadł, spał, wyglądał przez okienko i próbował przypomnieć sobie nieliczne znane fakty dotyczące pobytu Ashblesa w Egipcie; gdy belka rozszczepiła się całkowicie, zajął się wyciąganiem liczącej metr drzazgi i przerabianiem jej, za pomocą zębów i paznokci, na trzydziestocentymetrowe ostrze, coś w rodzaju

sztyletu. Zastanawiał się, czy nie oderwać naczynia od łańcucha i zrobić jakiegoś narzędzia, rozplaszczając je, ale doszedł do wniosku, że nie tylko pozbawiłby się piwa do końca podróży, ale również naraził na rewizję, gdyż coś takiego z pewnością nie umknęłoby uwagi marynarzy, gdyby znów się zjawili.

Tylko raz wydarzyło się coś równie niepokojącego jak Shellengeri. Przed północą, w niedzielę, jedenastego dnia podróży, wydało mu się, że mimo wiecznego wycia wiatru słyszy coś więcej, jakby jakieś zawodzenie. Próbował wyrzeć przez okienko, co było równie trudne jak jazda na motocyklu z prędkością ponad stu kilometrów bez gogli. Po dziesięciu minutach wrócił do łóżka, niemal przekonany, że czarny statek, który rzekomo widział, i to tylko dzięki temu, że świecił głębszą czernią niż otaczające go fale, nie był niczym innym jak tylko złudzeniem na siatkówce oka, które starało się za wszelką cenę dostrzec cokolwiek w tym szkwale. W końcu, co mógłby tu robić jakiś statek?

Rozdział 11

... Nic nie mogło być bardziej przerażające: ukazały się ramiona i głowa, która obróciła się w jedną, potem w drugą stronę, ruchem uroczystym i strasznym, jakby poruszona strasliwym sekretem głębin, który zabrała ze sobą ze swego wodnego grobu, chcąc go ujawnić. Odtąd widoki takie nie były rzadkością, i mało który dzień upłynął, by martwi nie ukazywali się oczom żywych, aż w końcu przestano zwracać na nich uwagę.

E.D.Clarke

Ranek dziesiątego października Doyle ocknął się półprzytomny i uświadomił sobie, że znajduje się na pokładzie... i że deski pod jego brodatym policzkiem są gorące. Kiedy otworzył oczy, ostry blask słońca zmusił go do przymknięcia powiek... Po chwili dotarło do niego, że słyszy rozmowy, skrzypienie lin, plusk wody o łagodnie kołyszący się kadłub statku – wiatr ustał.

– ... gdzieś jest suchy dok – mówił jakiś głęboki, chrapliwy głos – ale nie w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

Inny głos powiedział coś o Grecji.

– Pewnie, jeśli ta łajba dopłynie do Grecji. Przecieka każde cholerne złączenie, żagle porwane, przeklęte maszty...

Drugi głos, w którym Doyle rozpoznał ten niemal identyczny z głosem doktora Romany, powiedział coś opryskliwego, a wtedy ten pierwszy zamilkł.

Doyle próbował usiąść, ale zdołał jedynie przekręcić się na bok, gdyż był mocno skrepowany grubymi linami, które cuchnęły smołą. Nie zaniedbali żadnego środka ostrożności, pomyślał; potem się

uśmiechnął, gdyż uświadomił sobie, że ostry przedmiot wrzynający mu się w kolano to jego prowizoryczny sztylet, niezauważony przez tego, który go wiązał.

– Skrępowaliśmy go w samą porę – odezwał się chrapliwszy głos. – Ma silny organizm; myślałem, że po tym specyfiku będzie spał przynajmniej do popołudnia.

Choć tętniło mu w skroniach, Doyle podniósł głowę i rozejrzał się, mrugając. Przy burcie statku stało dwóch mężczyzn, którzy wpatrywali się w niego; jeden wydawał się wcieleniem doktora Romany sprzed skoku w czasie. To będzie Romanelli, oryginał, pomyślał Doyle, drugi zaś jest najwidoczniej kapitanem statku.

Romanelli, który nie miał butów, zbliżył się do Doyle'a i kucnął przy nim.

– Dzień dobry – powiedział. – Chcę ci zadać parę pytań, a że prawdopodobnie nie spotkamy nikogo mówiącego po angielsku, nie będę korzystał z knebla. Jeśli zechcesz krzyczeć i robić zamieszanie, to zmusisz mnie, bym wsadził ci go w usta i zakrył głowę burnusem.

Doyle opuścił głowę na pokład, po czym zamknął oczy, czekając, aż pulsowanie w skroniach choć trochę ustąpi.

– OK – zgodził się, otwierając oczy i mrugając do pustego, błękitnego nieba, które rozciągało się za płataniną masztów, olinowania i żagli. – Jesteśmy w Egipcie?

– W Aleksandrii – przytaknął Romanelli. – Powiosłujemy łodzią do brzegu, a potem ruszymy łodem do Rosetty, odnogi Nilu, aż wreszcie pożeglujemy w górę rzeki, do Kairu. Podziwiał widoki. – Czarnoksiężnik podniósł się z chrzęstem kolan i źle skrywanym grymasem bólu na twarzy. – Wy tam – zawołał poirytowany. – Czy łódź jest gotowa? Więc za burtę z nim, spuścić go na dół.

Doyle'a podniesiono, przetransportowano do relingu, po czym, zaczepiwszy hak o linę przeciągniętą pod jego pachami, spuszczone jak zwinięty dywan, sześć metrów niżej, na dno łodzi, która kołysała się na szmaragdowej wodzie i obijała o kadłub statku. Żeglarz siedzący w szalupie chwycił go za skrępowane kostki u nóg i usadowił w pozycji siedzącej na poprzecznej ławce, podczas gdy Romanelli zrzucił drabinkę sznurową, z której zsunął się do łodzi. Wpierw balansował przez jakąś minutę na jej końcu, klnąc przy tym i machając jedną nogą. Żeglarz pomógł mu zająć miejsce na drugiej ławce, a wtedy po drabince zszedł, kołysząc się na wszystkie strony, ostatni pasażer: sam Szczęśliwy Traf Żebraków z Surrey, zniszczony przez czas doktor Romany, z dwoma metalowymi

szpikulcami przytwierdzonymi do butów, służącymi za ciężarki. Po umieszczeniu skrzywionego osobnika na wąskiej rufie, gdzie przycupnął niczym tresowany kormoran, żeglarz otarł dłonie i sam też usiadł, patrząc bez zainteresowania na Romanellego i Doyle'a; ujął wiosła i zabrał się do pracy.

Doyle z miejsca przechylił się i oparł o burtę łodzi po prawej stronie: z tej pozycji patrzył, jak przesuwają się obok nich kadłub statku, który zniknął w końcu, gdy opłynęli już szerokim łukiem wznoszący się nad wodą dziób. Po chwili ukazała się Aleksandria, widoczna kilometr dalej na horyzoncie migotliwego morza.

Miasto rozczarowało go. Spodziewał się ujrzeć orientalny labirynt, o którym pisał Lawrence Durrell, a zobaczył jedynie małe skupisko obdrapanych, białych domków skąpanych w słońcu. W porcie nie było statków, przy zniszczonym nabrzeżu cumowały tylko łodzie.

– To ma być Aleksandria? – spytał.

– Nie taka jak niegdyś – warknął Romanelli tonem, który nie zachęcał do dalszej rozmowy. Czarnoksiężnik siedział skulony po drugiej stronie łodzi, oddychając przeciągle i chrapliwie. To, co pozostało z doktora Romany, chichotało z cicha na rufie.

Człowiek przy wiosłach pozwolił znosić się prądowi w lewo, na wschód od miasta, i w końcu Doyle ujrzał na wysokiej, piaszczystej skarpie paru ludzi; trzy czy cztery postacie w arabskich szatach, ukryte w cieniu pokrytej kurzem palmy, i kilka wielbłądów, które stały albo leżały obok kawałka rozwalonego muru. Doyle nie był zdziwiony, gdy żeglarz wykonał obrót i skierował dziób łodzi w tamtą stronę, a Romanelli pomachał i zawołał:

– *Ya Abbas, sabah ixler!*

Jeden z mężczyzn w arabskich szatach schodził teraz ku brzegowi. Pomachał i zawołał:

– *Saghida, ya Romanelli!*

Doyle przyglądał się chudej, ostro ciosanej twarzy i próbował z niepokojem wyobrazić sobie tego osobnika, robiącego coś zwyczajnego, na przykład głaszczącego kota. Ale nie zdołał.

Kiedy dzieliło ich od brzegu kilka metrów, kil zazgrzytało o piaszczyste dno. Łódź zatrzymała się, a Doyle poleciał do przodu.

– Au – wymamrotał, ocierając się ustami o ławkę, która była zimna i słona od wody rozchlapywanej przez wiosła. W chwilę później Romanelli dźwignął go do góry.

– Bolało? – spytał z udawanym przerażeniem przycupnięty na rufie stwór o wielkich oczach. – Po-o-o-o-wiedz, czy to bolało, pało?

Czarnoksiężnik wyprostował się i zaczął rzucać szczekliwe rozkazy po arabsku, a wtedy ku wodzie pospieszyło jeszcze dwóch mężczyzn spod palmy, podczas gdy pierwszy brnął już ku łodzi, rozbryzgując wodę. Romanelli wskazał na Doyle'a.

– *Taghala maghala nisilu* – powiedział, a wówczas przez burzę sięgnęły szczupłe, opalone ramiona i wyciągnęły Doyle'a z łodzi.

Później usadowiono go na wielbłądzie i przywiązano. Zanim dotarli późnym popołudniem do małego miasta El Hamed nad Nilem, pomimo iż zatrzymali się kilka razy dla nabrania wody, jego nogi wydawały mu się obcymi częściami ciała pozbawionymi czucia. Chwilami tylko przeszywał je straszliwy ból, kręgosłup zaś wydał mu się starą, wyschniętą łądygą słonecznika. Kiedy Arabowie odwiązali go i zanieśli do *dahebeeyeh*, niskiej łodzi o pojedynczym maszcie i z niewielką kabiną w tylnej części, Doyle był na wpół przytomny i bełkotał: „Piwa... piwa...!” Na szczęście zdawali się rozumieć to słowo i przynieśli mu dzban z czymś, co było, niewątpliwie i dzięki Bogu, piwem. Doyle opróżnił naczynie kilkoma łykami i osunął się na pokład, po czym z miejsca usnął.

Obudził się w ciemności, kiedy łódź uderzyła łagodnie o drewno i znieruchomiła. Gdy strażnicy podnieśli go i posadzili na pomoście twarzą do łądu, mógł dostrzec po lewej stronie światła, oddalone zaledwie o kilkaset metrów.

Na pomost wszedł jakiś człowiek z latarnią.

– *Is salam ghalekum, ya Romanelli* – powiedział cicho.

– *Wi ghalekum is salam* – odparł Romanelli.

Doyle myślał z przerażeniem o następnej podróży na grzbiecie wielbłąda, ale westchnął z ulgą, gdy dostrzegł na drodze, za plecami mężczyzn, zarys prawdziwego angielskiego powozu.

– Czy jesteście w Kairze? – spytał.

– Mijamy go – odparł krótko Romanelli. – Jedziemy w głąb łądu, w stronę Karafeh, nekropolii pod cytadela.

Warknął na Arabów, którzy chwycili posłusznie Doyle'a za kostki u nóg i ramiona, po czym zanieśli go po starych, kamiennych schodkach na drogę i wsadzili do powozu.

Kilka chwil później przyłączył się do niego Romanelli, pozostałość po doktorze Romany, jeden z Arabów i człowiek, który wyszedł im na spotkanie. Trzasnęły lejce i powóz ruszył do przodu.

Nekropolia, pomyślał z niezadowoleniem Doyle. Pięknie.

Ścisnął razem kolana, siedząc zgięty na podłodze powozu i czerpiąc wątpliwą pociechę z wykonanego własnoręcznie, drewnianego

sztyletu. Nie uświadamiał sobie obecności tropikalnych woni dochodzących od strony rzeki, dopóki nie zniknęły i nie pojawił się delikatniejszy, ale lepiej wyczuwalny zapach pustyni.

Po jakichś trzech kilometrach niespiesznej jazdy zniszczoną, lecz nadającą się do użytku drogą zatrzymali się, i gdy Doyle został wyniesiony z powozu i postawiony obok niego w pozycji wyprostowanej, przyjrzał się stojącemu samotnie na pustynnych nieużytkach nie oświetlonemu budynkowi, przed który zajechali. Blask latarni wydobył z mroku zwieńczone łukiem wejście z szerokimi filarami po obu stronach. Ściana frontowa pozbawiona była poza tym jakichkolwiek urozmaiceń, z wyjątkiem dwóch otworów, które mogłyby uchodzić za okna, choć były zbyt małe, by dało się przez nie wysunąć głowę. Wyżej dostrzegał zarys wielkiej kopuły, rysującej się na tle rozgwieżdżonego nieba.

Romanelli skinął głową, a wtedy Arab, który towarzyszył im od przystani, wyciągnął spod swej szaty zakrzywiony, lśniący jak lustro sztylet i przeciął trzy pętle wokół nóg Doyle'a. Sznury kłępujące go od pasa w dół opadły na zakurzoną ziemię. Doyle zsunął je ze swoich kostek jednym ruchem nogi.

– Nie uciekaj – powiedział znużonym głosem Romanelli. – Abbas z pewnością by cię dogonił, a wówczas musiałyby na mój rozkaz uszkodzić ci jedno ze ścięgien Achillesa.

Doyle skinął głową, zastanawiając się, czy byłby w ogóle zdolny iść.

Skurczony ka ściągnął swoje obciążone odważnikami buty, po czym, trzymając je za klamry, zaczął chodzić w kółko na dłoniach, mając w górze nogami, które wyglądały jak wstążki przywiązane do wylotu wentylatora. Wyszczrzył z dołu zęby do Doyle'a i powiedział:

– Czas iść i zobaczyć księżyc, przyjacielu, Kornelu.

– Zamknij się – nakazał Romanelli. Zwrócił się do Doyle'a: – Tędy. Ruszaj.

Doyle, eskortowany przez ka, pokuśtykał za nim w stronę drzwi, i gdy byli już w połowie drogi, rozległ się trzask, który odbił się głuchym echem. Drzwi otworzyły się do wewnątrz, a na progu ukazała się zakapturzona postać z latarnią. Romanelli skinął niecierpliwie na Doyle'a i ka, by weszli do szerokiej, kamiennej sieni, po czym zadał jakieś pytanie, tym razem w języku, który nie przypominał arabskiego, podczas gdy człowiek w kapturze zamykał drzwi i opuszczał sztabę.

Mężczyzna wzruszył ramionami i udzielił krótkiej odpowiedzi, która, jak się zdawało, ani nie zadowolila, ani nie zaskoczyła Romanellego.

– Nie czuje się lepiej – mruknął do ka, prowadząc ich w głąb domu. Człowiek z latarnią ruszył za nimi. Zdawało się, że roztańczone cienie ożywiają reliefy Starego Królestwa na ścianach, a nawet kolumny hieroglifów. Doyle zauważył, że sień kończy się kilkanaście metrów dalej ścianą ze starannie ułożonych cegieł, wybrzuszoną i nachyloną ostro w ich kierunku, tak że podłoga sięgała znacznie dalej niż sufit. Jak gdyby po drugiej stronie znajdował się basen, pomyślał.

– A co spodziewałeś się usłyszeć? Że zaczął robić salta w powietrzu? – zapytał ka wciąż odwrócony do góry nogami.

Romanelli zignorował tę uwagę i skręcił w zwieńczone łukiem wejście po lewej stronie, po czym ruszył schodami w górę. Zza rogu na piętrze docierało światło, które dotykało nierównych krawędzi stopni, a mężczyzna z latarnią pozostał – z ulgą, jak się Doyle'owi wydawało – u podnóża schodów. Ich trójka weszła do następnej sieni, znacznie krótszej niż dolna. Ta z kolei kończyła się balkonem, wychodzącym na wewnątrz kopuły. Podeszli do balustrady.

Doyle stwierdził, że spogląda w głąb wielkiej kuli o średnicy około dwudziestu pięciu metrów, oświetlonej blaskiem lampy, która wisiała dokładnie pośrodku, równo z balkonem, na łańcuchu przytwierdzonym do punktu szczytowego kopuły. Wychylił się przez poręcz i spojrział w dół, dostrzegając ze zdziwieniem czterech nieruchomych mężczyzn w okrągłym, otoczonym kamiennym murem wybiegu, na samym dole sferycznej komnaty.

– Witam, moi mali przyjaciele – dobiegł z naprzeciwnika zgrzytliwy szept. Doyle dopiero teraz się zorientował, że jakiś człowiek, bardzo stary, wysuszony i powykręcany, spoczywa na sofie, którą dziwnym sposobem przytwierdzono do przeciwległej ściany, zaledwie trzydzieści czy czterdzieści centymetrów poniżej ciemnej linii oznaczającej równik tego sferycznego pomieszczenia. Mężczyzna leżał na sofie, ta zaś spoczywała na niemal pionowej ścianie; wyglądało to na tak oczywiste działanie grawitacji, że Doyle rozejrzał się odruchowo, szukając wzrokiem ram lustra, które powinno gdzieś tam się znajdować... Nic jednakże nie zakłócało wewnętrznej powierzchni kopuły; sofa i człowiek naprawdę tam wisieli, niczym jakiś irytujący ornament ścienny. I gdy Doyle zaczął się już zastanawiać, jakim cudem starzec, z widoczną nonszalancją, utrzymuje się na tej przytwierdzonej bez wątpienia do ściany sofie, i gdzie znajduje się drabina, rozległo się skrzypienie rolek i sofa podjechała nieco w górę.

Starzec jęknął, po czym wychylił się i spojrzął w kierunku „podłogi”. Sofa znajdowała się teraz ponad linią równika.

– Wschód księżycy – stwierdził znużony. Znowu się położył i spojrzął na balkon po drugiej stronie. – Widzę doktora Romanellogo i doktora Romany, który jest żywym dowodem mej nieumiejętności stworzenia przyzwoitego ka. Miałem nadzieję, że przetrwasz wiek, nie osiągając tak żałosnego stanu. Ale kim jest nasz gość-olbrzym?

– Nazywa się, jak przypuszczam, Brendan Doyle – wyjaśnił Romanelli.

– Dobry wieczór, Brendanie Doyle – przywitał się człowiek na ścianie. – Muszę... przeprosić pana, że nie jestem w stanie podejść i uścisnąć mu dłoni, lecz wyrzekłszy się tej tu obecnej ziemi, grawitując w stronę... innego miejsca. Jest to niewygodna pozycja, lecz mam nadzieję, że niebawem temu zaradzimy. No ale – ciągnął – cóż pan Doyle ma wspólnego z naszą kłeską?

– On ją spowodował, wasza Wielmożność! – zaświergotał ka. – Wyrwał ka Byrona spod czaru posłuszeństwa, który na niego rzuciliśmy, i to przez niego oszaleli jagowie, a gdy skoczyłem do 1684, ruszył za mną i powiadomił Bractwo Anteusza o mojej tam obecności... – Odrzucił swoje buty, by móc gestykulować, i uniósł się stopami w górę, uderzył o kamienne zwieńczenie balustrady, po czym przesunął się nad nim i zaczął szybować ku szczytowi kopuły – ...a oni skądś wiedzieli, że broń zabrudzona ziemią może mnie zranić, więc odstrzelili mi połowę twarzy z pistoletu o zapchanej błotem lufie...

– Syczył tset osiemtery? – wypalił gwałtownie Mistrz.

Romanelli i Doyle, a także ka, który zdążył już przycupnąć do góry nogami obok łańcucha od lampy, wpatrywali się w niego zdumieni.

Mistrz zmrugał oczy i zacisnął mocno usta, po czym je otworzył.

– Skoczył – wymówił starannie – do tysiąc sześćset osiemdziesiątego czwartego?

– Myślę, że tak, sir – wtrącił pospiesznie Romanelli. – Skorzystali z wrót, które otworzył Fikee, podróżowali od wrót do wrót, przez czas, rozumiesz, panie? Ten ka – wskazał dłonią ku górze – jest z pewnością zbyt zniszczony jak na osiem lat działania, a fragmenty, które zebrałem z jego opowieści, tworzą spójną całość.

Mistrz przytaknął powoli.

– Rzeczywiście, było coś dziwnego w kłesce, którą zakończył się plan z Monmouthem w 1684.

Sofa podjechała kolejnych kilka centymetrów w górę i choć Mistrz zaciskał z bólu zęby, jedna z nieruchomych figur na dole wydała jęk, który odbił się echem od ścian pomieszczenia. Doyle, wystraszony, znów na nie zerknął, nie czerpiąc pociechy z faktu, że to tylko wojskowe posągi. Mistrz otworzył oczy.

– Podróż w czasie – wyszeptał. – A skąd to pan Doyle przybył?

– Z innego czasu – odparł ka. – On i cała grupa ludzi przeszli przez jedne z wrót, a ja zdołałem go schwytać, choć jego towarzysze wrócili tam, skąd przybyli. Miałem zbyt mało czasu, by go przesłuchać, a on – posłuchaj uważnie, panie – wie, gdzie znajduje się grobowiec Tutanchamona. Wie mnóstwo rzeczy.

Mistrz przytaknął, po czym uśmiechnął się przerażająco.

– Być może zdarzyło się, że w tym późnym i sterylnym wieku natrafiliśmy przypadkowo na najpotężniejsze narzędzie, jakim kiedykolwiek dysponowaliśmy. Romanelli, wytocz z naszego gościa odrobinę krwi i skonstruuj ka – w pełni dojrzałą formę, która będzie posiadała całą jego wiedzę. Nie wolno nam ryzykować, musimy za wszelką cenę ocalić zawartość jego głowy – mógłby się zabić albo zarazić się jakąś chorobą. Zrób to natychmiast, a potem zamknij go na noc. Przesłuchanie zacznie się rankiem.

Ściągnięcie z sufitu ka doktora Romany zajęło jakieś dziesięć minut – miał takie same szanse opuszczenia się w dół, do balustrady, jak chomik, który próbuje wydostać się z wanny – w końcu ściągnięto go za pomocą liny, a wtedy Romanelli poprowadził Doyle’a schodami w dół.

Znaleźli się na parterze i weszli do pokoju, gdzie w przyćmionym świetle pojedynczej lampy widać było odźwiernego, który starannie mieszał w wysokiej beczce jakiś płyn cuchnący rybami.

– Gdzie jest kielich... – zaczął Romanelli, lecz w tym momencie odźwierny wskazał na stół pod ścianą. – Aha. – Romanelli podszedł do niego i podniósł ostrożnie miedziane naczynie. – Masz – zwrócił się do Doyle’a. – Wypij to i oszczędź nam konieczności krępowania cię i wlewania ci tego siłą przez połamane zęby.

Doyle wziął kielich i powąchał podejrzliwie jego zawartość. Płyn miał ostrą, chemiczną woń. Przypominając sobie, że jego przeznaczeniem jest umrzeć nie wcześniej niż w 1846, podniósł więc kielich do pokrytych pęcherzami warg i wypił miksturę jednym, bulgoczącym łykiem.

– Boże – wysapał, odstawiając kielich i próbując chronić oczy przed gryzącymi oparami.

– A teraz pobierzemy od ciebie parę kropel krwi – stwierdził Romanelli, wyciągając spod szaty nóż.

– Odczopuj korek na żyłę, Kiryle – przytaknęła pozostałość po doktorze Romany. Ka znów trzymał się klamer swych obciążonych butów i chodził na dłoniach.

– Krew? – spytał Doyle. – Po co?

– Słyszałeś, jak Mistrz kazał nam zrobić twoje ka – odparł Romanelli. – Zamierzam teraz uwolnić ci ręce, nie rób jednakże niczego głupiego.

Nie zamierzam – pomyślał Doyle. – Historia mówi, że opuścę Egipt za cztery miesiące, zdrowy na ciele i umyśle. Dlaczego miałbym zmienić bieg wydarzeń i zafundować sobie wstrząs czy wyłamane ramię?

Romanelli przeciął sznur krępujący mu nadgarstki.

– Podejdź do tej kadzi – powiedział. – Zaraz natnę ci palec.

Doyle zrobił krok do przodu, trzymając wyciągnięty palec i zagładając ciekawie do pojemnika z perlistym płynem. A więc, pomyślał, to tutaj stworzą idealną kopię mojej osoby... O Boże, a jeśli to moja kopia uwolni się stąd i wróci w końcu do Anglii, by umrzeć w 1846? Ja zaś dokonam tu żywota, nie zmieniając biegu historii?

Czując, jak jego słaby optymizm nagle znika, Doyle chwycił Romanellego za nadgarstek i choć przeciął głęboko swoją dłoń o nóż czarnoksiężnika, złapał go drugą ręką za ramię i z całej siły szarpnął w stronę kadzi. Zdążył jeszcze dostrzec, że kilka kropel krwi ze skałeczonej dłoni skapnęło do perlistej cieczy.

Wydawało się pewne, że Romanelli wpadnie do kadzi, więc Doyle zakręcił się na pięcie, przykucnął, wyciągnął prowizoryczny sztylet z nogawki i rzucił się jak szalony na stojącego do góry nogami ka. Ten zawył przerażony i puścił buty, ale nim zdołał unieść się w górę, drewniany nóż Doyle'a przebił jego chlerławą pierś.

Doyle poczuł na twarzy uderzenie chłodnego i cuchnącego powiewu, ka zaś poleciał do tyłu, zsuwając się z ostrza, po czym, kurcząc się błyskawicznie, w miarę jak uchodziło z niego złe powietrze, poszybował przez całe pomieszczenie, odbił się od ściany, zaczął lecieć ku sufitowi, aż wreszcie utracił prędkość i znieruchomiał.

Romanelli tarzał się w agonii po podłodze, tuż obok kadzi, przez którą zdołał bezpiecznie przeskoczyć.

– Łapcie go – wykrztusił.

Między Doyle'em i drzwiami w holu stał odźwierny. Doyle ruszył wprost na niego, wymachując sztyletem i rycząc na całe gardło.

Mężczyzna uskokzył na bok, ale nie dość szybko; Doyle dzielił go rękojęścią broni, a wówczas odzwierny runął nieprzytomny na podłogę. Kroki uciekającego cichły w głębi sieni.

Romanelli wciąż próbował naciągnąć swe ochronne buty, mogące odizolować go od tortur podłogi, na którą osunęła się skóra i odzienie doktora Romany, równie cicho jak martwy liść opadający na wody stawu.

Żebracy z Thames Street nie podeszli do niskiego człowieka, który nadchodził dziarsko w chłodnym zmierzchu, gdyż jego źle dopasowane ubranie, blada, uśmiechnięta twarz i dziko zmierzwiona grzywa siwiejących włosów dowodziły, że nie ma grosza przy duszy, albo że jest być może nawet obłąkany. Co prawda jeden beznogi żebrak na wózku przyjrzał się mężczyźnie bacznie, przejechał za nim nawet kilka kroków, ale później zatrzymał się, potrząsnął z niedowierzaniem głową i zawrócił w stronę swego posterunku.

Przechodząc przez otwartą aleję targu Billingsgate, mężczyzna minął niewielki teatrzyk z Punchem i Judy. W pewnym momencie usłyszał piskliwy głos Puncha:

– Och, jeden z Braci Boleściwych, jak mi się... – głos urwał się nagle, a wówczas mężczyzna spojrział na kukielkę.

Przystanął i uśmiechnął się.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Punch? – spytał.

Kukielka przyglądała mu się przez kilka sekund.

– Hm, nie – powiedziała w końcu. – Myślałem przez moment, że... nie, nieważne.

Mężczyzna wzruszył ramionami i skierował się w stronę pustej przystani. Po chwili starte obcasy jego butów zastukały o zniszczone deski. Zatrzymał się dopiero na spękanej krawędzi pomostu.

Jego spojrzenie powędrowało nad szeroką, ciemniejącą powierzchnią wielkiej rzeki, ku pierwszemu światłom po stronie Surrey. Potem roześmiał się cicho i wyszeptał:

– Sprawdźmy twoją... wytrzymałość, Chinnie.

Przykucnął, pochylił się i wyciągając nad głową ramiona odbił się od pomostu, wykonując długi i niemal poziomy skok do rzeki.

Powierzchnia wody zaczęła się już wygładzać, gdy jego głowa wynurzyła się sześć metrów dalej. Otrząsnął twarz z mokrych włosów i przez chwilę przebierał nogami, tkwiąc w miejscu.

– Ale zimna ta woda – mruknął. – No dobra, sherry i suche ubranie za kilka minut.

Zaczął płynąć niespiesznym kraulem, przerywanym chwilami odpoczynku, w czasie których leżał na plecach i wpatrywał się w gwiazdy, aż w końcu znalazł się na środku rzeki, z dala od kilku łodzi i barrek sunących tego wieczoru po rzece.

Wypuścił z płuc cały zapas powietrza, a powolny syk dobywający się z jego ust zmienił się szybko w bąbelki, gdy jego głowa zniknęła pod wodą.

Bąbki powietrza wypływały pośrodku rzeki jeszcze przez minutę. Potem przestały wypływać, a woda odzyskała swą gładkość.

Było to zacięte starcie, ale w końcu Harry Angelo dostrzegł ze swego wysokiego stanowiska w oknie, że jego główny faworyt szykuje się do zadania przeciwnikowi pchnięcia, które on, Angelo, zalecał stosować w walce z leworęcznym szermierzem.

Pojedynek toczył się od ponad pięciu minut, a żadna ze stron nie zaliczyła jeszcze trafienia. Ryszard Sheridan, który przyłączył się z kieliszkiem brandy w dłoni do grupki widzów, powiedział cicho do boksera o przydomku Dżentelmen, że jest to najwspanialszy pokaz szermierki od czasu, gdy Angelo prowadzi salę szermierczą w Opera House w Haymarket.

Ulubieniec Angela, były bokser, znany jako Wspaniały Chinnie, raz po raz wychodził z finty ku zewnętrznej linii *sixte*, by zadać pchnięcie w linii *quarte*, po drugiej stronie broni przeciwnika, lecz ten za każdym razem parował ciosy z łatwością, choć ani razu nie przeprowadził skutecznej riposty.

Pięćdziesięcioczeroletni Harry Angelo był niekwestionowanym mistrzem instruktażu szermierczego w Anglii od chwili, gdy przed ćwierćwieczem jego ojciec wycofał się z branży, i teraz przewidywał zamiary swego ulubieńca tak bezbłędnie, jakby sam Chinnie wypowiadał je na głos: jeszcze jedna finta *sixte*, a następnie przewidywany odskok, lecz tym razem nie omijając do końca gardy przeciwnika aż do linii *quarte*, lecz pod nią, by zaatakować z niskiej, odsłoniętej flanki.

Angelo uśmiechnął się, gdy jego faworyt wykonał fintę *sixte* – ale po chwili zmarszczył czoło, ponieważ osłonięty czubek floretu tylko zadrgał w miejscu. Przeciwnik począł składać się do parady *quarte*, dostrzegając jednak, że ostrze rywala jest nieruchome, podbił je

szybkim niczym błyskawica ruchem, uderzając jednocześnie wygiętym jak łuk floretem w osłonięty kombinezonem brzuch Chinniego.

Angelo uwolnił wstrzymywany oddech, przeklinając po cichu: Wspaniały Chinnie zatoczył się do tyłu i niemal się przewrócił, a wówczas kilku widzów pospieszyło, by go podtrzymać. Jego rywal zerwał maskę i rzucił wraz z floretem na kamienną posadzkę.

– Mój Boże, zraniłem cię, Chinnie? – zawołał.

Bokser ściągnął swoją maskę, wyprostował się i potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić umysł.

– Nie, nie – odparł chrapliwie. – Muszę tylko złapać oddech. Za chwilę. Zmęczyłem się przy tej szczególnej pozycji.

Angelo uniósł posiwiałe brwi. Po raz pierwszy w ciągu trzech lat intensywnego treningu swego pupila usłyszał, że Wspaniały Chinnie nazywa pozycję *en guard* szczególną.

– No cóż, nie będziemy oczywiście liczyć punktu zdobytego w takich okolicznościach – oświadczył jego przeciwnik. – Jak tylko będziesz gotów, podejmiemy walkę przy stanie zero zero.

Chinnie, choć uśmiechnięty pogodnie, potrząsnął głową.

– Nie – powiedział. – Później. Teraz trochę świeżego powietrza.

Stary Richard Sheridan odprowadził go do drzwi w towarzystwie Angela, który kroczył obok, podczas gdy pozostali wzruszyli ramionami, a potem podnieśli swoje florety i maski, by ustawić się parami po obu stronach *pistes* wymalowanej na podłodze.

– Mam nadzieję, że nic mu nie jest – mruknął ktoś.

Gdy znaleźli się w holu, a z sali znów dobiegł szcęk broni, Chinnie odesłał obu mężczyznom ruchem ręki.

– Wróć za chwilę – powiedział. Lecz gdy obaj niechętnie wrócili do sali, Chinnie popędził schodami w dół, do drzwi prowadzących na ulicę, otworzył je gwałtownie i ruszył biegiem wzdłuż Bond Street.

Kiedy dotarł do Piccadilly, zwolnił kroku, oddychając głęboko chłodnym, jesiennym powietrzem. Idąc StranDEM zerknął w prawo, ku rzece, i wyszeptał:

– No i jak ci leci, Chinnie, przyjacielu? Zimno, co?

Jakiś przechodzień ruszył ku niemu, jakby go rozpoznał, ale cofnął się zmieszany, kiedy Chinnie wybuchnął szaleńczym chichotem i odstawił na chodniku szybki, choć niezbyt wprawny, numer taneczny ze stepowaniem.

Mamrotał do siebie przez całą drogę, od Fleet Street aż do Cheapside.

– Ha! – zawołał w pewnej chwili, wyskakując do góry. – Nie gorzej od Bennera, ot co. Nawet lepiej! Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi do głowy wcześniej, żeby zająć się tym na West Endzie.

* * *

Pierwsza część snu nie była przerażająca, Darrow zaś nigdy nie mógł sobie przypomnieć, dopóki się nie obudził, że przeżywał już to wielokrotnie.

Mgła była tak gęsta, że widział na odległość nie większą niż zaledwie parę metrów, a wilgotne, czarne ściany po obu stronach można było dostrzec tylko dlatego, że znajdowały się tak klaustrofobicznie blisko. W alejce panowała cisza, słychać było jedynie nierytmiczne stukanie, które dochodziło gdzieś z góry, jakby uderzał o framugę poruszany wiatrem lufcik.

Szedł na skrót, powinien więc znaleźć się na Leadnehall Street, ale od wielu godzin krążył zagubiony po labiryncie podwórek, alejek i zyg-zakowatych uliczek. Nie spotkał jeszcze żywego ducha, ale teraz przystanął, gdyż usłyszał cichy kaszel dochodzący gdzieś z przodu.

– Halo – powiedział i z miejsca poczuł się zawstydzony nieśmiałością swego głosu. – Halo tam! – powtórzył tym razem głośniej. – Mógłby mi pan pomóc znaleźć drogę?

Posłyszał szuranie powolnych kroków i dostrzegł wyłaniającą się ze ściany mgły ciemną sylwetkę; po chwili postać zbliżyła się na tyle, by mógł dojrzeć jej twarz – twarz Brendana Doyle’a.

Jakaś dłoń chwyciła Darrowa za ramię i po chwili wiedział tylko tyle, że siedzi na własnym łóżku, zaciskając zęby, by stłumić rozpaczliwy krzyk, który w jego śnie dobył mu się z ust i odbił płaskim echem w obumarłym od mgły powietrzu: „Wybacz mi, Doyle! Boże, wybacz mi!”.

– Jezu, szefie – powiedział młody mężczyzna, który go obudził – nie chciałem pana przestraszyć. Ale kazał się pan budzić o szóstej trzydzieści.

– Słusznie, Pete – zaskrzeczał Darrow, spuszcżając nogi na podłogę i przecierając oczy. – Będę w gabinecie. Kiedy zjawi się ten facet, którego wam opisywałem, przyslij go do mnie, dobrze?

– Oczywiście, szefie.

Darrow wstał, przesunął dłońmi po siwych włosach, po czym udał się korytarzem do swojego gabinetu. Pierwsza rzecz, jaką zrobił, to nalał sobie kieliszek brandy i opróżnił jednym, długim haustem.

Odstawił kieliszek, usiadł za biurkiem i czekał, aż trunek zmyje obrazy ze snu.

– Oby te przekłete koszmary odeszły wraz z ciałem – wyszeptał, sięgając po papierosa i zapalając od płomienia lampy. Wciągnął dym głęboko w płuca, odchylił się i dmuchnął w stronę rzędu rejestrów stojących na półce obok biurka. Rozważał przez chwilę, a potem odrzucił myśl, by popracować nad dostatecznie już skomplikowaną strukturą jego inwestycji. Znowu szybko się bogacił, a było rzeczą irytującą pracować bez kalkulatorów i komputerów.

Wkrótce usłyszał od strony schodów kroki, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział Darrow, zmuszając się do lekkiego, pewnego siebie tonu.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył wysoki, młody człowiek z uśmiechem samozadowolenia na przystojnej, gładko ogolonej twarzy.

– Proszę, wasza Wielmożność – powiedział, wykonując żartobliwy piruet na środku gabinetu.

– OK, nie kręć się. Doktor zbada cię za kilka minut, ale wpierv sam chciałem to zobaczyć. Jak z chodzeniem?

– Doskonale, nogi są sprężyste jak nowa stal. Wie pan, co mnie najbardziej zaskoczyło? To, że czułem po drodze różne zapachy! I nie przypuszczam, bym kiedykolwiek równie dobrze widział.

– No cóż, tobie też załatwimy zdrowe ciało. Żadnych bólów głowy? Brzucha? Przez lata zarabiał na życie jako bokser.

– Żadnych.

Młody człowiek nalał sobie brandy, wychylił kieliszek i ponownie go napełnił.

– Zdrowo ciągniesz.

– Że co?

– Ciągniesz, popijasz brandy. Chcesz żebym nabawił się wrzodów żołądka?

Mężczyzna odstawił kieliszek z urażoną miną. Jego dłoń powędrowała do ust.

– I nie obgryzaj paznokci, proszę – dorzucił Darrow. – Słuchaj, czy zdarza ci się... mieć jakieś myśli dawnego właściciela, które pozostały, powiedzmy, w zakamarkach jego głowy po wygnaniu go z ciała? Hm, czy takie rzeczy jak sny pozostają w starym ciele?

– *Avo*, to znaczy tak, chciałem powiedzieć, że tak mi się wydaje. Nie zwracam na to szczególnej uwagi, ale czasem marzę o miejscach,

których nigdy nie widziałem, i myślę, że to jakieś pozostałości z istnień ludzi, którym odebrałem ciała. Trudno powiedzieć coś z całą pewnością. Czasem – przerwał na chwilę, i ściągnął brwi – czasem, kiedy tak dryfuję nad linią oddzielającą jawę od snu, słyszę... no cóż, wydaje mi się, że stoję na forkasztelu jakiegoś statku, rozumie pan, w środku nocy, a ze ścian po obu stronach sterczą koje, jak półki z książkami... i, niech pan sobie wyobrazi, każdy z tych ludzi mówi przez sen...

Darrow wyciągnął dłoń, wziął napełniony kieliszek i wypił.

– Mniejsza o ten żołądek – powiedział, odsuwając krzesło i podnosząc się. – Chodźmy, trzeba spotkać się z doktorem.

Młody Fennery Clare, który wciąż czuł, jak swędzą go bose stopy od stania w ciepłym zakolu rzeczonym pod fabryką blachy niedaleko Execution Dock, zaczął brnąć przez wodę, omijając Limehouse Hole, i próbował posuwać się według punktów orientacyjnych, których tego ranka nauczył się na pamięć. Jednak z każdą minutą ściemniało się coraz bardziej. Dwa kominy po drugiej stronie rzeki były teraz zupełnie niewidoczne, podczas gdy żuraw na trzecim nabrzeżu, licząc od miejsca, w którym się znajdował, wyglądał tak, jakby się zdążył przesunąć. I choć znów zaczął się odpływ, brnął już po pas w wodzie, a jak większość Błotnych Skowronków, nie umiał pływać.

Niech diabli wezmą tę bandę irlandzkich dzieciaków – pomyślał. – Gdyby nie kręciły się po okolicy dziś rano, mógłbym po prostu wziąć ten worek i wynieść go, bo umiem poradzić sobie z każdym miejscowym chłopakiem. Irlandczycy na pewno by mi go odebrali, a taki szczęśliwy traf zdarza się raz w życiu: płócienny worek pełen miedzianych gwoździ, najpewniej pozostawiony przez któregoś z robotników, którzy naprawiali w zeszłym tygodniu ten duży statek!

Na samą myśl o pieniądzach, jakie za swoją zdobycz dostałby w sklepie ze starociami, co najmniej osiem pensów, a prawdopodobnie szylinga, napływała chłopcu ślina do ust. Postanowił, że jak odnajdzie już worek, a nie uda mu się wyciągnąć go stopami, to zaryzykuje, schyli się i go podniesie. Warto było się narażać, gdyż mógł za szylinga żyć wygodnie przez kilka dni, potem zaś wykonałby swój tradycyjny numer, jak zwykle u progu zimy, to znaczy dał się złapać podczas kradzieży węgla na jednej z barek zacumowanych przy Wapping, by odesłano go do sierocińca, gdzie dostałby płaszcz, buty, pończochy i przez kilka miesięcy regularne posiłki, dzięki

czemu nie musiałyby w zimowe poranki brodzić pónagi w zimnym mule rzecznym.

Napiał mięśnie i po chwili skrzywił w uśmiechu kąciki ust, gdyż palcami lewej stopy namacał w warstwie szlamu materiał worka. Odwrócił się, próbując przesunąć drugą stopę, nie tracąc równowagi.

– Czy ktoś może... mi pomóc? – zakrakał od strony wody jakiś głos.

Chłopiec drgnął zdziwiony, ale odzyskał równowagę, uświadamiając sobie po niewczasie, że pośród odgłosów rzeki, na które nie zwracał należytej uwagi, słychać było plusk płynącego człowieka.

Ktoś wstrząsnął mokrą głową.

– Hej... chłopcze! Czy to chłopiec? Pomóż mi!

– Nie umiem pływać – odparł Fennery.

– Stoisz tam, prawda? Brzeg jest blisko?

– Tak, zaraz za mną.

– Więc mogę... sam tam dopłynąć. Gdzie jestem?

– Powiem ci, jak wyciągniesz dla mnie ten worek gwoździ.

Pływak ruszył w stronę chłopca i po chwili znalazł się dostatecznie blisko, by stanąć na mulistym zboczach, kryjącym się pod powierzchnią wody. Tkwił tam przez parę minut, sapiąc, krztusząc się i wymiotując. Fennery cieszył się, że dzieli ich pewna odległość.

– Boże – wysapał w końcu mężczyzna. Opłukał sobie usta i spluwał. – Musiałem chyba... połknąć pół Tamizy. Czy słyszałeś wcześniej jakiś wybuch?

– Nie, sir – odpowiedział Fennery. – A co wybuchło?

– Chyba kamienica przy Bond Street. W jednej chwili byłem... – zakrztusił się i zwymiotował jeszcze jedną szklankę rzecznej wody. – Och, Boże, ratuj. Uprawiam sobie szermierkę u Angela, a w sekundę później znajduję się na dnie Tamizy, bez odrobiny powietrza w płucach. Chyba z pięć minut wypływałem na powierzchnię. Nie sądzę, by ktoś, kto nie jest wytrenowanym atletem, zdołał tego dokonać, ale i tak, pomimo zaciśniętych zębów i... twardego postanowienia, od-ruchowo próbowałem oddychać w wodzie. Nie pamiętam nawet, kiedy wypłynąłem na powierzchnię, chyba zemdlałem, a ocuciło mnie zimne powietrze.

Chłopiec przytaknął.

– Może pan sięgnąć pod wodę i wyciągnąć mój worek?

Mężczyzna, na wpuć przytomny, schylił się posłusznie, wsadził głowę pod wodę, namacał worek i wyciągnął go z mułu.

– Masz, przyjacielu – powiedział, prostując się. – Boże, ale jestem słaby! Ledwie to podniosłem. Chyba uszkodziłem sobie słuch – dziwnie słyszę. Gdzie jestem?

– W Limehouse, sir – odparł pogodnie Fennery, brnąc w stronę schodów.

– Limehouse? W takim razie zniosło mnie bardziej niż przypuszczałem.

Woda sięgała teraz Fennery’emu tylko do kolan, mógł więc nieść worek i podtrzymywać jednocześnie ociekającego wodą pływaka, który zataczał się jak pijany.

– Jest pan atletą, sir? – spytał z powątpiewaniem chłopiec, gdyż ramię, które trzymał, było kościste i chude.

– Zgadza się. Jestem Adalbert Chinnie.

– Co? Chyba nie ten Wspaniały Chinnie, mistrz bokserski?

– Ten sam.

– Widziałem pana raz w Covent Garden, jak pan walczył ze Straszliwym Torresem.

Dotarli do schodów i ruszyli pod górę, przystając co jakiś czas.

– Przedostatniego lata. Tak, niemal mnie pobił.

Dotarli zmęczeni do poziomu ulicy, po czym ruszyli wysypaną żużlem ścieżką w cieniu ceglanego muru, przeszli jakieś dwanaście kroków i skęcili na jej końcu, by znaleźć się na zaśmieconym podwórzu, które było oświetlone przez dwie lampy wiszące na ścianie jakiegoś magazynu.

Fennery cieszył się, że ma tak znakomitą eskortę, gdyż znajdowali się w okolicy, która uchodziła za jedną z najniebezpieczniejszych w Londynie. Zerknął na swojego kompana – i zatrzymał się.

– Ty śmierdzący kłamco! – syknął, lękając się jednocześnie, że robi zbyt dużo hałasu,

Mężczyzna zdawał się mieć kłopoty z chodzeniem.

– Co? – spytał jakby nieobecny myślami.

– Pan nie jest Wspaniałym Chinnie!

– Oczywiście, że jestem. Ale... jak sądzisz, co się, u licha, ze mną dzieje? Całe moje ciało wydaje mi się dziwne, jakby...

– Chinnie jest wyższy od pana, młodszy i bardziej muskularny. A pan to jakiś kaleka.

Mężczyzna zaśmiał się słabo.

– Posłuchaj, ty mały pętaku. Jeśli miałem kiedykolwiek prawo wyglądać jak kaleka, to właśnie teraz. A jak ty byś wyglądał, gdybyś

wypłynął na powierzchnię wody z dna rzeki, bez tchu w płucach? Poza tym jestem wyższy jak mam buty na nogach.

Chłopiec potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Jak minie lato, to na pewno szlag pana trafi. Niech pan posłucha, ja tu mieszkam, więc muszę już iść, ale jak będzie pan szedł tą ulicą, to dojdzie pan do Ratcliff Highway. Tam powinien pan złapać jakiś powóz.

– Dzięki, chłopcze.

Mężczyzna ruszył niepewnie we wskazanym kierunku.

– Niech pan uważa na siebie, dobra? – zawołał chłopiec. – I dzięki za pomoc z workiem!

Zniknął w mroku, tupiąc gołymi stopami.

– Proszę bardzo – mruknął mężczyzna. Co się z nim w tej chwili działo? I co się tak naprawdę wydarzyło? Teraz, gdy miał dość czasu, by złapać oddech i spokojnie rozważyć cały problem, pomysł z wybuchem wydał mu się bezsensowny. Czyżby został napadnięty w drodze do domu i wrzucony do rzeki, a szok wymazał z pamięci to wszystko, co wydarzyło się po owej walce u Angela? Ależ nie, to niemożliwe, nigdy nie wychodził stamtąd przed dziesiątą, a niebo na zachodzie nie było jeszcze nawet całkiem ciemne.

Gdy miał już skrócić za róg budynku, zauważył okno w murze, tuż pod latarnią. Zerknął w nie, przechodząc obok... po chwili przystanął, cofnął się i ponownie wlepił w nie wzrok.

Unióśł dłoń do twarzy i stwierdził z przerażeniem, że postać odbijająca się w szybie uczyniła to samo. Przecież to był ktoś inny. To nie była jego twarz.

Odskoczył od okna i spojrzał na swoje ubranie – nie zauważył tego wcześniej, gdyż mokre odzienie zawsze wygląda tak samo ciemną nocą, ale to, co miał na sobie, nie przypominało marynarki i spodni, jakie zwykł nosić Adalbert Chinnie.

Przez jedną, pełną szaleństwa sekundę chciał wbić palce w swoją twarz i zerwać ją z siebie. Po chwili przyszło mu do głowy, że nigdy nie był Wspaniałym Chinniem, a tylko – Bóg wie czym, najwidoczniej żebrakiem – który jedynie śnił o tym.

Zmusił się, by podejść do okna i znów spojrzeć w szybę. Twarz, która przyglądała mu się z lękiem, była chuda, wymizerowana i poznaczona głębokimi bruzdami. Gdy przechylił głowę, dostrzegł wokół oczu siatkę zmarszczek, a w splątanych włosach, które ociekały wodą, mnóstwo siwizny. Odgarnął je do tyłu i niemal wybuchnął płaczem, gdyż stwierdził, że nie ma w ogóle prawego ucha.

– No dobra, mniejsza z tym – powiedział głosem tak napiętym jak twarda była szyba, w którą spoglądał. Był tak przemoczony, a ciało tak mu obce, że naprawdę nie wiedział, czy wilgoć wokół oczu to nie łzy.

– Mniejsza z tym – powtórzył. – Jestem Chinnie.

Zdobył się na odważny uśmiech, który niemal natychmiast zgasł. Napiął jednak swe chude barki i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę Ratcliff Highway.

Rozdział 12

Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo?

Pierwszy List św. Pawła do
Koryntian

W czasie wojny z Francją, kiedy wprowadzono embargo i powstał czarny rynek, pogłoski zaś o rychłej inwazji Napoleona na Anglię były coraz powszechniejsze, finansowa i handlowa sytuacja na Threadneedle Street zmieniała się co chwila. Człowiek, który znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie z właściwym towarem, mógł stać się bogaczem w ciągu paru godzin, podczas gdy fortuna, której utrata w innych okolicznościach musiałaby trwać dziesięciolecia, mogła teraz wyparować na Królewskiej Giełdzie w ciągu jednego ranka. I tylko ktoś bacznie obserwujący rynek zorientowałby się, że jeden spekulant miał swój udział niemal w każdym przedsięwzięciu i nieodmiennie wychodził na swoje.

Jacob Christopher Dundee, jak obecnie nazywał się J. Cochran Darrow, zaczął swą karierę inwestora zaledwie dwudziestego drugiego października, lecz w ciągu jednego miesiąca udało mu się pomnożyć swój kapitał wyjściowy wielokrotnie dzięki zapoczątkowanym przez siebie przesunięciom środków finansowych, inwestycjom i legalnej wymianie waluty na międzynarodową skalę. I tak nieodparty był urok przystojnego, młodego Dundee, choć pochodzenie niejasne, że piątego grudnia *London Times* ogłosił jego zaręczyny z Claire, córką zamożnego importera, Joela Peabody.

Siedząc w swym biurze nad nieczynnym już salonem fryzjerskim przy Leadenhall Street, Jacob Dundee zamachał poirytowany dłonią, rozpędzając chmurę dymu tytoniowego, która dobywała się

z fajki jego starszego kompana, po czym znów zerknął na notatkę w gazecie.

– No cóż, zdaje się, że przynajmniej wydrukowali bezbłędnie wszystkie nazwiska i imiona – powiedział. – Choć obyłyby się bez odniesień do „przebiegłego nowicjusza na londyńskim rynku kapitałowym”. Dyskrecja jest w tego typu działalności sprawą zasadniczą, a już teraz ludzie uważnie mi się przypatrują i grzebią w moich interesach.

Stary człowiek zerknął ciekawie na gazetę.

– Miła dziewczyna?

– Odpowiednia do moich celów – odparł niecierpliwie Dundee, odganiając kolejną chmurę dymu.

– Pańskich celów? A jakież to cele, jeśli wolno spytać?

– Posiadanie syna – rzekł cicho młody człowiek. – Chłopca, którego obdarzę swoją fortuną i solidnym wykształceniem, a także doskonałym zdrowiem. Moi medycy powiadają, że Claire jest najzdrowszą i najinteligentniejszą młodą damą, jaką można obecnie znaleźć w Anglii.

Starzec wyszczerzył zęby.

– Większość młodych i żaręczonych dżentelmenów oczekuje czegoś mniej filo... hozoficznego, a bardziej wesołego, he? A słyszałem, że ta panienska Peabody to niezły kąsek. Ale pan na pewno już zrobił kilka wypadów, zaznajomił się z terenem, no nie?

Dundee poczerwieniał.

– No cóż, ja... nie, w żadnym... do diabła, nie jestem młodym człowiekiem... to znaczy jestem, ale tego typu sprawy będą musiały... – odkaszlnął. – Do licha, czy musisz palić to świństwo? Jak myślisz, skąd się bierze rak? Jeśli potrzebujesz nikotyny, naucz się żuć tytoń, kiedy jesteś w moim towarzystwie, OK?

– OK – odparł starzec. – OK, OK, OK. – Dopiero co nauczył się tego słowa i wciąż wymawiał je z upodobaniem. – Czym się pan w końcu martwi? Umowa przewiduje dostarczenie świeżego osobnika, gdy tylko pan zechce.

– Wiem. – Dundee przetarł oczy i przesunął palcami po kręconych kasztanowych włosach. – To tak jak z nowym samochodem – mruknął. – Dopóki nie pojawi się pierwsze wgniecenie na karoserii, człowiek martwi się o wszystko.

– Jak na takiego zdrowego młodzieńca wygląda pan szczególnie blade – zauważył starzec, kładąc na podłodze swoją czarną glinianą fajkę i sięgając dla odmiany po kieliszek brandy. Wziął spory łyk.

– Tak, nie śpiam dobrze – stwierdził Dundee. – Ten sen, który wciąż miewam...

– Niech się pan tak nie przejmujecie tymi snami, przyjacielu. Trzeba zachować jakiś dystans. Wydaje mi się, że stale śnię, i gdybym kiedykolwiek się tym przejmował, to jestem pewien, że zwariowałbym do tego czasu. Wyłączam jakby swój umysł, kiedy śnię, więc nie muszę się martwić.

– To brzmi rozsądnie – przyznał Dundee, przytakując bez przekonania. – Tak, bardzo dobrze.

Jego rozmówca, wyczuwając ironię, skinął z zadowoleniem głową.

– OK, przywyknie pan. Po kilku skokach będzie pan przejmował się snami tak samo jak kurzem, który wzbijają na drodze obcasy pańskich butów.

Dundee nalał sobie brandy, dolał trochę wody z karafki i tyknął trunku.

– Czy zdecydowałeś już, dokąd się udasz – skinął nieznacznie na starego człowieka – z twej obecnej postaci?

– Wiem. Chyba wysadzę z siodła pana Maturo, pańskiego Anonima. Często jada w pewnej knajpie, więc nie powinno być kłopotu z wyspaniem mu do jedzenia ziół. Zrobię to za jakiś tydzień.

– Maturo? Ten facet, który cię powiesi? Z relacji Robba w *Dzienniku* wynika, że ma około pięćdziesiątki.

– No tak, zgadza się, i dlatego nie pozostanę w nim dłużej niż tydzień, ale z radością popatrzę sobie na jego twarz, gdy na chwilę przed kopnięciem beczki stwierdzi, że to właśnie on na niej stoi z pętlą zaciśniętą na szyi, a ja siedzę sobie w jego ciele i szczerzę do niego zęby.

Dundee wzdrygnął się.

– Radujcie się, ludziska – powiedział.

Oczyszczonym ze śniegu rynsztokiem, który ciągnął się środkiem ulicy, szedł energicznie niski człowiek, niosąc w wyciągniętej na długość ramienia dłoni pięciokilogramową paczkę rodzynek. Po przejściu dwudziestu kroków przerzucił paczkę do drugiej ręki, wolną zaś począł machać w powietrzu, by rozluźnić mięśnie. Mocne proste barki i swobodny krok dowodziły, że ćwiczenia fizyczne nie są dla niego zachcianką, na którą zdecydował się akurat tego popołudnia.

Pozostało zaledwie pięć dni do Bożego Narodzenia. Pomimo mrozu i śniegu na ulicy było sporo ludzi w czapkach i mufkach, opatulo-

nych w ciepłe płaszcze. Jacyś chłopcy, którym towarzyszył pies, szaleli na sankach. Czasem przejeżdżał ze stukotem wóz kramarza, pykającego z fajki. Mężczyzna musiał wtedy schodzić z drogi. Nie słyszał wozów nadjeżdżających od tyłu. Schodził na bok, gdy były całkiem blisko. Krzyczano na niego już tyle razy, że kiedy znów usłyszał, jak ktoś woła uparcie za jego plecami, po prostu usunął się na bok, nie patrząc za siebie.

Ale wołanie znów się rozległo.

– Hej, Doyle!

Niski mężczyzna zerknął przez ramię, po czym zwolnił i w końcu stanął, gdyż jakiś wąsaty i chudy chłopiec uliczny machał do niego, przechodząc przez zaspę przy krawężniku.

– Doyle! – zawołał. – Znalazłem twojego Williama Ashblessa! Opublikował poemat w ostatnim numerze *Couriera*!

Mężczyzna czekał, aż chłopiec się z nim zrówna.

– Obawiam się, że mnie z kimś pomyliłeś – powiedział. – Nie nazywam się Doyle.

Chłopiec zamrugał i cofnął się o krok.

– Och, przepraszam, ja... – przekrzywił głowę. – Oczywiście, że się pan tak nazywa.

– Wiedziałbym o tym, nieprawda? Nie nazywam się tak.

Jacky przypatrywała mu się podejrzliwie ze zmarszczonymi brwiami, a potem powiedziała:

– Proszę mi wybaczyć, jeśli się mylę, ale czy nie ma pan blizny od noża na klatce piersiowej pod obojczykiem?

Odpowiedź mężczyzny zadziwiła Jacky.

– Poczekaj chwilę! – sapnął, przyciskając dłonie do piersi. – Znasz tego człowieka?

– To znaczy... pana? – spytała niepewnie Jacky. – Tak. A co się stało, stracił pan pamięć?

– Kim on jest?

– On jest... ty jesteś Brendanem Doyle'em... należącym niegdyś do żebraczego cechu Jacka Kopenhagi. A jak pan myśli, kim pan jest?

Mężczyzna przypatrywał się chłopcu uważnie.

– Adalbertem Chinnie.

– Co, tym bokserem? Ależ Brendan, on jest znacznie wyższy i młodszy...

– Przed dwoma miesiącami byłem wyższy i młodszy. – Uniósł brwi. – Czy ten twój Doyle nie jest przypadkiem jakimś magiem?

Jacky cały czas przyglądała się głowie mężczyzny, ale teraz powiedziała niepewnie:

– Niech pan spojrzy na swoje buty.

Mężczyzna zrobił, jak kazała, ale znów podniósł wzrok, gdy usłyszał westchnienie. Chłopiec zbladł jak ściana i z jakichś powodów był bliski łez.

– Mój Boże – wyszeptała Jacky. – Nie jesteś już tysy.

Teraz mężczyzna był zdumiony.

– Hm... nie...

– Och, Brendan... – Po zaczerwienionych od zimna policzkach Jacky spłynęło kilka łez. – Ty biedny, niewinny sukinsynu... Twój przyjaciel Ashbless zjawił się za późno.

– Co?

– Nie mówiłem do pana – pociągnęła nosem Jacky. Otarła twarz końcem szalika. – Przypuszczam, że naprawdę jest pan Wspaniałym Chinnie.

– Tak, jestem... albo byłem. Uważasz to za wiarygodne?

– Obawiam się, że tak. Niech pan posłucha, musimy usiąść razem i wyjaśnić parę rzeczy. Ma pan czas, żeby pójść na drinka?

– Jak tylko dostarczę to mojemu szefowi, będę miał przerwę na kolację. To za rogiem, piekarnia Malka przy St.Martin's Lane. Chodźmy.

Jacky dreptała obok Chinniego, który wrócił do swoich ćwiczeń. Skręcili w lewo, w St.Martin's Lane, i wkrótce dotarli do piekarni. Chinnie powiedział Jacky, by poczekała na niego, po czym przecisnął się przez tłum małych chłopców, których do szyby przyciągnął zapach ciepłego budyniu śliwkowego, i zniknął za drzwiami.

Po kilku chwilach znów się ukazał.

– Niedaleko stąd, przy Kyler Lane jest pub, do którego często wstępuję na kufel piwa. Przesiadują tam mili ludzie, choć uważają mnie za zbzikowanego.

– O, jest Wspaniały! – zawołał wesoło właściciel pubu w fartuchu, kiedy nowi goście otworzyli drzwi i weszli w panujący wewnątrz mrok. – Ze swym przyjacielem „Dżentelmenem” Jacksonem, jak widzę.

– Dwa kufle portera, Samuelu – powiedział Chinnie, prowadząc Jacky do boksu w głębi sali. – Raz się tu upiłem – mruknął – i byłem na tyle głupi, że zdradziłem im mój sekret.

Kiedy przyniesiono kufle ciemnego piwa, które ostrożnie skosztowano, Jacky spytała:

– Kiedy i jak nastąpiła wymiana ciał?

– Jeśli chodzi o kiedy – to w niedzielę, dwa miesiące temu, czternastego października. A jak... – Łyknął jeszcze piwa. – No cóż, ćwiczyłem szermierkę u Angela i gdy miałem wykonać wyjątkowo przebiegły unik, znalazłem się nagle na dnie Tamizy, bez powietrza w płucach.

Jacky uśmiechnęła się gorzko i przytaknęła.

– Zgadza się, tak właśnie działa. Pozostawiając cię w ten sposób nie musiał, jak sądzę, pogryźć ci języka, nim odszedł. – Spojrzała z pewnym szacunkiem na mężczyznę. – Musisz być Chinnie, nigdy by cię tak nie pozostawił, gdyby był choć cień szansy, że przeżyjesz.

Chinnie dokończył swoje piwo i dał znak, że chce jeszcze.

– Niewiele brakowało. Czasem, leżąc nocą w łóżku, żałuję, że przeżyłem. – Spojrzał twardo na Jacky. – A teraz ty mów. Kim jest ten ktoś, o kim ciągle mówisz? Twój przyjaciel, ten Doyle? Czy to on jest w moim prawdziwym ciele?

– Nie, Doyle nie żyje, jak sądzę. Najpewniej spotkało go to, co ciebie, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by akurat on zdołał wypłynąć z dna Tamizy. Nie, w twoim ciele jest... chyba czarnoksiężnik... znany jako Joe Psia Twarz, który potrafi zamieniać się z ludźmi na ciała, gdy tylko mu się spodoba. Musi to robić często, gdyż z jakiegoś powodu porasta wszędzie gęstym futrem, kiedy tylko znajdzie się w nowym ciele.

– Tak! – zawołał podniecony Chinnie – zgadza się! Byłem cały porośnięty, gdy wydostałem się z rzeki – miałem włosy nawet między palcami rąk i nóg. Pierwsze co zrobiłem, to kupiłem sobie brzytwę i ogoliłem ciało. Dzięki Bogu chyba już nie rosną.

– Myślę, że już nie będą, kiedy Joe znalazł sobie nowe ciało. Ja...

– A więc ten czarnoksiężnik chodzi sobie w moim ciele. Muszę go znaleźć.

Jacky potrząsnęła głową.

– Nie po dwóch miesiącach, obawiam się. Ja też próbuję go znaleźć od dłuższego czasu i wiem, że nigdy nie pozostaje w jednym ciele dłużej niż przez tydzień albo dwa.

– Co przez to rozumiesz? A co miałby z nim robić?

– To samo, co zrobił z ciałem biednego Doyle'a, kiedy zaczęło porastać futrem; wyszukuje sobie miejsce, w którym od śmierci dzieli go tylko sekundy, po czym zamienia się na ciała z kimś innym, kto być może znajduje się kilometry dalej, i odchodzi sobie spokojnie, podczas gdy wygnany ze swej cielesnej powłoki osobnik umiera, nim zdąży się zorientować, gdzie się znalazł. Taki odrzu-

cony nigdy nie żyje zbyt długo; sędzę, że jesteś prawdopodobnie jedynym, który przetrwał.

Karczmarz przyniósł Chinniemu świeżego portera.

– Dziękuję – powiedział bokser, a gdy mężczyzna wrócił za kon-tuar, wpatrzył się w Jacky oczyma Doyle’a. – Nie – stwierdził twar-do. – Nie porzuciłby, ot tak sobie, mojego ciała. Posłuchaj, nigdy nie odznaczałem się próżnością, ale to był kawał doskonałej... m-ma-szyny. – Widać było, że Chinnie panuje nad sobą tylko z najwyż-szym wysiłkiem. – Przystojne, młode, silne, sprawne...

– ... i włochate jak małpa...

– A więc będzie musiał je golić, prawda? – krzyknął Chinnie do-statecznie głośno, by wszyscy pozostali goście w pubie odwrócili się w ich stronę. Rozległo się kilka tolerancyjnych chichotów, gdy obec-ni zorientowali się, o kogo chodzi.

– Racja, Wspaniały – zawołał gospodarz. – Ogol je na jajo. Ale nie hałasuj tak, dobra?

– Poza tym – ciągnął już cichszym głosem poczerwieniały na twarzy Chinnie – są przecież takie miejsca, gdzie ludzie chodzą, żeby się ostrzyć? Kto mówi, że nie mógłby się tam udać?

– Nie sędzę, by w którymś z tych miejsc naprawdę...

– A wiesz na pewno? A byłeś tam kiedyś? Właściwie powinieneś, ro-zumiesz, bo te twoje w-wąsy wyglądają jak... – znów zaczął podnosić głos, ale nagle zamilkł i otarł oczy. – Przepraszam, chłopie. To napięcie.

– Wiem.

Przez chwilę tylko siedział i pił piwo.

– Powiadasz, że go szukałeś? – spytał Chinnie. – Dlaczego?

– Zabił moją narzeczoną – odparła głucho Jacky.

– I co zrobisz, jak go znajdziesz?

– Zabiję go.

– A jeśli jest w moim dawnym ciele?

– Mimo to go zabiję – odparła Jacky. – Spójrz prawdzie w oczy, człowieku, nie odzyskasz już swego ciała.

– Nie... nie zamierzam rezygnować. A jeśli go znajdę i powiem ci, gdzie on jest – to czy w zamian pomożesz mi... zamienić się z nim na ciała?

– Nie jestem w stanie wyobrazić sobie takiej sytuacji.

– Mniejsza o wyobraźnię. Pomożesz mi?

Jacky westchnęła.

– Jeśli zdołasz go znaleźć i wszystko zaaranżować, to ci pomogę, jeśli potem będę mogła go zabić.

– Bardzo dobrze. – Chinnie sięgnął przez stół i uściśnił sobie dłoń. – Jak ci na imię?

– Jacky Snapp, Pye Street dwadzieścia jeden, niedaleko katedry Westminsterkiej. A jakie imię ty przyjąłeś?

– Humphrey Bogart. Przyśniło mi się pewnego razu, pierwszej nocy w nowym ciele.

Jacky wzruszyła ramionami.

– Może znaczyło coś dla Doyle’a.

– A czy to ważne? W każdym razie możesz mnie znaleźć w piekarni Malka, St.Martin’s Lane. Dasz mi znać, jak go znajdziesz?

Jacky zawahała się. Czy miała brać sobie partnera? Oczywiście przydałby się jej silny towarzysz, a że Joe zdążył już najpewniej przejść w kogoś innego, Chinniego nie wstrzymywałaby troska o swoje eks-ciało... Poza tym nikt inny nie miał większego niż on prawa uczestniczyć w jej zemście.

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Będiesz moim partnerem.

– Dobry chłopak! – Znow uściśnił sobie ręce, po czym Chinnie spojrział na zegar. – Lepiej pójdę – rzekł, podnosząc się i rzucając drobne na stół. – Drożdże już rosną, a czas i ciasto nie czekają na człowieka.

Jacky dopiła swoje piwo i też wstała.

Gdy wychodzili razem z pubu, właściciel poklepał Chinniego po ramieniu i powiedział:

– Masz rację co do tych wąsów Jacksona. Jeśli nie możesz go namówić, żeby ze zgoilił, to daj mu wybuchowe cygaro.

Gdy wychodzili na ulicę, towarzyszył im śmiech gości.

W wigilię Bożego Narodzenia szynk pubu pod Gwineą i królikiem w Crutchedfriars był zatłoczony już przed wpół do czwartej po południu. Każdemu z gości, który zdążył otrzepać sobie kapelusz ze śniegu, powiesić pelerynę lub płaszcz na haku i drząc z zimna dotrzeć do baru, serwowano gratis parujące, aromatyczne filiżanki ponczu.

Barman, uprzejmy, łysiejący mężczyzna zwany Bobem Crankiem, nalał kilku ostatnim gościom, po czym oparł się o kontuar i pociągał z kubka zaprawioną alkoholem kawę, rozglądając się po nisko sklepionej sali. Tłum był rozradowany – jak to w wigilię Bożego Narodzenia – a polana w kominku płonęła żywym ogniem, nie trzeba było więc się nimi zajmować przez najbliższą godzinę. Crank znał niemal każdego z obecnych na sali, a jedynym gościem, co do którego mógł

mieć w ogóle jakieś wątpliwości, był stary człowiek siedzący samotnie przy stole obok kominka; uśmiechnięty staruch o szalonych oczach, który, pomimo bliskości ognia, miał koszulę zapiętą pod samą szyję, a szklankę trzymał w dłoniach osłoniętych rękawiczkami.

Drzwi wejściowe otworzyły się z łoskotem, a do holu wtargnął wir białych płatków. Crank napełnił filiżankę, nie podnosząc oczu, po czym wyciągnął dłoń, nim zdążył rozpoznać gościa.

– Doug! – zawołał, gdy do baru zbliżył się tęgi, siwowłosy mężczyzna. – Zimno na dworze, co? – spytał, zniżając głos i filiżankę. – A może by tak kropelkę czegoś mocniejszego, he?

Odkorkował pod kontuarem butelkę brandy i napełnił filiżankę.

– Dziękuję, Crankie.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem. Crank spoważniał pierwszy.

– Twoi kumple tam siedzą – powiedział, wskazując głową w stronę kominka.

– A, tam są. – Doug Maturo opróżnił filiżankę i odstawił z brzękiem na kontuar. – Przynies nam brandy, Crank, dobra?

– Robi się.

Maturo ruszył ciężkim krokiem przez salę, zbliżył się do wskazanego stolika i usiadł, przyjmując pijackie powitania przyjaciół szerokim uśmiechem i kiwnięciem dłoni.

– Wy nieroby – powiedział, biorąc do ręki wolny kufel z piwem i czekając, aż przyniosą mu brandy. – Kto pilnuje warsztatu?

– Warsztat sam się pilnuje, panie Doug – wybełkotał jeden z mężczyzn przy stoliku. – Kto w Wigilię potrzebuje piast do kół?

– Święta racja – zgodził się drugi. – Ani jutro. Za Boże Narodzenie!

Wnieśli szklanki, ale zastygli, gdy stary mężczyzna przy sąsiednim stoliku stwierdził wyraźnie:

– Boże Narodzenie jest dla idiotów.

Maturo odwrócił się i spojrzał na niego, unosząc pogardliwie brew i dostrzegając damskie rękawiczki na jego dłoniach. Lecz właśnie zjawił się Crank z brandy, więc Maturo wzruszył ramionami i odwrócił się do swoich kompanów. Mruknął coś, co wywołało salwę śmiechu, po czym łyknął zdrowo brandy; chwilowe napięcie zostało rozładowane.

– Świętowanie wszystkiego – ciągnął głośno stary mężczyzna – co w przekłętej kulturze zachodniej jest najsłabsze i najbardziej niezyciowe. Pokażcie mi człowieka, który świętuje Boże Narodzenie, a ja pokażę wam gościa o mętym wzroku, który wciąż pragnie, żeby mamusia otulała go co noc kołderką.

– Przelej to wszystko na papier, podpisz „Ikonoklasta” i wyślij do *Timesa*, przyjacielu – poradził przez ramię Maturo. – A teraz zatkaj sobie jadaczkę wódmą, zanim ktoś zrobi to w mniej przyjemny dla ciebie sposób.

Stary człowiek zrobił nieprzyzwoity gest.

– Nie potrzeba mi tego dzisiaj – westchnął Maturo, odsuwając do tyłu krzesło i wstając. Podszedł do mężczyzny i złapał go za koszulę. – Posłuchaj mnie, ty stara kreaturo. Jest w okolicy mnóstwo knajp, gdzie znajdziesz sobie okazję do zaczepki, której tak szukasz, więc dlaczego nie zawleczesz tam swoich cholernych gnatów, hę?

Stary człowiek zaczął się podnosić, ale stracił równowagę i opadł z powrotem na krzesło. Podarła mu się koszula, a do stojącej przed nim filiżanki z ponczem wpadł z pluskiem guzik.

– Przypuszczam, że każesz mi zapłacić za swoją koszulę – stwierdził zniecierpliwiony Maturo. – Równie dobrze możesz... – Nagle zamilkł i wlepił wzrok w odsłoniętą pierś mężczyzny. – Święty Boże, a co to...

Stary człowiek wyrwał się z rąk chwilowo zaskoczonego Maturo i skoczył ku drzwiom.

– Zatrzymajcie go! – ryknął Maturo tak ponagląco, że Crank zapomniał o zasadzie niewtrącania się w sprzeczki gości i cisnął pod nogi starego wielki słoik marynowanych nówek wieprzowych. Szkoło roztrzaskało się z głośnym hukiem i chlupotem, a uciekający mężczyzna stracił równowagę na mokrej podłodze, runął ciężko na bok i uderzył z rozpędu o stółek barowy, przewracając go przy okazji. Natychmiast znalazł się nad nim Maturo, stawiając dyszącego starca na nogi.

– Co on zrobił, Doug? – spytał niespokojnie Crank.

Maturo wykręcił mężczyźnie rękę i przycisnął ją siłą do kontuaru.

– Otwórz dłoń, ty draniu – syknął.

Dłoń pozostała przez kilka chwil zaciśnięta, ale otworzyła się, gdy Maturo zwiększył nacisk na łokieć.

– Jezu, on nic tam nie ma, Doug! – zawołał Crank z odrobiną niepokoju. – Dołożyliśmy mu, a on nie wziął nicze...

– Ściągnij mu rękawiczkę.

– Do diabła, człowieku, dość już...

– Ściągnij mu rękawiczkę!

Przewracając z niezadowolenia oczami, Crank ujął ją za koniuszki kciuka i palca wskazującego, po czym ściągnął jednym szarpnięciem.

Błada, pomarszczona dłoń była całkowicie pokryta twardym włosiem.

– To Joe Psia Twarz – oświadczył Maturó.

– Co? – zawołał podniecony Crank. – Ten wilkołak z bajek dla dzieci?

– Nie jest wilkołakiem. To najbardziej niezwykły morderca, jaki kiedykolwiek chodził ulicami tego miasta. Spytaj Brocka z Kenyon Court, co stało się z jego chłopakiem Kennym. Albo panią Zimmerman...

– To on załatwił mojego brata – odezwał się młody człowiek z kąta, wstając czym prędzej. – Frank był księdzem, pewnego dnia uciekł z probostwa. Nie poznał mnie, kiedy go znalazłem, i roześmiał się, jak mu powiedziałem, kim jestem. Ale poszedłem za nim, żeby zobaczyć, gdzie mieszka, a w tydzień później jakiś stwór, mała jak mówią, zeskoczyła z dachu tego domu. Roztrzaskany zewłok na ulicy był cały porośnięty futrem, ale zajrzałem mu w usta i zobaczyłem odłamany ząb. Sam go Frankowi uszkodziłem, gdy jako dzieci walczyliśmy na miecze.

Starzec przy kontuarze wybuchnął śmiechem.

– Pamiętam go. Nie było mi źle w jego ciele, choć obawiam się, że jego ślub czystości trafił szlag.

Młody człowiek skoczył ku niemu z niezrozumiałym krzykiem na ustach i podniesioną pięścią, ale Maturó odepchnął go.

– Co chcesz zrobić, tylko go uderzyć? – spytał. – Sprawiedliwości musi stać się zadość.

– Zgadza się, wezwać policję! – zawołał ktoś.

– To też na nic – stwierdził Maturó. – Zanim trafi do sądu, już dawno go nie będzie, a w swoim ciele zostawi jakiegoś biedaka. – Wlepił wzrok w młodego człowieka, a potem powiódł spojrzeniem po innych. – Trzeba dokonać egzekucji – powiedział wyraźnie. – Teraz.

Joe Psia Twarz zaczął rzucać się wściekle, a w tym samym momencie zerwało się na równe nogi kilkoro ludzi, protestując i wołając głośno, że nie zamierzają uczestniczyć w morderstwie. Crank chwycił Maturó za rękaw i powiedział:

– Nie tutaj, Doug. Nie ma mowy.

– Dobrze – zgodził się Maturó. – Kto jest jeszcze ze mną?

– Ja, John Carroll – odparł młody człowiek, ponownie występując.

– Ja też – odezwała się krzepka matrona w średnim wieku. – Wyciągnęli raz taką małą z rzeki niedaleko Gravesend, i ta mała nosiła obrączkę mojego Billa, a palec miała tak owłosiony, że nie dało się jej ściągnąć.

Jeszcze trzech ludzi, jeden za drugim, podeszło i stanęło obok Johna Carrola i kobiety.

– Dobrze – stwierdził Maturo. Zwrócił się w stronę swojego stolika. – Któryś z was, chłopaki?

Jego otrzeźwieni nagle przyjaciele potrząsnęli głowami.

– Nie należymy do tych, co to mdleją na widok zadrapania, Doug – odezwał się jeden błagalnym głosem. – Ale pomoc w morderstwie dokonanym z zimną krwią... Mamy rodziny...

– Pewnie. – Spojrzał w inną stronę. – Pozostali niech wyjdą. I zawołajcie posterunkowego, jeśli uważacie, że tak trzeba – ale wpierv zastanówcie się, kogo chcecie uwolnić. Przypomnijcie sobie historie, które opowiedzieli wam ta kobieta i ten mężczyzna, i te, które sami usłyszeliście wcześniej.

Większość obecnych ruszyła ku drzwiom, choć jeszcze dwóch mężczyzn przyłączyło się do grupy Maturo.

– Właśnie sobie uświadomiłem – stwierdził jeden – że chcę wyjść stąd z czystymi rękami, choć diabelnie się cieszę, że załatwicie się z nim. Tak nie można.

Maturo zakrył dłonią usta Joego Psiej Twarzy, po czym zwrócił się niedbale do Cranka:

– Wiesz, Crank, chyba zmieniłem zdanie. Mimo wszystko zaprowadzę go na policję. Rozumiesz? Ostatnia rzecz, jaką ode mnie usłyszałeś, to to, że oddam go żywego w ręce władz.

– Rozumiem – odparł pobladły na twarzy Crank, nalewając sobie sporą porcję brandy. – Dzięki, Dough.

Maturo, w asyście towarzyszących mu ludzi, ruszył z szarpiącym się osobnikiem w stronę tylnego wyjścia.

– Hm, Dough? – odezwał się napiętym głosem Crank. – Wychodzisz... przez tylne drzwi?

– Przejdziemy przez płot.

Ośmioro ludzi, na wpół wlokąc, na wpół wiodąc pod rękę, wyprowadziło swego jeńca na niewielkie podwórko gospody. Maturo spojrzał na widoczną w kącie pryzmę śniegu, który niemal przykrywał stary, zniszczony wóz. Mur był w pewnym miejscu zburzony – rezultat niewłaściwego operowania żurawiem służącym do przenoszenia żelastwa, który stał na dziedzińcu kuźni sąsiadującej z podwórzem gospody. Nikogo nie było tam widać. Cień osamotnionego dźwigu padał na tylne drzwi pubu.

– Pan – wskazał Maturo na jednego z towarzyszących mu mężczyzn – niech pan sprawdzi, czy gdzieś koło wozu nie leży jakiś sznur.

A... gdzie jest John Carroll? Ach, tu pan jest – czy da pan radę wspiąć się na ten żuraw?

– Jeśli ktoś zechce mi pożyczyć rękawiczki.

Z dłoni Joe Psiej Twarzy ściągnięto drugą rękawiczkę, więc Carroll dostał kompletną parę. W chwilę później przechodził przez zaśnieżoną dziurę w murze na drugą stronę.

– Mam linę – zawołał mężczyzna, któremu Maturó kazał szukać sznura koło wozu. – Zawiązana wokół dyszla. Jest przymarznięta, ale chyba dam radę ją oderwać.

– Jak już się pan z tym upora, niech pan przejdzie na dziedziniec kuźni – zawołał Maturó. Zwracając się do kobiety, zauważył: – Wygląda na to, że będziemy mogli zrobić to jak należy, zamiast topić go w korycie.

Po kilku minutach ósmioro ludzi otoczyło półkolem beczkę ponad metrowej wysokości, na której, unosząc głowę, balansował na czubkach palców Joe Psia Twarz, gdyż lina okazała się o kilka centymetrów za krótka. Gdyby opuścił się i stanął obcasami na wieku beczki, pętla wokół jego szyi zacisnęłaby się zbyt mocno.

– Jeśli mnie puścicie – powiedział chrapliwie Joe, spoglądając na nich z góry sponad wystających kości policzkowych – zrobię z was bogaczy. Przechowywałem pieniądze każdej z mych ofiar! To fortuna. Dostaniecie ją całą!

Szarpnął skrupowanymi nadgarstkami.

– Mówiłeś przedtem – zauważył Maturó – a my powiedzieliśmy: „nie”. Zmów modlitwę, Joe, odchodzisz z tego świata.

Maturó był najwyraźniej zaniepokojony całą tą sytuacją i wciąż zerkał podejrzliwie na swego więźnia.

– Nie potrzebuję modlitw – odparł Joe. – Moja dusza jest w dobrych rękach. – Jednakże jego pewne zarozumiałości słowa musiały być blefem, gdyż w mgnieniu oka później zawył rozpaczliwie i krzyknął: – Poczekajcie chwilę! Ja jestem D...

Zaciskająca się pętla zdławiła dalsze słowa, gdyż Maturó kopnął beczkę z taką siłą, że potoczyła się po zaśnieżonym dziedzińcu, stary człowiek zaś zakołysał się i zakręcił na końcu naprężonej zniecka liny. Z poczerwieniałej twarzy wyzierały wybałuszone oczy pełne błagania, a usta wymawiały bezgłośnie słowa, którym zabrakło tchu.

Maturó, z chwilą gdy rzecz się już dokonała, wyzbył się niepokoju i czekał z nieznacznym uśmiechem na ustach, aż straszliwe wahańdo obróci się plecami do swych katów, ku dziedzińcowi, nisko sto-

jącemu słońcu i wciąż toczącej się beczce, po czym skoczył i uchwycił się ramion wisielca, jakby chciał przejechać się na barana.

W mroźnym bezruchu rozległ się głośny trzask pękającego karku, John Carroll zaś odwrócił się i zwymiotował na śnieg.

* * *

Doug Maturo wkroczył do obskurnej siedziby biura, nad którego drzwiami wciąż można było odczytać wyblakłe litery, które układały się w napis Salon Fryzjerski, zamknął za sobą drzwi i ruszył przez ukośne pasma szarego światła, padające na podłogę od strony przysłoniętych żaluzjami okien. Minął zakurzony kontuar, wszedł do ciemnego korytarza i skierował się na schody. W połowie drogi usłyszał głosy dochodzące z piętra, zaczął więc stąpać bardzo cicho.

– ... przy Jermyn Street obok St. James Square – mówił Dundee. – Czynsz jest zawrotnie wysoki, ale jak zauważyłaś któregoś dnia, naprawdę powinienem zamieszkać w lepszym miejscu.

– Szczerze mówiąc, tak, Jake – odpowiedział kontraltem młody kobiecy głos. – I ty martwisz się o czynsz! Mówiłeś, że ile codziennie zarabiasz?

– W tej chwili przeciętnie dziewięćset funtów, ale suma ta rośnie w postępie geometrycznym – im więcej mam, tym więcej dostaję. Przed upływem 1811 roku nie sposób będzie dokładnie policzyć; nim zdąży się to wszystko pododawać, liczby będą już beznadziejnie nieaktualne.

– Za jakiegoż czarnoksiężnika wychodzę! – zawołała dziewczyna ze śmiechem w głosie. Rozległy się gruchania i chichoty, po czym dodała tonem przekomarzania się. – Choć niezbyt uczuciowego.

Człowiekowi, który szczerzył w ciemnym holu zęby, śmiech Dundeego wydał się wymuszony, a głos pozbawiony przekonania.

– Będzie na to mnóstwo czasu, gdy się pobierzemy, Claire. Zauważymy... zaufanie, jakie żywi do nas twój ojciec, gdybyśmy mieli... zachowywać się teraz niewłaściwie.

Mężczyzna cofnął się po cichu na schody, tupnął kilka razy o górny stopień, po czym zbliżył się głośno do drzwi i zapukał.

– Uhm... tak? – spytał Dundee. – Kto tam?

Mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do pokoju, po czym skinął Dundeeemu głową i uśmiechnął się szeroko do młodej blondynki.

– To ja, Radosny Stan – Nieśmiertelny Pan – stwierdził wesoło.

Dundee przyglądał się tępym wzrokiem wysokiemu, krzepkiemu intruzowi. Nigdy przedtem nie widział tej rumianej twarzy o twardym wzroku i kręconych, szarych włosach, ale domyślał się, kto to jest.

– Och... witaj – powiedział. – Widzę, że wszystko... poszło dobrze.

– Pewnie, żadnych problemów – prawdę powiedziawszy, ćwiczyłem po drodze podskoki i biegi, i zdecydowałem, że ten nowy ma niezłe nogi; chyba pozostaną tu przez jakiś czas, za pomocą twoich elektrourządzeń do usuwania włosów. A kim jest ta urocza istotka?

Wykonał teatralny ukłon, machając ramionami.

– Hm, Joe – Dundee podniósł się z kanapy – to Claire Peabody, moja narzeczona. Claire, to jest... Joe, współnik w interesach.

Joe odsłonił w uśmiechu równe, białe zęby.

– Miło mi panią poznać, panno Claire.

Claire zmarszczyła niepewnie brwi, niezbyt zachwycona niepodzielnym zainteresowaniem, jakim obdarzał ją ten mężczyzna.

– Miło mi pana, poznać, Joe – odparła. Uświadomiwszy sobie nagle, że mężczyzna wpatruje się w jej biust, jeszcze bardziej się zmarszczyła i rzuciła Dundeeemu błagalne spojrzenie.

– Joe – stwierdził młody człowiek – może zechciałbyś...

– Czyż to nie przyjemne – Joe mu przerwał, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Jest nam obojgu... miło.

– Joe – powtórzył Dundee – może zechciałbyś poczekać w swoim pokoju. Za chwilę z tobą porozmawiam.

– Pewnie, Jake – odparł Joe, odwracając się do drzwi. Zatrzymał się. – Wesółych Świąt, panno Claire.

Nie usłyszał odpowiedzi i zachichotał niemal bezgłośnie, zamykając za sobą drzwi.

Jacky zapłaciła przy barze pensa i stanęła w kolejce. Przesuwała się co pewien czas o krok, przybliżając do tylnego wyjścia i mężczyzny, który wołał raz za razem: „W porządku, widzieliście to, innym też pozwólcie popatrzeć”. Po paru minutach nadeszła jej kolej. Przekroczyła próg drzwi i przyłączyła się do tłumu stojącego na podwórzu. Śnieg, który je zalegał, został rozdeptany i zmienił się w błotnistą maź.

Jacky nie widziała nic prócz szerokich pleców mężczyzny, który stał przed nią, ale kolejka się posuwała. Po chwili przeszła wraz z innymi przez dziurę w ceglany murze i znalazła się na większym,

wybrukowanym dziedzińcu. Teraz już widziała żuraw i linę. Na sąsiedniej ulicy ktoś wyśpiewywał pijackim barytonem kolędy.

Co mam teraz robić? – zastanawiała się. Wrócić do domu? Do małego domku w Romford i do szkoły, a w końcu znaleźć sobie jakiegoś szczerego, obiecującego urzędnika bankowego jako męża? Tak, chyba tak. Co jeszcze? Sprawa, która sprowadziła cię do Londynu, została załatwiona, choć przez kogoś innego. Czy właśnie dlatego czujesz się taka... niepotrzebna i wyobcowana, i – spójrz prawdzie w oczy – przerażona? Jeszcze wczoraj miałaś jakiś cel, powód, by żyć w ten sposób, a dzisiaj już nie. Nie musisz być Jackym Snapem, ale nie jesteś też już tak całkiem Elizabeth Jacqueline Tichy. Co z tobą będzie, dziewczyno?.

Dotarła do ostatniego zakrętu kolejki i w końcu ujrzała tę scenę. Do ramienia żurawia przywiązano linę, na końcu której kołysał się w powiewach mroźnego wiatru manekin o głowie zrobionej z worka, pokryty kępami zjedzonego przez mole futra.

– Tak, przyjaciele – mówił przyciszonym głosem mistrz ceremonii – właśnie tutaj wymierzono w końcu sprawiedliwość przerażającemu Joemu Psiej Twarzy. Kukła, którą macie przed sobą, została starannie zrekonstruowana, byście mogli ujrzeć dokładnie to, co znaleźli tu zeszłej nocy policjanci.

– Słyszałem – komentował cicho mężczyzna, który stał w kolejce przed Jacky, zwracając się do swego kompana – że miał włosy na całym ciele, jakby dwudniowy zarost.

– Naprawdę, milordzie? – zainteresował się grzecznie ten drugi.

Kolejka przesuwała się z szuraniem stóp koło wisielca, odwróconego do patrzących tyłem. W siedzeniu spodni widać było szeroką dziurę, z której wychodziła słoma. Kilku ludzi roześmiało się, a Jacky usłyszała jakąś wygłoszoną szeptem teorię na temat okoliczności schwywania Joego Psiej Twarzy.

Czuła, jak narasta w niej histeria. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, Colin? – myślała. – Czy widzisz to... przedstawienie z wiejskiego jarmarku? Jesteś w końcu pomszczony. Czyż to nie wspaniałe? I czyż nie wspaniałe ze strony tych ludzi, że powiesili tutaj to memento? Jakież to wszystko wielkie, szlachetne i satysfakcjonujące.

Zaczęła łkać, nim zdążyła sobie to uświadomić. Potężnie zbudowany mężczyzna, który stał przed nią, ujął ją za łokieć i wyprowadził z kolejki do furki wychodzącej na ulicę.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, rozkazał:

– Parker – moja flaszką.

– Tak, milordzie – odparł mężczyzna, który wyszedł za nimi posłusznie na ulicę. Wyjął spod płaszcza piersiówkę, zdjął nakrętkę i podał mu.

– Masz, młodzieńcze – powiedział postawny mężczyzna. – Wypij. To głupie przedstawienie nie jest warte, by w tak piękny bożonarodzeniowy poranek ronić przez nie łzy.

– Dziękuję – powiedziała Jacky, pociągając nosem i wycierając go rękawem, gdy już zwróciła flaszkę. – Myślę, że ma pan rację. Nie sądzę, by cokolwiek było warte łez. Jeszcze raz dziękuję.

Dotknęła czapki, po czym wetknęła dłonie do kieszeni i ruszyła przed siebie szybkim krokiem, gdyż czekała ją długa droga na Pye Street.

Rozdział 13

*Gdy wielka tragedia dobiegła końca, a w dali,
gdzieś pod Bab-el-Azab, ucichł ostatni jęk, włoski
lekarz Muhammada Alego złożył mu gratulacje; lecz
pasza nie odpowiedział, poprosił jedynie o coś do
picia, po czym pociągnął spory łyk.*

G.Ebers

W dali, za skąpaną w blasku południa doliną Nilu, na tle horyzontu, rysowały się ostro piramidy, a jak się wydawało tylko odrobinę bliżej, choć trzy kilometry od muru cytadeli, na którym stał pewien człowiek, płynęła z północy na południe rzeka o zielonych brzegach, podobna do lśniącej, stalowej wstęgi. Kilka cieniutkich jak muśnięcie piórem wstążek dymu unosiło się nad wyspą El Roda, którą obserwator rozpoznał, chociaż z tej odległości trudno było ją określić jako odrębną część łądu. Dostrzegwał jednakże pojedyncze palmy, minarety i okna domów w starej dzielnicy Kairu i na bliższym brzegu rzeki. Niektórzy z naszych gości, myślał, Bahraci, nadchodzą prawdopodobnie teraz tymi ulicami. Jest to bez wątpienia wspaniała parada. Mali chłopcy porzucą pracę w warsztatach, by popatrzeć na pochód, psy będą szczekać, a spoza zakratowanych okien na piętrach haremów poczną błyskać z pewnością podczernione oczy, spoglądając ku dumnym wodzom. Niebawem ten skąpany w klejnotach korowód opuści starą dzielnicę i ukaże się, na pradawnej, kamiennej drodze, biegnącej półtora kilometra przez pustynię między starym Kairem a cytadelą.

Doktor Romanelli, pomimo upału, zadrżał lekko i obrócił się ku północy, wpatrując się zmrużonymi oczami w strzelisty, splełtany

labirynt oślepiająco białych murów i jasnokolorowych, pokrytych emalią kopuł; była to teraz nowa część miasta, wyrosła wokół głównego traktu, niczym bujna roślinność nadrzeczna. Zwała się Mustee i łączyła cytadelę ze starożytnym portem Boolak. Większość dzisiejszych gości zmierzała właśnie teraz przez zatłoczoną Mustee.

Wydawało mu się, że uchwycił jakiś daleki błysk, jakby promieni słońca odbitych od ostrza włóczni albo wypolerowanego hełmu. Dwieście lat temu, pomyślał, miało sens istnienie armii niewolników zwanych mamelukami, ale w dzisiejszym Egipcie stanowi ona tylko problem. Uciska kraj, narzuca miażdżące i brutalnie egzekwowane podatki na każdego, kto wydaje się mieć pieniądze, poza tym jest na tyle silna militarnie, by nie uznawać żadnych praw z wyjątkiem własnych potrzeb. Nie możemy pozwolić na to, by mamelukowie byli tak potężni, zwłaszcza teraz, gdy Muhammad Ali jest u władzy i gdy patrzą na nas oczy świata. Ich działania nie mogą być oceniane przez pryzmat tego, co robimy. Niepodległość jest po raz pierwszy od tysięcy lat w naszym zasięgu i nie wolno nam zaprzepaścić takiej szansy z powodu grupki miejscowych zbójów. Jak dobrze się składa, że Ali za moim pośrednictwem konsultuje się z Mistrzem, jako swym głównym doradcą! I jeśli powrócę do Anglii, myślał, przypatrując się spocynym niewolnikom, którzy ładowali towary na łódź, to tylko po to, aby doprowadzić do rozpadu tego narodu, by stał się wreszcie niczym, prawdopodobnie własnością Francji, którą także powstrzymamy. Wszystko, co musimy uczynić, to odkryć ponownie wiedzę, która umarła wraz z ka – doktorem Romany, i osiągniemy to niebawem, albo przez dokończenie naszych obliczeń, albo, co wciąż niewykluczone, przez uzyskanie jakiejś istotnej informacji od żałosnego ka, którego zdołaliśmy wyodrębnić z Brendana Doyle’a, zanim nam uciekł. Będzie to jednakże bardzo trudne, pomyślał kwaśno, schodząc po kamiennych stopniach na wąską, skąpaną w słońcu ulicę, która ciągnęła się za bramą el-Azab, i przypominając sobie przesłuchanie przeprowadzone zeszłej nocy.

Ka został wyciągnięty z lochu po raz pierwszy od co najmniej miesiąca i przez pierwsze pół godziny zdawał się nawet nie słyszeć pytań, które zadawał mu Mistrz; siedział tylko na balkonie, żując koniuszek swej obrzydliwej brody i cofając się z cichym krzykiem przed jakimiś najwyraźniej wyimaginowanymi insektami. W końcu przemówił, choć nie w związku ze stawianymi mu pytaniami. „Staram się ich powstrzymać, żeby nie wsiadali na motor, rozumiecie? Ale zawsze jest za późno, i są już na szosie, nim zdążę ich złapać,

i zjeżdżam na pobocze, bo nie chcę tego widzieć... Ale słyszę to... łoskot upadku, szorowanie po jezdni... i huk kasku rozbijającego się o słupek...”, mruzczał. „Jak wyszedłeś ze strumienia czasu?”, spytał Mistrz po raz czwarty. „Jacky mi pomógł. Zarzucił na małe ludziki sieć, a potem wciągnął mnie do łódki...”, odparł. „Nie, to chodzi mi o strumień czasu. Jak z niego wyszedłeś?”, nie ustępował Mistrz. „To wszystko jedna rzeka, a słupki odmierzające kilometry to stronicie kalendarza. Gdyby kil pruć wodę jak w natchnieniu, dotarłbyś tam w okamgnieniu. Rzeka jest przykryta lodem, rozumiecie – nie słuchaliście, jak Darrow to wyjaśniał? – ale jest łódź, z twarzami wymalowanymi na kołach, która może żeglować po lodzie; łódź może ożyć i zabić was... Czarna łódź, czarniejsza od ciemności...”.

Mistrz dostał w tym momencie ataku bezsilnego gniewu i musiał przemówić ustami jednej z woskowych figur *ushabti*, znajdujących się w ogrodzonym wybiegu na dole sferycznej komnaty. „Zabierzcie to stąd – krakał głos – i przestańcie dostarczać do lochu jedzenie, nie potrzeba nam tego”.

Tak, z pewnością nie będzie to łatwe, ale wciąż istniała jakaś szansa; mimo wszystko w tych rojeniach ukazywały się interesujące zarysy jakiegoś wzoru.

W każdym razie, może się nawet okazać, że niepotrzebne nam będą Wrota Anubisa, przyszło Romanellemu do głowy, gdy otwierał drzwi, które niebawem miały być zamknięte na dobre. Dojdzie do kolejnych śmiałych posunięć politycznych, takich jak to, które będzie miało miejsce dzisiejszego popołudnia. Mając tak silnego przywódcę, jakim jest Muhammad Ali, wspartego na dodatek radą Mistrza, będziemy mogli przywrócić Egiptowi należne mu miejsce bez konieczności pisania historii na nowo. Odpowiedź zaś na pytanie, kiedy dokonać skrytobójstwa i podstawić uległego ka, może poczekać nawet kilka lat.

Nim wkroczył do holu, rozejrzał się po wąskiej, pustej uliczce biegnącej między wysokimi murami. Na razie spokój, pomyślał.

* * *

W dzielnicy Mustee największy gwar panował w godzinę po wybiegu południa. Ciężko obciążone wielbłądy przeciskały się ze stóckim spokojem przez ciżbę. Krzyki, ukrytych za welonami kobiet sprzedających pomarańcze, zlewały się w drażniącą kakofonię i wznosiły się ponad śpiewem łapacza szczurów, który na swoim kapeluszu o szerokim rondzie nosił piramidę z sześciu ofiar swego fachu, każ-

da w małym kapelusiku; do tego dochodziły wrzaski handlarzy ryb i mleka, a także modlitewne zawrozczenia żebraków. Tłum rozstał się jednak czym prędzej przed defilującymi, którzy podążali konno środkiem ulicy, wolno, ale niepowstrzymanie. Jakiś chłopiec, licząc na zapłatę, przyjął na siebie rolę, w tym przypadku niepotrzebnie – biegnącego na czele *saisa*. – *Riglak!* – ostrzegł jakiegoś nubijskiego handlarza, który zdążył cofnąć z drogi stopę, jeszcze nim chłopiec zawołał; potem rzucił: – *Uxrug!* – do dwóch kobiet z haremu, które już przycisnęły się do muru i teraz głośno się sprzeciwiały, oburzone upomnieniami małego uzurpatora.

Lecz wszyscy chcieli popatrzeć na paradę z taką samą chęcią, z jaką usuwali się jej z drogi. Brytyjscy *effendi* siedzący przed kawiarnią Zawiyaha wychylali swoje trunki bardziej ochoczo i odwracali krzesła wykonane z gałęzi palmowych, by obserwować z niepokojem ową procesję; był to bowiem oficjalny przemarsz bejów mame-luckich w całej swej okazałości. Gorące słońce połyskiwało na drogich kamieniach, które zdobiły rękojeści szabel i pistoletów; barwne szaty, turbany z piórami i hełmy sprawiały, że reszta ulicy wyglądała przez kontrast szaro i ubogo. Pomimo przepychu drogocennej broni, bogatych szat i wspaniałych uprzęży arabskich rumaków, najbardziej uderzającym elementem parady były chude, brązowe twarze o zakrzywionych nosach i wąskich oczach, które spoglądały wyniośle ponad tłumem.

Jedną z najbardziej charakterystycznych była twarz brodatego wojownika w hełmie. Chociaż wielu ludzi, którzy umykali pośpiesznie z drogi albo spoglądali ciekawie z okien, znało łatacza butów Eshvlisa, pracującego zwykle w niszy zewnętrznego muru otaczającego meczet, żaden z nich nie poznał go w złotej zbroi mameluka Ameena.

I żaden też nie wiedział, że nawet wykonując swoje codzienne zajęcie, jakim była naprawa butów, Eshvlis jest oszustem, i że przed przybraniem owego imienia i ufarbowaniem włosów i brody na czarno nazywał się Brendan Doyle.

W ciągu kilku minionych miesięcy Doyle przywykł do postaci Eshvlisa, nie czuł się jednak zbyt pewnie w roli, którą przyjął dzisiejszego dnia. Odwracał twarz, ilekroć dostrzegł w tłumie kogoś ze swych klientów. Wcielenie, które z taką radością zaakceptował tego ranka zaczęło przyprawiać go o nerwowe drżenie; czy było zbrodnią, zastanawiał się, uczestniczyć w bankiecie wydanym przez paszę, przybywając nań w przebraniu jednego z zaproszonych go-

ści? Prawdopodobnie. Gdyby jego przyjaciel Ameen nie był pewien, że maskarada się uda, Doyle spiąłby pożyczonego konia ostrogami, umknął z parady, pozbył się szabli, sztyletów i bogatych szat, po czym przekradł się z powrotem do swej niszy, by z bezpiecznej odległości cieszyć oczy tym przemarszem.

Zerknął na swój warsztat, przejeżdżając obok, i choć zarezerwował sobie miejsce na statku, który miał podnieść jutro kotwicę i opuścić ten kraj, ze zdziwieniem i złością dostrzegł innego łatacza gnieźdzącego się pośród wiszących na sznurze butów. Wystarczy nieobecność jednego ranka, pomyślał ze złością, a konkurencja wciśka się jak szczury.

Ujrzał przed sobą plac, gdzie po raz pierwszy spotkał Ameena. Doyle uśmiechnął się szeroko, przypominając sobie tamten październikowy poranek i kłopoty, które zaczęły się, kiedy to klamra przy bucie beja Hassana oderwała się podczas audiencji u brytyjskiego gubernatora.

Ów kompromitujący przypadek położył natychmiast kres posłuchaniu, i Hassan wraz ze szwagrami, Ameenem i Hathi, opuścił cytadelę i ruszył konno w stronę swej łodzi zakotwiczonej w Boolak, lecz na skwerze w Mustee zdarzyło się kolejne nieszczęście: zwalisty żebrak zwany Eshvlisem, który taszczył ze sobą wielki, obramowany drewnem afisz informujący, iż jego właściciel jest głuchoniemy, podniósł się zbyt opieszale, by zejść z drogi mamelukom, wystający zaś z jego afisza gwóźdź zaczepił o tkaną ręcznie szatę Hassana i wydarł w niej sporą dziurę, odsłaniając udo rozwścieczonego beja.

Hassan ryknął jakieś bluźniercze przekleństwo, sięgnął do inkrustowanej kością słoniową rękojeści swej szabli, szybkim niczym błyskawica, płynnym ruchem dobył lśniącej stali o metrowej długości, po czym zamierzył się na żebraka, chcąc rozplatać mu tors na pół.

Lecz szybki jak mangusta Doyle rzucił się na ziemię, padając na dłonie i kolana, więc choć ostrze szabli przecięło żebraczy afisz, mignęło tylko kilka centymetrów nad jego głową, nie czyniąc mu krzywdy, a zanim zdumiony mameluk zdążył ponownie unieść broń, Doyle skoczył na niego, chwycił za rękojeść jednego ze sztyletów jeźdźca i wyszarpnął z pochwy, po czym odparował nim drugie, słabsze już cięcie szabli.

Wówczas do akcji włączył się z niedbałym pośpiechem Hathi, ścigając wodze konia i podnosząc na wysokość biodra wetkniętą w kaburę strzelbę; gdy Ameen rozwarł szeroko oczy, uświadamiając

sobie, co zamierza uczynić Hathi, i ruszył przed siebie z krzykiem, tamten pociągnął za spust.

Huk strzału odbił się echem na placu, broń zaś siłą odrzutu wysuwała się z kabury; zaprawiony w bojach koń Hathiego nie uskokzył, potrząsnął tylko łbem i poruszył gwałtownie wargami, czując w nozdrzach chmurę dymu. Doyle wykonał salto w tył i runął twarzą na bruk placu, a wilgotna, czerwona dziura na jego plecach szybko zniknęła, gdy tryskająca krew zalała materiał odzienia.

„Wy łajdacy! – zawołał wtedy Ameen. – On był żebrakiem”. Dał tym samym do zrozumienia, że żebrak nie jest godnym szabli przeciwnikiem i że wedle prawa muzułmańskiego jest on prawdziwym przedstawicielem Allaha, kimś, komu każdy wierny ma obowiązek dawać jałmużnę.

Ulica skręcała teraz w lewo. Doyle dostrzegał za ocienionym skrzydłem budynku, w odległości prawie dwóch kilometrów, minarety i strome kamienne mury cytadeli. Zdawało się, że majaczą, jakby zatrzymane w połowie drogi ku niebu, na szczycie urwistego wzgórza Mukattam. Choć powód, który przywiódł mameluków do fortecy, był jedynie natury towarzyskiej – mianowanie syna Muhammada Alego paszaliem – groźny charakter tej budowli sprawiał, że Doyle był zadowolony, iż on i jego towarzysze są tak dobrze uzbrojeni.

Ameen zapewnił go tego ranka, że masowe aresztowania, których się spodziewał i przed którymi zamierzał uciec, nie nastąpią podczas tego bankietu. „Odpreż się, Eshvlisie – zwrócił się do Doyle’a, zapinając rzemienie przy kufrze podróżnym i spoglądając przez okno na juczne wielbłądy, czekające na dole. – Ali nie jest szaleńcem. Choć zechce – i to wkrótce, jak mniemam – ukrócić nieuzasadnioną potęgę mameluków, nigdy nie odważyłby się aresztować wszystkich czterystu osiemdziesięciu bejów za jednym zamachem, i to wówczas, gdy są uzbrojeni. Sądzę, że rzeczywistym powodem tego bankietu jest chęć policzenia wrogów, upewnienia się, że wszyscy znajdują się w mieście, by którejs nocy, przed świtem, móc ich pod takim czy innym pozorem wyciągnąć pijanych i bezbronnych z łóżek. Co nie znaczy, że nie zasługujemy na takie właśnie traktowanie, o czym ty pierwszy, ze swoją bliźną, mógłbyś zaświadczyć, gdybyś nie był tak uprzejmy. Lecz ja wyruszam tego popołudnia do Syrii, ty zaś, gdy tylko bankiet dobiegnie końca, powrócisz do wcielenia Eshvlisa i opuścisz jutrzejszym rankiem Kair, a zatem obaj wydostaniemy się z sieci”.

Według Ameena nic im nie groziło... A Doyle zawdzięczał mu życie, gdyż to właśnie Ameen nakazał dźwignąć krwawiące ciało i zanieść do Moristana z Ka'aloon, by je opatrzone, a w dwa miesiące później ułatwił Doyle'owi start w zawodzie łatacza butów, żądając od Hassana, by dał mu sto sztuk złota za naprawę pękniętej klamry przy trzewikach. Ani razu nie wspomniano o rozdartej szacie, a Hassan uznał zapewne, że zrównoważyła ją rana na ciele samego Doyle'a.

Doyle zmarszczył czoło i zastanawiał się przez chwilę, dlaczego żadne z owych wydarzeń nie zostało nawet wspomniane w biografii Ashblessa pióra Bailey'a. W końcu stanowiły materiał, który ubarwiłby życie poety: krótka kariera żebraka, postrzelenie przez wodza mameleckiego, obecność na królewskim bankiecie w przebraniu. Uśmiechnął się na tę myśl, gdyż oczywiście nie chciałby opowiedzieć tego wszystkiego Baileyowi, ponieważ miał pewnego dnia sam przeczytać tę biografię. A czy odważyłbyś się, pytał samego siebie, zbliżyć się do tego placu, gdybyś wiedział, że któregoś dnia zostaniesz tam postrzelony? No cóż, przynajmniej wiem, że Ashbless naprawdę opuści jutro rano Egipt na pokładzie Fowlera zmierzającego do Anglii. I choć nigdy nie zabrałem się za dokładne badania dotyczące Kairu w 1811 roku, to nie będzie już wielu niespodzianek, których nie zdołam przekazać Baileyowi. Na przykład, nie zostanę już chyba schwytany przez Romanellogo, który, jak słyszałem, wykupił się w łaski Muhammada Alego jako jego osobisty lekarz. Nie sądzę, by zdołał mnie teraz rozpoznać, z tymi ufarbowanymi na czarno włosami, silną opalenizną i świeżymi bruzdami na mojej twarzy, będącymi śladem długiej rekonwalescencji bez środków znieczulających. Przynajmniej moja głowa wciąż ma dwoje uszu.

Na placu paradnym przed cytadelą do szeregów egipskich mameleków przyłączyli się bejowie z Bahraju, potem przez piętnaście minut Eshvlis pocił się pod nadzwyczaj kosztowną szatą, pozwalając koniowi Ameena stapać tuż za Hathim, który jechał z przodu. W tym czasie wszyscy bejowie w liczbie czterystu osiemdziesięciu, z wyjątkiem jego jednego stanowiący niegdyś ród niewolników, którzy doszli do absolutnej władzy nad krajem, by dopiero w ostatnich latach stracić nieco na znaczeniu, paradowali w barwnym, barbarzyńskim splendorze pod błękitnym niebem Egiptu.

Zwinna i silna klacz Ameena, Melboos, kroczyła dumnie przed siebie, wstrząsając chwilami łbem i zachowując się tak, że dosia-

dający jej sprawiał wrażenie doświadczonego jeźdźca. Była wspaniałym zwierzęciem, z którego posiadania Ameen był nadzwyczaj dumny. Uległ jednak namowom Doyle'a i pozostawił ją w mieście.

Doyle uświadomił sobie nagle, że będzie tęsknił za Ameenem, który jako jedyny w Egipcie wiedział, że Eshvlis nie jest wcale głuchoniemy. Pobierającemu nauki w Wiedniu, młodemu bejowi przyświecały inne cele niż te tradycyjnie mameluckie, związane jedynie z wojną i osiągnięciem chwały. Podczas wielu długich popołudni stał obok niszy łatacza i rozmawiał z nim po angielsku o historii, polityce, religii. Zawsze byli jednak na tyle ostrożni, by milknąć, gdy jakiś klient zbliżył się zanadto, ponieważ Ameen słyszał, że pasza wyznaczył nagrodę za jakąkolwiek informację o wielkim, mówiącym po angielsku zbiegu.

Teraz przyszła kolej na albańskich najemników paszy, którzy paradowali na koniach, uzbrojeni po zęby w szable, buzdycany i pistolety, a także strzelby dłuższe od nich samych. Wyglądali, przynajmniej w oczach Eshvlisa, dość komicznie w swoich plisowanych, białych spódniczkach i nadzwyczaj wysokich turbanach.

Albańczycy wjechali po kilku stopniach na wąską, zalaną słońcem ulicę wiodącą stromym zboczem do cytadeli, za nimi zaś podążały szeregi mameluków. Tymczasem na jej końcu z wolna rozwierała się brama.

Mamelucy, choć zniknęli już z oczu widzów, zachowali stałe tempo jazdy, Albańczycy jednak ruszyli ku otwartym wrotom szalonym galopem.

Doyle rozglądał się ciekawie po biegnącym pod górę, głębokim na siedem metrów wężozie, którym teraz podążali; był on niewątpliwie częścią umocnień fortyfikacyjnych cytadeli, gdyż w masywnych ścianach po obu jego stronach widać było tylko gdzieś tam solidne drzwi, a zamiast okien liczne pionowe szczeliny, na tyle szerokie, by dało się w nie wetknąć lufę broni.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej galopujący najemnicy albańscy dotarli do bramy Bab-el-Azab. Po chwili Doyle otworzył oczy ze zdumienia, widząc, że wrota poczynają się zamykać, gdy już ostatni jeździec znalazł się wewnątrz cytadeli. Odwrócił się na siodło i ujrzał, że odległy teraz wlot ulicy został zablokowany przez innych najemników. Nagle pierwszy szereg osunął się na kolana, a każdy z Albańczyków uniósł długą strzelbę, przyłożył kolbę do ramienia i wymierzył.

Gdy Doyle nabrał w płuca powietrza, by krzyknąć ostrzegawczo, zagrzmiał wystrzał armatni, który wzbiał pod błękitne niebo chmurę szarego dymu. W sekundę później ulica wybuchnęła ogłuszającym i ciągłym ogniem broni palnej, z przodu, z tyłu i z każdego otworu okiennego. Słychać było wszędzie świst i trzaski padającego gradu kul. Od ścian odrywały się kawałki kamienia, a pył i gęsty dym palił oczy i gardła, zasłaniając całkowicie wroga.

Szeregi mameluków rozstały się. Większość bejów pospadała w ciągu pierwszych sekund z koni, choć nawet ci, którzy zdołali dobrać broni, nie mogli nigdzie dostrzec wroga, z wyjątkiem zbitej gromadki Albańczyków u przeciwnego końca ulicy. Kilku mameluków, wśród których Doyle zauważył Hassana, próbowało szarżować na nich. Zostali jednak zmieceni przez nie kończący się strumień ołowiu, nim ich konie zdążyły przebyć odległość paru metrów.

Mimo że strzelanina trwała już od kilku sekund, a Doyle poczuł, że coś szarpnęło kilkakrotnie jego ubranie, nie był jeszcze trafiony. Także Melboos, sądząc po skoku, jakim pokonała piętrzący się przed nią stos trupów, gdy eksplodowała ściana tuż obok, nie była drasnięta. Krzyk Doyle'a: – Na Boga, przez ten mur, rumaku! – zginął w ogólnym tumulcie, lecz koń parł do przodu, wspinając się po zwalach ciał, które, wciąż chłostane kulami, drgały spazmatycznie. Doyle poczuł silne uderzenie jakiegoś rykoszetu nad lewym uchem, i gdy obrócił się gwałtownie na swym siodle, trafiły go, niemal jednocześnie, trzy kule: jedna drasnęła mu prawy biceps, druga wyrwała długą bruzdę w lewym udzie, a trzecia rozorała płytko brzuch, pomagając mu tym samym utrzymać się na koniu, gdyż zgiął się wpół i przywarł do karku klaczy; wtedy już Melboos wspinała się na najwyższy stos trupów, niegdyś czoło pochodu, by z jego szczytu skoczyć ku krawędzi ściany, która wciąż znajdowała się dwa i pół metra wyżej.

Doyle czuł katapultującą siłę skoku i przez załzawione od dymu oczy zobaczył majaczący coraz bliżej szczyt muru; w chwilę później patrzył już ponad nim w pozbawionym ciężenia punkcie kulminacyjnym skoku. Wiedział, że za moment grawitacja ściągnie ich z powrotem w piekło krzyżowego ognia broni palnej, lecz koń, zwinny niczym kot, dosięgnął przednimi kopytami krawędzi muru, potem postawił w tym samym miejscu tylne nogi, i w chwilę później spadali obydwój, niczym kamień, lecz już po drugiej stronie.

Koń runął łbem do przodu, a Doyle sunął bezradnie do tyłu, ujrawszy w mgnieniu oka fosę, która rozciągała się piętnaście me-

trów niżej, a potem już leciał w dół, pozbawiony jakiegokolwiek oparcia, mrugając z przerażenia na widok lustra wody pędzącej ku niemu z oszałamiającą prędkością.

Spadanie było torturą. Podczas tego lotu Doyle dwukrotnie opróżnił płuca, by zaczerpnąć zapas świeżego powietrza, jednakże siła upadku o wodę i uderzenie o kamienne dno fosy pozbawiły go całkowicie tchu. Odbił się i odzyskując władzę w nogach zaczął nimi energicznie poruszać, dzięki czemu popłynął w górę, przez osiem metrów wirujących bąbelków wody.

Wypląnął na powierzchnię, po czym machając słabo ramionami ruszył ku stromemu brzegowi, gdzie jakiś człowiek, któremu najwyraźniej przerwał siusianie do fosy, gapił się na niego przez chwilę, by w końcu poprawić odzienie i uciec.

– Cholerny brudas! – rzucił za nim Doyle urywanym głosem.

Gdy tylko łątach-uciekinię wygramolił drżące i zakrwawione ciało z brudnej fosy, ściągnął z siebie szaty Ameena i jego broń, po czym cisnął je – z wyjątkiem szabli, którą owinał rozplątanym turbanem, by się na niej wesprzeć – w różne strony, pewien, że uliczni żebracy porwą tę niespodziewaną zdobycz i uciekną. Znalazł w pobliżu pole skąpanej w słońcu ziemi, po czym, nagi z wyjątkiem przepaski na biodrach, tak długo tarzał się w kurzu, aż był w końcu suchy, choć niezbyt czysty. Zawinięta szabla mogłaby uchodzić, jak sądził, za łaskę odziedziczoną po jakimś zmarłym przodku.

– *Melboos!* – wykrzyknęło dwóch przekupniów, którzy przyglądali się całemu zajściu, i dopóki Doyle nie przypomniał sobie, że słowo to oznacza „odzianych świętością”, szaleńców, których doprowadziła do obłędu wiara w Allaha, pomyślał, że znają skądś imię konia, który wygrzebał się z fosy i stał się z miejsca obiektem chciwych spojrzeń ze strony kilku *ragharin*, egipskich Cyganów.

– Tak, złapcie ją! – wycharczał Doyle. – *Avo, chals!*

Choć dzień był upalny, trząsł się z zimna, przebiegając drogę i ruszając wąskim traktem. Po chwili stąpał po plamach światła i cienia, ponieważ nad jego głową rozpościerały się zawieszony między domami płótna. Usiadł w jakiejś niszy i ukrył twarz w dłoniach. Dopiero teraz uświadomił sobie, że cały czas, od chwili, gdy wydostał się z fosy, płacze. Podniósł głowę, starając się opanować.

Niczym zwielokrotnione obrazy, rzucone na wąską, burą ulicę rozciągającą się przed jego oczami, widział to, co rozgrywało się przez kilkadziesiąt sekund na Bab-el-Azab. Dopiero teraz zobaczył wszystko jakby po raz pierwszy; jego umysł przechował tę nie

dostrzeżoną wcześniej scenę: fontannę krwi, kurzu i strzępy ubrania eksplodujące z konia i jeźdźca, którzy poruszali się gwałtownie w chwili intensywnego ognia broni palnej, obaj martwi, lecz utrzymujący się w pozycji stojącej i ożywieni przez nie kończący się, padający ukośnie z obu stron deszcz kul... Uchwycony w mgnieniu oka obraz twarzy za lufą wystającą ze ściany, twarzy skupionej na właściwym wykonaniu trudnego zadania... Jakiś bej mamelukki, oślepiiony i umierający od kuli, która uderzyła go w jedną skroń, a wyszła drugą, stojący na bruku ulicy i siekący wściekle szablą kawałek muru przez kilka sekund, jakie upłynęły między śmiercią konia a jego własną...

Doyle załkał i przycisnął czoło do chropowatego kamienia nisz, prowokując kolejny okrzyk *Melboos!*, który wyrwał się z ust chłopca niosącego bukłak z wodą.

Doyle'owi dzwoniło w uszach, niewiele więc słyszał, ale zobaczył, jak chłopiec ucieka w podskokach z ulicy i przyciska się płasko do ściany. W chwilę później pojawiło się dwunastu albańskich najemników, rewidując każdą napotkaną osobę; wpatrywali się twarzym wzrokiem w fantastycznie brudnego, starego żebraka z okropnymi, pokrytymi skorupą błota ranami na ramieniu, udzie i brzuchu, łkającego i obejmującego w niszy kij. Dwaj najemnicy wybuchnęli śmiechem, jeden z nich rzucił nawet w nieszczęśnika monetą, ale żaden się nie zatrzymał.

Gdy zniknęli za rogiem, Doyle podniósł monetę, wstał i skinął na chłopca z wodą, który przyczłapał i pozwolił mu się napić z bukłaka. Woda, choć ciepła i cuchnąca, splukała jednak smak prochu, który przepęśniał mu usta, i pomogła na tyle przytłumić straszliwe wspomnienia, by mógł pomyśleć o czymś innym.

No cóż, Ameen, rozważał mgliście, miałeś rację w dwóch sprawach. Ali stanowczo pragnął ukrócić nadmierną potęgę mameluków i z pewnością nie zamierzał aresztować czterystu osiemdziesięciu bejów w pełnym uzbrojeniu, ale myliłeś się sądząc, że jest zatem rzeczą bezpieczną udać się na ten bankiet.

Wciąż trząsł się i pocił, ramię silnie krwawiło. Potrzebuję odzienia i pomocy medycznej, pomyślał. I może odrobiny rewanzu. W dole, nad Nilem, znajdowała się siedziba mameluków, letni dom beja Mustafy, gdzie jego synowie i żony spędzali właśnie leniwy dzień. Doyle ruszył w tamtym kierunku. Miał dla nich pewne wiadomości i propozycję.

Chociaż słońce zaszło właśnie za wzgórzami Mukattam, a nad wschodnim horyzontem jaśniał księżyc na tle ciemnoniebieskiego aksamitu nieba, niczym odcisk pokrytej popiołem monety, szczyty piramid wzdłuż doliny wciąż oświetlał czerwonozłoty blask słońca. Starą dzielnicę miasta opuszczał właśnie wóz o nieforemnych kształtach. Zawieszane na nim kolorowe lampy miały przez co najmniej godzinę grać rolę bardziej dekoracyjną niż praktyczną.

Barwne wstążki i dzwonki, którymi wóz był obficie przystrojony, stanowiły uderzający kontrast z twarzami sześciu podróżujących nim ludzi; na ich obliczach o zaciśniętych ustach widoczne były ślady znamionujące wyczerpanie, smutek i ponad wszystko wściekłość, zbyt głęboką, by mogła znaleźć ujście w słowach lub gestach. I pomimo tego wesołego przybrania, strażnik pałacowy o sokolim wzroku z pewnością zatrzymałby ten wóz, gdyż tylne koła, które były najstaranniej zakryte plecionymi girlandami, odciskały w ziemi zadziwiająco głębokie bruzdy, podczas gdy przednie niemal prześlizgiwały się po drodze, szeroki zaś dywan przymocowany do tylnej części wozu i ciągnący się za nim zdawał się coś zakrywać. Żaden strażnik nie miał jednak tego ujrzeć, gdyż sześć koni zaprzężonych do wozu skreśliło w prawo, wjeżdżając na stary trakt do Karafeh, nekropolii, zamiast w lewo, w nową drogę wiodącą do cytadeli.

– *Yeminak* – powiedział mężczyzna, który siedział na przykrytym dywanikiem ładunku, pod szerokim parasolem, a wówczas człowiek dzierżący lejce skierował posłusznie konie na ścieżkę biegnącą pod ostrym kątem w prawo.

– Zwolnij teraz. Poznam to, kiedy zobaczę. – Przyglądał się uważnie grobowcom i nagrobkom rozrzuconym po niskich wzgórzach. – Tam – powiedział w końcu. – Ta budowla z kopułą. Tak jak ci mówiłem, Tewfiku, wygląda na to, że nie ma tam żadnych straży. Z pewnością spodziewają się odwetu ze strony pozostałych przy życiu mameluków, ale nie tutaj.

– Ja bardziej chcę zatakować cytadela, profesorze – warknął woźnica. – Kazać powiesić głowa Alego w publiczna toaleta, gdyby ja mógł. Ale jego rozkazy wychodzić od tego magik, co ja znam. Jego trzeba zabić.

– Mam nadzieję, że masz rację – odparł Doyle. – Mam nadzieję, że i Romanelli tam jest.

– Tak – Tewfik wpatrywał się w budynek, który przycupnął w mroku sto metrów dalej. – Tutaj?

– Znasz się na tych sprawach lepiej ode mnie. Powiedziałbym, że musimy podjechać tak blisko, by móc wtargnąć do środka, jak tylko wysadzimy drzwi.

– Ale nie tak blisko, żeby oni widzieć nas, jak my się szykować – skinął stanowczo głową Tewfik. – Tutaj.

Doyle wzruszył ramionami i zsunął się bardzo ostrożnie z wozu, gdyż jedno ramię miał na temblaku. Zerknął ku łagodnemu wzniesieniu, w stronę budynku, i zdrętwiał, ponieważ ujrzał obserwującego ich strażnika przy drzwiach, prawdopodobnie tego samego, którego uderzył przed czterema miesiącami pałąk.

– Prędszej – ponaglił cicho. – Widzą nas.

– Nie ma szkody dla nas z taką odległością – stwierdził Tewfik, wyciągając ze skrytki w wozie długi drąg. Szybko pościągał z niego wstążki, a potem zerwał z jego końca wielką maskę przedstawiającą twarz dziecka. Drąg kończył się teraz grubym, drewnianym dyskiem.

– Ona już załadowana od razu, trzeba tylko wepchnąć kula do końca, jeszcze raz.

Podniósł koniec dywanu kryjącego ładunek na wozie i odsłonił ziejącą pustką lufę armaty, po czym wepchnął w nią, do samego końca, drąg z dyskiem i uderzył dwukrotnie, z dość dużą siłą, kulę znajdującą się na samym końcu.

– Dobra.

Wyciągnął drąg trzema krótkimi szarpnięciami i rzucił na ziemię, po czym obrócił się do czterech pozostałych ludzi i szecznął coś po arabsku.

Jeden z nich odpalił cygaro od lampy wiszącej z tyłu wozu, po czym oddalił się, wydmuchując potężne chmury dymu. Inny z młodych mameluków ściągnął dywan z tylnej części armaty i zaczął energicznie kręcić korbą z kołem zapadkowym, unosząc powoli tył armaty, i opuszczając lufę. Doyle spojrział ku wzniesieniu, by sprawdzić, co o tym wszystkim sądzi strażnik, i ujrzał, jak mężczyzna wbiega pospiesznie do budynku i zamyka drzwi.

– Prędszej – powtórzył Doyle.

Mężczyzna przy zamku armaty skończył kręcić korbą i zawołał coś do mężczyzny z cygarem.

– Prędszej, do diabła! – wyszeptał chrapliwie Doyle, gdyż ziemia zaczęła drżeć, jakby jakieś ogromne, podziemne organy wydały zbyt niski, by można było go usłyszeć, dźwięk, a w chłodnym, wieczornym powietrzu pojawiła się nagle ostra woń odpadków. Schylił się i przystąpił pospiesznie do odpinania kłamy przy jednym z pożyczonych butów.

Mężczyzna z cygarem ruszył biegiem w stronę armaty, ale przewrócił się na ziemię, kiedy z kopuły wystrzelił promień zielonego światła i uderzył go. Jednocześnie lufa przystrojonego dywanem działa zaczęła, co było niewiarygodne, wyginać się z głośnym jękiem ku górze.

Doyle ściągnął but, odrzucił go i dobył sztyletu, po czym, gdy promień zmierzał ku armacie po stawiającej opór ziemi, wepchnął sobie ostrze w nagą stopę, a potem oparł się na niej mocno.

Wtedy wszyscy znaleźli się w obrębie zielonego promieniowania, dławiąc się odorem wilgotnej, gnijącej roślinności, i po chwili Tewfik i trzej pozostali mamelukowie padli bezwładnie na ziemię.

Pokonując opór, Doyle wyciągnął rękę i przycisnął dłoń do rozpalonej lufy armatniej, która, z jękiem jeszcze głośniejszym i żarem stali jeszcze straszliwszym, poczęła zginać się w dół. Stawiając powoli i z wysiłkiem kroki, ruszył niepewnie ku tylnej części armaty, przesuając pokryte bąblami palce po lufie jednocześnie pamiętając, by powłóczyć krwawiącą stopą po ziemi i zachować koneksję, jak sobie mgliście powtarzał. Kiedy wreszcie tam dotarł, odczepił z haka przy wozie jedną z lamp i roztrzaskał ją o napełniony prochem otwór.

Papierowa lampa zajaśniała, zapaliła się i zgasła, a po chwili tłący się kawałek knota spadł na otwór z prochem.

W chwilę później Doyle wpatrywał się w ciemniejące niebo, zastanawiając się, dlaczego leży płasko na plecach i dlaczego tak go piecze twarz, pragnąc jednocześnie, by ktoś podniósł w końcu słuchawki tych co najmniej dwudziestu telefonów, które zaczęły naraz dzwonić. Przekręcił głowę i spojrzał na to, co jeszcze przed paroma sekundami było żywym Tewfikiem. Drżący stos odzienia wciąż coś skrywał, lecz większość przypominających małe kraby, lśniących kawałków, na które rozpadło się ciało mameluka, wyswobodziła się z ubrania i rozpełzła na wszystkie strony. Doyle cofnął się przerażony, po czym wstał z wysiłkiem, łkając i wspierając się na rękojeści szabli, i rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem.

Z lufy działa, które nie było już ukryte pośród szczątków przewoźniczego wozu, wciąż unosiła się smuga dymu, sylwetka budowli zaś na szczycie wzniesienia uległa zmianie: szeroka płaszczyzna kopuły była dziurawa niczym stłuczona skorupa ogromnego jaja. Doyle'owi zdawało się, że słyszy jakiś krzyk, ale przy swym nadwyrężonym słuchu nie był tego pewien.

Dobył szabli i pobiegł niezgrabnie ku drzwiom budowli. Gdy się otworzyły, znajdował się zaledwie dziesięć metrów od celu, zbliżając

się doń coraz szybciej. Zderzył się z człowiekiem stojącym w wejściu, a będąc w stanie oszołomienia nie zdziwił się nawet, gdy głowa i ramię tamtego oderwały się równiutko; uderzyły głucho o podłogę, a wtedy uświadomił sobie, że są z wosku.

Wewnątrz znajdowało się jeszcze trzech woskowych ludzi, z których dwaj zatoczyli się do tyłu, gdy wpadł na nich okaleczony towarzysz. Doyle odparował cięcie miecza wymierzone przez trzeciego i zrewanżował się ciosem rękojeści w woskową twarz, odrywając przeciwnikowi nos i wgniatając policzek; ujrzał też, że na szyi tej istoty pojawiła się szrama, uderzył więc jeszcze raz, z większą siłą, a wówczas głowa także tego osobnika odpadła i potoczyła się po podłodze.

Dwaj, którzy byli jeszcze nietknięci, cofnęli się i unieśli broń, podczas gdy ich towarzysze klęczeli na podłodze, macając wkoło dłońmi w poszukiwaniu swych głów. Z góry dobiegło echo pełnych paniki krzyków; słowa jednak nie przypominały arabskiego, a wtedy dwaj kompletni jeszcze ludzie z wosku odwrócili się i ruszyli ociężale w stronę schodów.

Doyle podążył za nimi. Ktoś inny krzyczał teraz na górze, z pewnością po arabsku, a w jego głosie było więcej bólu i bezradności niż strachu. Doyle wychwycił słowa oznaczające „nie wiem”, „nietykalny” i „magiczny”.

U podnóża schodów zrzucił drugi but ze stopy i ruszył cicho na górę, trzymając przed sobą szablę Ameena. Słyszał sapanie i postękiwanie świadczące o ogromnym wysiłku, a także szuranie po żwirowanej posadzce. Nagle zaświtało mu z niejakim opóźnieniem, co jest przyczyną tego całego pośpiechu.

Zmrużył oczy, a szeroki uśmiech pogłębił bruzdy na jego policzkach. Tak, pomyślał, zobaczymy, czy uda nam się tego dokonać i odebrać palmę pierwszeństwa Neilowi Armstrongowi.

Stanął na szczycie schodów i wyjrzał zza węgła, by spojrzeć w głąb krótkiego korytarza, ku balkonowi wychodzącemu na wewnątrz sferycznej komnaty. Było tak, jak się spodziewał: jedynym światłem przedostającym się do wnętrza kuli była szarość zmierzchu, która sączyła się przez ogromną dziurę w kopule. Spocony strażnik stał po prawej stronie balkonu, mocując pospiesznie linę do jednego ze słupków balustrady. Lewa strona balkonu została oderwana przez wystrzał armatni i wisiała swobodnie; runęła też lewa strona korytarza i Doyle zobaczył dwóch woskowych ludzi, którzy kucali na dachu parteru, wychylając się poza kolistą krawędź otworu, by zajrzeć w głąb

komnaty. Podczas gdy Doyle ich obserwował, wychylili się poza zięjący otwór, gdzie niegdyś znajdowała się wschodnia ćwiartka kopuły, i zaczęli spychać w dół coś, co najwyraźniej chciało wejść na górę.

Przymocowawszy koniec liny, strażnik zaczął wciągać z dołu, pokonując znaczny opór, jej zapas – po czym przywiązywał to, co zdołał wciągnąć. Najwyraźniej starał się linę skrócić.

Doyle zaczekał, aż mężczyzna wciągnie kolejny metr sznura, po czym, nim ten zdążył zasupłać węzeł, podskoczył do niego, kucnął, wsunął zdrową rękę za jego pas i podniósł go, a następnie przerzucił przez poręcz balkonu. Przez chwilę zaskoczony strażnik przytrzymał się liny, gdy jednak rozległ się zardzewiały jęk metalowych kółek, puścił się i runął na zawałoną gruzem posadzkę komnaty. Lina napięła się. Gdzieś z bliska dobiegł zduszony krzyk, a wtedy po wkleśłej ścianie zjechało łoże na kołach, uderzając o górę gruzu na dnie kulistej komnaty.

Doyle odwrócił się na pięcie i wybiegł przez dziurę w ścianie korytarza na dach. Zignorował chwilowo istotę, która kołysała się na końcu niemal poziomej liny, po czym kopniakiem i pchnięciem szabli pozbawił woskowych ludzi równowagi, strącając obu na sam dół okrągłej komnaty.

Niechętny spotkaniu twarzą w twarz z człowiekiem, którego, jak wiedział, będzie musiał zabić, spoglądał przez chwilę w dół komnaty. Strażnik zdążył już usiąść i teraz kołysał się w przód i w tył, trzymając się za nogę, która była najwyraźniej złamana, a dwaj woskowi ludzie, z których jeden, jak było do przewidzenia, stracił głowę, pełzali bez celu po rumowisku. Doyle przypuszczał, że gdzieś tam na dole są jakieś drzwi, ale przy odrobinie szczęścia powinny być zagrzebane pod roztrzaskanymi kamieniami, które niegdyś stanowiły wschodnią ćwiartkę kopuły.

– Ach, Doyle! – odezwał się z tyłu jakiś głos. Niedbały z pozoru ton musiał drogo kosztować jego właściciela. – Ty i ja mamy mnóstwo do przedyskutowania!

Mistrz kołysał się tam i z powrotem, jakieś siedem metrów dalej, utrzymywany przez linę przeciągniętą pod jego pachami, ale wisiał poziomo, lina zaś przebiegała z grubsza równoległe do sufitu. Doyle widział za nim księżyc, wciąż nisko stojący na wschodnim horyzoncie. Mistrz musiał wygiąć głowę do tyłu, by spojrzeć „w górę”, na Doyle’a. Wydawało się, jakby był latawcem w kształcie człowieka, którego unosi w górze silny wiatr. Albo jakby wraz z Doyle’em patrzyli na siebie przez lustro nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

– Nie mamy o czym dyskutować – stwierdził zimno Doyle. Wzniósł miecz Ameena nad głową i wycelował w punkt na napiętej linie.

– Mogę sprowadzić ci Rebeke – odparł Mistrz, cicho, lecz wyraźnie.

Doyle odetchnął gwałtownie, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Cofnął się o krok i opuścił miecz.

– C... co powiedziałaś?

Choć pozycja, w jakiej się znajdował, musiała być dla niego bolesna, Mistrz ukazał w uśmiechu zęby, obracając się powoli na linie.

– Mogę ocalić Rebeke – zapobiec jej śmierci. Dzięki szczelinom czasu, których otwarcie spowodowałem, a które odkrył Darrow. Możesz w tym pomóc. Nie dopuścimy do tego, by wsiedli na motocykl.

Miecz upadł z brzękiem na kamienne płyty, a Doyle osunął się na kolana. Jego twarz znajdowała się teraz na tym samym poziomie co oblicze Mistrza wiszącego siedem metrów dalej. Patrzył z bezsilną fascynacją w oczy starego człowieka, które zdawały się straszliwie błyszczeć intensywną czernią.

– Skąd... wiesz... o Rebecie? – spytał chrapliwie.

– Czyż nie pamiętasz tego ka, którego z ciebie wyodrębniliśmy, synu? Krew, która spadła do kadzi? Stworzyliśmy z niej twego sobotóra. Niewiele z niego wydobyliśmy logicznych, spójnych informacji; wydaje się być szalony, co może oznaczać, choć nie musi, iż obłęd jest twym przeznaczeniem, lecz zdołaliśmy dowiedzieć się, stopniowo, kawałek po kawałeczku, bardzo dużo o tobie.

– To błąd – powiedział ostrożnie Doyle. – Nie możesz zmienić historii. Widziałem to, co jest prawdą. A Rebece... zginęła.

– Jej ka zginęła. To nie prawdziwa Rebece spadła z twojego motocykla. Udamy się do przyszłości, zdobędziemy odrobinę jej krwi i stworzymy ka, a potem zamienimy je w jakimś momencie i pozwolimy ka umrzeć tak, jak to pamiętasz, a wówczas prawdziwa Rebece może wrócić tu z tobą, no i – Mistrz znów się uśmiechnął – zmienić imię na Elżbieta Jacqueline Tichy.

Ashbless powoli i z namysłem potrząsnął głową. Ja naprawdę zamierzam to zrobić, pomyślał. Wierzę, że go ściągnę stamtąd i ocale. Mój Boże, a ja sądziłem, że chce mi zaoferować wyłącznie pieniądze.

– Lecz Elżbieta Tichy jest już gdzieś.

– Umrze, a wtedy zastąpi ją Rebece.

– Ach tak.

Doyle chwycił linę i pomyślał: Wybacz, Tewfiku. Wybacz, Byronie. Wybacz, panno Tichy. Wybacz, Ashbless, ale wygląda na to, że

spędzisz resztę życia jako niewolnik tej istoty. I wybaczone, Rebeko – Bóg wie, że nie ma to nic wspólnego z tym, co ty byś wybrała.

Ashbless, bez porównania łatwiej niż strażnik, podciągnął jakiś metr liny. Starając się zapleść jedną dłonią węzeł, zerknął jeszcze raz na twarz Mistrza i zobaczył, że widniejący na niej uśmiech jest nie tylko triumfalny, pogardliwy i zarozumiały, ale także imbecylny.

Ten przelotny obraz głupoty na obliczu wszechwiedzącego Mistrza był jak strumień zimnej wody chluśnięty na rozpalone gorączką czoło. Jezu, pomyślał Doyle, naprawdę zamierzałem odzyskać Rebekę za cenę śmierci tej dziewczyny Tichy, której nawet nie poznałem? Otóż nie, zdecydował, jakby toczył ze sobą dialog. Puścił linę, która znów napięła się z dźwiękiem struny, szarpiąc boleśnie ramionami Mistrza.

– Ocalisz życie Rebeki, Doyle – zaskrzeczał skrzywiony Mistrz. – I swoją normalność, bo oszalejesz, wiesz o tym, a domy dla obłąkanych nie należą tu do zbyt przyjemnych miejsc, pamiętaj.

Ashbless odwrócił się, chwycił szablę i wydając również okrzyk zadał znad głowy potężne cięcie, jakby rąbał drewno; cięcie, które nie tylko przerwało napiętą linę, ale roztrzaskało ostrze broni i kamienną płytę dachu.

Wciąż krzycząc, Mistrz oddalał się szybko, jakby leżał na skrzyni niewidzialnej ciężarówce, której kierowca zamierzał pobić rekord szybkości. Potem znalazł się poza krawędzią dachu i nabierał rozpędu, sunąc siedem metrów nad ziemią. Jego sylwetka rysowała się na tle księżyca, więc choć pogrążył się w coraz głębszym mroku, Ashbless widział go wyraźnie.

– Miłego pobytu w cuchnącym domu dla obłąkanych, Doyle – zagrzemiał z dołu jakiś głos. – Zjedzenie ekskrementów i akty sodomii ze strony strażników, oto co cię tam czeka, chłopcze! To prawda, Romanelli zrobił wypadek w przyszłość i zobaczył to na własne oczy! I posłuchaj, myśmy już uratowali Rebekę, Romanelli ją ma, ale ponieważ nie jest już przedmiotem wymiany, powiem ci, czego może oczekiwać...

Słyszając dalej te brednie, Ashbless uświadomił sobie, że to Mistrz przemawia przez jednego z woskowych ludzi, który wciąż miał głowę. Sam Mistrz zaś był jedynie plamką na tarczy księżyca, malejącą coraz bardziej. Po minucie czy dwóch głos dochodzący z dołu, który wciąż rozwodził się nad obrzydliwościami, czekającymi Rebekę, i nad tym, jak bardzo je w końcu polubi, nagle zadławił się i zamilkł. Albo woskowa kukła się popsowała, albo Mistrz znalazł się poza zasięgiem głosu.

Ashbless przedostał się przez dziurę w ścianie i zszedł chwiejnie po schodach. Kiedy znalazł się w dolnym holu zobaczył, że ktoś wynurza się z ciemnych drzwi po prawej stronie, lecz, słysząc kroki Ashblessa, cofa się z powrotem w mrok; ale Ashbless, mijając pokój, nawet do niego nie zająztał.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzył się wkoło. Konie spotkał ten sam los dezintegracji, co synów Mustafy, więc Ashbless wyruszył boso w dziewięciokilometrową drogę do portu Boolak. Wiedział, że jego statek nie wypłynie aż do świtu, mógł więc iść bardzo wolno, zatrzymując się co parę kroków, by zerkać z niepokojem na wschodzący księżyc w pełni.

W kilka minut później, kiedy już Ashbless zniknął w mroku, zza drzwi wyjrzała brodata, brudna twarz o dzikich oczach, i zamruwała, patrząc na ciemniejszą, cmentarną równinę.

– Widzisz, co zrobiłeś, Darrow? – mruzczał mężczyzna. – Absolutnie bezpieczne, powiedziałeś! Do diabła, Treff też mógł jechać z nami. Nawet on nie popsułby tego jeszcze bardziej. Muszę wrócić nad rzekę i przekonać się, czy zdołam dopłynąć do miejsca, gdzie wszystko było jeszcze w porządku.

I ka Ashblessa wyszedł na palcach w wieczorny chłód, po czym przystanął, rozglądając się niepewnie wokół, gdyż nie mógł sobie przypomnieć, gdzie dokładnie jest rzeka ani jak się nazywa, choć wiedział, że ma liczne odnogi, które oglądał na własne oczy. Potem sobie przypomniał, że można znaleźć ją wszędzie, obrał więc kierunek marszu na chybił trafił i ruszył przed siebie z niespodziewanym, lecz świadczącym o pewności siebie uśmiechem na twarzy.

Rozdział 14

*Siostry, tkajcie pajęczynę śmierci;
Siostry, dość już, praca wykonana.*

Thomas Gray

I znowu próbował znaleźć wyjście z labiryntu uliczek wypełnionych mgłą. I choć Darrow nigdy nie mógł przypomnieć sobie we śnie swego nowego imienia, przebrnął po omacku kilka kilometrów krętych dróg, prowadzących do punktu wyjścia, czy po prostu ślepych uliczek. Nie dotarł jednak jeszcze do traktu tak szerokiego, by móc przejechać po nim wózkiem, nie mówiąc już o rozległej, pełnej ruchu Leadenhall Street. W końcu zatrzymał się i usłyszał, jak zwykle w tym momencie snu, powolne, nieregularne stukanie, dochodzące gdzieś z gęstej mgły nad jego głową, a w sekundę czy dwie później szuranie stóp w pobliżu. „Halo – powiedział lekliwie; po chwili, bardziej pewnie: – Halo tam! Może mógłby mi pan wskazać drogę?”

Kroki zaszurały na mokrym od wilgoci bruku jeszcze bliżej, a ciemny kształt wyłaniający się z mgły przybrał postać obdartego człowieka.

Jak zwykle, Darrow cofnął się w paraliżującym strachu, gdy uświadomił sobie, że to Brendan Doyle. „Jezu, Doyle – krzyknął – przepraszam, nie zbliżaj się, błagam, o Boże...” – Miał ochotę uciec z powrotem uliczką, ale nie był w stanie poruszyć nogami.

Doyle uśmiechnął się i pokazał na coś w górze, coś kryjącego się we mgle.

Darrow podniósł bezradnie wzrok i krzyknął z całej siły tak głośno, że się obudził.

Tkwił nieruchomo na łóżku, dopóki nie rozpoznał z wielką ulgą mebli w ciemnym pokoju i nie uświadomił sobie, że leży we własnej

pościeli. I znów był to tylko sen. Wyciągnął gwałtownie dłoń, chwycił stojącą na nocnym stoliku karafkę brandy i przekręcił ją do góry nogami. Kiedy z szyjki wyskoczył szklany korek, znowu ustawił ją w pozycji pionowej i przytknął do ust.

Drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju otworzyły się gwałtownie. Claire zbliżyła się pospiesznie do łóżka Dundee'go, marszcząc przysłoniętą rozpuszczonymi włosami, zaspaną twarz.

– Co się dzieje, Jacob?

– Skurcz mięśni... – przełknął – ... w karku.

Odstawił z brzękiem karafkę.

– Ty i te twoje skurcze mięśni! – stwierdziła i usiadła na łóżku. – Jestem twoją żoną, Jacob, nie musisz mnie okłamywać. Wiem, że śnił ci się ten koszmar. Zawsze krzyczysz: „Wybacz mi, Doyle!”, budząc się gwałtownie. Śmiało, opowiedz mi o tym, kim jest Doyle? Czy miał coś wspólnego ze zdobyciem przez ciebie majątku?

Dundee zaczerpnął powietrza, potem odetchnął.

– To tylko skurcz mięśni, Claire. Przykro mi, że cię obudziłem. Zacisnęła wargi.

– Czy już ci przeszło?

Dundee wymacał szklany korek i zatkał karafkę.

– Tak. Możesz wracać do łóżka.

Nachyliła się i pocałowała go lekko.

– Może zostanę tu z tobą przez chwilę.

– Nie sądzę... – zaczął pospiesznie, ale przerwało mu pukanie do drzwi od strony holu.

– Nic panu nie jest, sir? – odezwał się przytłumiony głos.

– Nie, Joe, wszystko w porządku! – odrzyknął Doyle. – Miałem kłopoty z zaśnięciem.

– Mógłbym panu przynieść filiżankę kawy z rumem, gdyby pan zechciał, sir.

– Nie, dziękuję, Joe, ja... – Dundee zawahał się, zerknął na żonę, po czym dokończył: – Dziękuję, Joe, niech będzie, to chyba dobry pomysł.

Kroki poczęły się oddalać, Claire zaś wstała.

Wiedząc, że i tak już nie skorzysta z jego propozycji, powiedział:

– Sądziłem, że chcesz tu posiedzieć trochę.

Usta Claire tworzyły prostą, wąską linię.

– Wiesz, jakie żywię wobec Joego uczucia.

Udała się wprost do swego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Dundee wstał, zaczesał włosy do tyłu i zbliżył się do okna. Od-sunął zasłonę i spojrzął na biegnącą szerokim łukiem St.James Street

i jednolicie eleganckie frontony domów skąpane w bursztynowym świetle lamp ulicznych. Na wschodzie niebo nie było już tak intensywnie czarne; wkrótce miał się zacząć świt pogodnej marcowej niedzieli.

Tak, moja droga, pomyślał ponuro, wiem, jakie żywisz wobec Joego uczucia. Lecz nie mogę ci wyjaśnić, dlaczego muszę dbać o niego i trzymać go przy sobie. Pragnę jednak, jak diabli, by znalazł sobie nowe ciało, i bym mógł powiedzieć ci, że go wyrzuciłem i zatrudniłem tego nowego faceta, ale on lubi ciało Maturó, a ja nie śmiem zmuszać go do niczego. W końcu będzie moim współnikiem długo, bardzo długo po tym, jak już umrzesz ze starości, moja droga... jak już wykorzystam do cna moich synów, a potem wnuków, wreszcie prawnuków, bogacąc się i kupując coraz więcej podczas kolejnych pobytów w ciałach moich potomków, aż w końcu, nim znów wybije 1983, stanę się nieoficjalnym właścicielem wszystkich większych korporacji na świecie. Posiędę całe miasta – całe kraje. A gdy minie 1983, kiedy stary J.Cochran Darrow zniknie, będę mógł się ujawnić, wyjść z za zasłony zależności, wspólnych interesów, figurantów i podstawionych ludzi, by rządzić, bez cienia przesady, całym cholernym światem. Jeśli zdołam utrzymać Joego w dobrym nastroju. Widzisz więc, moja biedna małżonko od dwóch miesięcy, podczas których wciąż nie byłem w stanie skonsumować małżeństwa i zabrać się do pracy nad drugim pokoleniem Dundeech – ty jesteś do zastąpienia. Joe zaś nie jest.

Najbogatszy człowiek w Londynie westchnął, zasłonił okno i usiadł na łóżku, czekając na swoją kawę z rumem.

Przebywający w spiżarni kamerdyner Joe wspiął się na blat szafki i zanurzył palce w miseczkę z zielonoszarym proszkiem. Choć od dziewięciu lat, od chwili, gdy przestał uprawiać magię wyższego rzędu, dotyk ziemi nie sprawiał mu już bólu, to jednak myślało mu się lepiej, gdy znajdował się na nieco podwyższonej pozycji.

Sporo się nauczył od swojego młodego, nerwowego pana, pomyślał. Nauczył się, że mieć dużo pieniędzy to lepsze niż ich nie mieć, i że gdy się już je ma, same się rozmnażają, niczym ogień. Ma ich mnóstwo. Ma też naprawdę piękną, młodą żonę, która równie dobrze mogłaby być jego córką, i która nie znosi spojrzenia, jakim obdarza ją stary Joe... Choć wydaje mi się, że ktoś powinien na nią

spojrzeć, owszem, więcej niż spojrzeć. Zmieni się w ocet, jeśli się tej beczki nie odszpuntuje. Tak, młody panie Dundee, myślał Joe, wciąż byłbyś starym człowiekiem u progu śmierci, gdyby nie ja, a co za to dostaje? Zatrudnienie w charakterze szefa służby domowej. Nie jest to zbyt ucziwe, jak się w tej chwili wydaje. Trudno mówić o stanie równowagi. Ale tu, w tej miseczkce, kryje się rozwiązanie wszystkich problemów. Mąż przystojnej, młodej Claire stanie się o wiele bardziej czuły, biedny zaś, stary Joe popełni samobójstwo. Wszyscy będą zadowoleni. Z wyjątkiem, oczywiście, osoby, która znajdzie się w ciele Joego, gdy runie ono na ziemię.

Sięgnął na półkę, zdjął z niej słoik ze zmielonym cynamonem i wysypał sporą ilość do miseczki z proszkiem. Odstawił słoik i wymieszał miksturę palcami, po czym przesywał wszystko do dużego kubka i dodał znaczną porcję rumu. Zeskoczył na podłogę, wziął przygotowany wcześniej dzbanek z kawą i napełnił kubek parującym, czarnym wywarem.

Idąc holem, a potem schodami na górę, mieszał napój łyżeczką. Kiedy zapukał cicho do drzwi Dundeego, jego pan powiedział, by wszedł i postawił kawę na stoliku. Joe uczynił to, po czym cofnął się z szacunkiem.

Dundee wydawał się czymś zatroskany, a jego gładkie jeszcze i wolne od bruzd czoło marszczyło się nieznacznie.

– Czy zauważyłeś kiedykolwiek, Joe – spytał, podnosząc machinalnie kubek do ust – że osiągnięcie czegoś wymaga odrobinę więcej wysiłku niż rzecz jest naprawdę warta?

Joe zastanawiał się przez chwilę.

– Lepsze to niż zadanie sobie mnóstwa trudu bez osiągnięcia czegośkolwiek.

Dundee sączył kawę. Zdawało się, że nie słyszał Joego.

– To wszystko jest takie nużące i męczące. Z każdym działaniem powiązane jest jakieś odpowiednie ogłupianie. Nie, to byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby to ogłupianie było współmierne do działania, ale ono jest zazwyczaj znacznie większe. Co dodałaś do tej kawy?

– Cynamon. Jeśli panu nie smakuje, to mogę przygotować świeżą kawę, bez niego.

– Nie, jest dobra.

Dundee pomieszał napój łyżeczką i znów łyknął.

Joe czekał przez chwilę, lecz Dundee, jak się zdawało, nie miał dla niego żadnych poleceń, więc służący wyszedł z pokoju i zamknął cicho drzwi.

– Hej, Snapp? To ty?

Jacky rozejrzała się. Niski, przysadzisty mężczyzna o ciemnych włosach, który stał po drugiej stronie ulicy, podbiegł do niej lekkim krokiem.

– Kto mnie woła? – spytała Jacky bez zainteresowania.

– Humphrey Bogart, pamiętasz? Adalbert Chinnie, Doyle. – Mężczyzna uśmiechnął się podniecony. – Krążę po tej ulicy od godziny i cię szukam.

– Po co?

– Moje ciało, moje prawdziwe ciało – znalazłem je! Ten, który w nim jest, zapuścił sobie niewielkie wąsy, ubiera się i chodzi też inaczej, ale to ja!

Jacky westchnęła.

– To już nie ma znaczenia, Humphrey. Człowiek kradnący ciała został złapany i zabity trzy miesiące temu. Więc jeśli nawet ta osoba, którą znalazłeś, jest naprawdę w twoim dawnym ciele – co jest cholernie mało prawdopodobne, gdyż Joe nigdy by nie dopuścił do tego, by ocalić dwa razy z rzędu wyrzuconego z ciała osobnika – to i tak nie ma możliwości, byś się z nią zamienił. Nie ma już nikogo, kto umiałby dokonać tej sztuczki. – Potrząsnęła ze znużeniem głową. – Przykro mi. A teraz, jeśli wybaczysz...

Uśmiech zniknął z twarzy Chinniego.

– On nie żyje? Czy... czy ty go zabiłeś? Do diabła, obiecałeś mi...

– Nie, nie ja go zabiłem. Zrobił to tłum w pubie na East Endzie. Słyszałem o tym następnego dnia.

Ruszyła przed siebie.

– Zaczekaj chwilę – powiedział rozgorączkowany Chinnie. – Słyszałeś o tym, jak sam twierdzisz. Czy wielu ludzi o tym słyszało?

Jacky przystanąła i odparła, siłąc się na cierpliwość:

– Tak. Wszyscy, z wyjątkiem ciebie.

– Zgadza się! – zawołał Chinnie, znów się podniecając. – Gdybym to ja był tym człowiekiem, zrobiłbym to samo.

– Co masz na myśli?

– Posłuchaj, pamiętasz jak ci mówiłem, że wybieram się na poszukiwanie salonów depilacyjnych? Miejsc, gdzie strzygą ludziom włosy, żeby nie odrastały. Dowiedziałem się, że jest takie jedno przy Leadenhall Street, gdzie naprawdę można sobie zgolić owłosienie, robi się to jakoś za pomocą elektryczności. Zamknęli ten

salon w październiku, ale to przecież nic nie znaczy. Do diabła, przecież ten złodziej ciał mógł go kupić. W każdym razie, gdybym był nim i miał możliwość pozostania w jakimś ciele bez obawy, że przestoczę się w orangutana, tobym się ujawnił, dał złapać, i w ostatniej chwili, kiedy już zapadnia szubienicy otworzyłyby mi się pod stopami, przeskoczyłbym szybko w czyjeś ciało. Niech sobie myślą, że mnie zabili, i że można odwołać polowanie.

Jacky podeszła powoli do Chinniego.

– Słusznie – powiedziała cicho. – Wszystko się zgadza. Ale po co się tak przejmujesz twoim dawnym ciałem? I tak już je opuścił. Kiedy go wieszali był starym, chudym człowiekiem.

– Nie wiem. Może wprowadził do niego kogoś innego, żeby je przetrzymać, kiedy miał dać się zabić, a potem wszedł w nie z powrotem. Albo może... tak... może umieszcza za sówitą opłatą w młodych ciałach bogatych, lecz starych ludzi. Powodów może być mnóstwo. A wszystko dzięki temu sposobowi na pozbycie się owłosienia.

– A ta osoba w twoim dawnym ciele? – spytała Jacky. – Co ona robi? Jak jest sytuowana?

– Żyje na wysokiej stopie. Biura przy Jermyn Street, wielki dom na St.James ze służbą i w ogóle wszystkim.

Jacky przytakiwała, znów czując, jak narasta w niej podniecenie.

– To pasuje do twojej teorii. Rzeczywiście, jakiś stary, bogaty człowiek mógł zapłacić Joemu Psiej Twarzy, by uczynił go młodym i zdrowym, a może był to sam Joe. Przyjrzyjmy się temu domowi przy St.James.

– Ależ sir – bąkał zbity z tropu odźwierny – mówił pan, że powóz będzie potrzebny dopiero za godzinę. Yustin wyjechał nim właśnie na małą kolację. Powinien wrócić za...

– Yustin jest zwolniony – warknął chrapliwie Dundee. W świetle latarni jego twarz była ściągnięta i znużona, jak twarz starego człowieka. Ruszył zamaszystym krokiem po trotuarze, a obcasy jego eleganckich trzewików stukały o kamienne płyty.

– Sir! – zawołał za nim odźwierny. – Jest za późno, żeby wychodzić bez opieki! Gdyby zechciał pan poczekać kilka minut...

– Nic mi nie będzie – odparł Dundee, nie zatrzymując się ani nie odwracając. Sięgnął pod płaszcz i dotknął rękojeści jednego z dwu miniaturowych pistoletów, które wykonał na specjalne zamówienie rusznikarz z Haymarket, Joseph Egg. Choć nie były większe od

pękatej fajeczki, strzelały pociskami kalibru 0.35, a ładunek był detonowany tym, co Dundee nazywał spłonką i co naszkicował zafascynowanemu rusznikarzowi.

Pod wpływem nagłego impulsu skręcił w lewo, przecnicę wcześniej niż zwykle. Dotrę do połowy ulicy, myślał, a potem skręcę w wąską alejkę, która łączy się z St.James. Wyjdę akurat naprzeciwko mojego domu, a jeśli ten włóczęga wciąż się tam kręci, to wydobęde z niego prawdę; niech no tylko zacznie coś kombinować, a będzie pierwszym człowiekiem w historii, zastrzelonym z pistoletu kapiszowego.

Uliczne lampy wyglądały we mgle jak ruchome, żółte plamy, a na małych wąsikach Dundeego zaczęły zbierać się krople. Otarł je poirytowany. Łatwo się ostatnio denerwujesz, powiedział do siebie. Ten biedny nieszczęśnik, na którego nawrzeszczałeś w sali konferencyjnej, nie zechce już pewnie robić z tobą interesów, a patenty i fabryki, które ma na sprzedaż, będą cholernie przydatne za dziesięć czy dwadzieścia lat. Och, do diabła, poczekaj i kup je od jego spadkobierców.

Skręcił w alejkę i przystanął. No cóż, jak już się podkradasz, to rób to właściwie, pomyślał. Zdjął buty i trzymając je w lewym ręku podszedł cicho w głąb zacienionej alejki. Jego prawa dłoń spoczywała na pękatej rękojeści jednego z pistoletów Egga.

Nagle Dundee zamarł; usłyszał dochodzące gdzieś z przodu szepty.

Wyciągnął z małej kabury pistolet i ruszył na palcach przed siebie, wodząc we mgle czterocentymetrową lufą.

Dwa piętra wyżej ktoś otworzył z brzękiem okno i Dundee omal nie strzelił, a potem prawie upuścił broń, ponieważ nagle, z całą wyrazistością i bez najmniejszego ostrzeżenia, przypomniał sobie ostatnią część swego powracającego koszmaru sennego, część, której nigdy nie mógł sobie przypomnieć po przebudzeniu. Ujrzał z fotograficzną wręcz dokładnością to, co w jego śnie stukało nierytmicznie, gdzieś nad głową, we mgle, to, na co pokazywał ręką osobnik o sylwetce Doyle'a.

Było to ciało J.Cochrana Darrowa kołyszące się na linie obowiązanej dookoła szyi i uderzające obutymi stopami o ścianę, niczym diabelskie wahadło. Jego głowa, przekrzywiona w sposób typowy dla wisielców, spoglądała na niego z góry, obnażając w szerokim uśmiechu pożółkłe zęby.

Czuł drżenie dłoni opartej na broni i uświadamiał sobie lepki chłód powietrza, jakby zrzucił z ramion płaszcz. Widział przed sobą jasną

plamę żółtego światła, gdyż dotarł już prawie do trotuaru przy St. James, a lampa uliczna stała zaledwie kilka metrów od wylotu alejki.

Z przodu znów dobiegły szept i teraz widział dwie niewyraźne sylwetki stojące w alejce. Włożył ostrożnie buty

Podniósł broń i rzekł wyraźnie:

– Nie ruszajcie się, jeden i drugi.

Obie postaci wydały okrzyk zdumienia i uskoczyły na trotuar. Dundee wyszedł z alejki, by nie tracić ich z oczu, i wyciągnął drugi pistolet.

– Zróbcie jeszcze jeden taki gwałtowny ruch, a zabiję obu – powiedział spokojnie. – A teraz czekam, aż mi wyjaśnicie, i to szybko, co tu robicie i dlaczego...

Początkowo przyglądał się młodszemu z majaczących we mgle osobników, ale teraz zerknął na drugiego.

Z twarzy odpłynęła mu krew, a pojawił się na niej pot, zimny jak otaczająca go z wszystkich stron mgła, gdyż rozpoznał tego człowieka. Był to Brendan Doyle.

W tym samym momencie Chinnie uświadomił sobie, kim jest człowiek dzierżący w dłoni pistolety.

– Spotkaliśmy się w końcu, twarzą w twarz – wyszeptał przez zaciśnięte zęby. – Zamienimy się miejscami, ty i ja...

Zrobił krok w stronę Dundeego.

Huk strzału zabrzmiał w gęstej mgle płasko, jakby ktoś uderzył deską o ceglany mur. Dundee zaczął łkać, gdy Adalbert Chinnie cofnął się i usiadł na trotuarze.

– Boże, wybac mi, Doyle! – zajęczał. – Ale powinieneś pozostać martwy!

Drżąca dłoń z drugim pistoletem przesunęła się w stronę Jacky, lecz nim zdążyła wycelować, dziewczyna rzuciła się do przodu i uderzyła kantem dłoni, jak siekierą, w nadgarstek Dundeego. Gdy mały pistolet upadł z brzękiem na trotuar, schyliła się po niego błyskawicznie.

Dundee, wyrwany z objęć hysterii ostrym bólem w nadgarstku, runął na nią.

Jacky chwyciła broń w chwili, gdy ciężar napastnika rzucił ją na kolana, a jego prawe ramię, niczym hak, znalazło się pod jej brodą; drugą ręką próbował chwycić ją za nadgarstek, lecz niezbyt mocno; jej cios musiał ją nadwyreżyć. Z naprzeciwka dobiegł trzask rozbijanej szyby, lecz obaj dyszący przeciwnicy byli zbyt zaabsorbowani walką, by spojrzeć w tamtą stronę; Jacky próbo-

wała stanąć na nogach i odetchnąć przez ściśnięte gardło, Dundee zaś starał się o wiele skuteczniej nie dopuścić do tego. Jacky nie mogła podnieść broni, nie przyciskając jednocześnie twarzy do trotuaru. Puls w jej głowie przypominał mordercze uderzenia kilofa o zamrożoną ziemię.

– Przyrowadzasz mi martwych, chłopcze – szeptał chrapliwie Dundee. – Wyślę cię w podróż po tej rzece.

W ostatnim, desperackim geście Jacky zgięła nagle ramię i rzuciła się w lewo. Przez chwilę jej dłoń z pistoletem była swobodna, więc skierowała lufę w stronę Dundee, który odsunął się, próbował chwycić broń, nie zdołał, ale złapał ją za kołnierz koszuli i wymierzył z całej siły cios kolanem; uderzenie, które miało zgiąć jego przeciwnika w pół i ogłuszyć straszliwym bólem pchnęło tylko Jacky i nie powstrzymało jej przed przystawieniem tępej lufy pistoletu do grzbietu jego nosa i pociągnięciu za spust.

Ten strzał był jeszcze bardziej przytłumiony niż poprzedni. Dundee puścił kołnierz Jacky, głównie po to, by skupić całą uwagę na bulgotaniu, które dobywało mu się z gardła i które przypominało odgłos wydawany przez grzechotnika. W chwilę później był już bezwładny, patrząc na nią wybałuszonymi oczami, między którymi widniała kształtna, okrągła dziurka. Przy jej dolnej krwędzi zaczęła spływać wąską stróżką po twarzy krew.

– Słuchajcie, wszyscy zarozumiali łajdacy! – dobiegł z drugiej strony ulicy głośny krzyk.

Jacky usiadła.

– Wygraliście, wy bezlitosne bękarty – wrzeszczał głos z mgły. Jacky wydawało się, że dobiega gdzieś znad ulicy. – Joe woli umrzeć, niż znosić wasze przymilne gęby. Niech was dręczą resztki sumienia...

– Joe! – zawołał jakiś cichy głos. – Jesteś pijany? Co ty wygadujesz? Przestań w tej chwili!

Jacky wiedziała, że musi uciekać, nim hałas zwabi jakiegoś policjanta, ale zamiast trząść się ze strachu, przysłuchiwała się z ciekawością niewidocznemu dramatowi, który rozgrywał się po drugiej stronie ulicy.

– Stłukłem okno, pani Claire – odparł męski głos. – Jutro rano zapłaci pani za uprzątnięcie trotuaru. Podpisz rachunek i prześlij mi go do piekła, ty ponętna suko!

– Joe – odezwał się kobiecy głos, tym razem głośniejszy. – Nakazuję ci natychmiast... O mój Boże!

Skoczył? – zastanawiała się Jacky. W sekundę później rozległ się trzask i łomot czegoś uderzającego ciężko o bruk.

Nagle uwagę Jacky przyciągnął zewłok Dundeeego.

Mężczyzna siedział wyprostowany.

Ślepe oczy mrugały, a na poznaczonej czerwonymi strużkami twarzy zaczynał się malować wyraz bezdennej przerażenia. Jedna z dłoni poruszyła się niezgrabnie niczym przedziewiały zawias, i pomała przedziurawioną twarz. Przez chwilę próbował wstać; potem drgnął i runął na ziemię, a jego ostatnie westchnienie zdawało się trwać wiecznie.

Jacky wstała i uciekła.

Rozdział 15

*A on wyszeptał z wolna: Rzeka ta płynie
Między zmrokiem a świtem, w głębokiej dolinie...*

William Ashbless

Choć wodniakom na barkach i galerach pływających po Tamizie pozostało do przepracowania jeszcze pół godziny słonecznego, kwietniowego światła, dla mieszkańców St.Giles słońce zaszło już przed godziną za wysokimi, starymi budynkami o niewyraźnych zarysach, które stanowiły bezbarwny horyzont. Niemal wszystkie okna Szczurzego Zamku, z których każde różniło się od pozostałych kształtem, płonęły światłem.

Stojąc w alejce, przy jednym z bocznych wejść, Len Carrington odpowiadał niecierpliwie na wątpliwości wyrażone przez członków sześciuosobowej grupy, która miała właśnie wyruszyć na Fleet Street.

– Zrobicie to, gdyż jest to ostatnie tego typu zadanie, jakie dla nich wykonujecie. Gdybyście tego nie uczynili, to mogliby się domyślić, że chcemy uderzyć w nich znienacka; zrobicie to również dlatego, że jak już złapiecie dla nich tego człowieka, to będą nim tak zajęci, że zabijemy ich obu bez większego trudu.

– Czy facet, którego mamy złapać, nie jest przypadkiem tym samym, który wyrzucił w Łabędziu Normana przez okno? – spytał jeden z nich.

Carrington wyduł niezadowolony usta, bo miał nadzieję, że nie uda im się tego skojarzyć.

– Tak – ale wtedy nie daliście rady...

– A oni, jak się zdaje, nie dali rady go utrzymać – dorzucił mężczyzna.

– ... i tym razem weźmiecie go po cichu – ciągnął twardo Carrington. Potem się uśmiechnął. – I jeśli wszyscy odegramy swoje role jak należy, to dziś wieczór będzie w Szczurzym Zamku prawdziwe święto.

– Amen – wyszeptał inny. – No to w drogę. Pewnie już jest na tym spotkaniu i gada o swojej głupiej książce.

Sześciu ludzi ruszyło ulicą, Carrington zaś wszedł z powrotem do budynku. Ogromna kuchnia była w tej chwili pusta i oświetlona jedynie przyćmionym blaskiem paleniska. Zamknął za sobą drzwi. W pomieszczeniu panowała cisza, z daleka dobiegały jedynie niewyraźne zawodzenia i pomruki. Usiadł na ławie i zdjął z półki dzban zimnego piwa.

Łyknął zdrowo, po czym zakorkował dzban, odstawił na miejsce i wstał. Pomyślał, że lepiej wrócić do głównej sali; po co kłown ma się zastanawiać, co go zatrzymało.

Zmierzając do wewnętrznych drzwi minął odpływ ściekowy, a wówczas jęki i pomruki nasiliły się. Przystanął i zajrzał z obrzydzeniem do czarnej dziury, która prowadziła do głębokich piwnic i podziemnej rzeki. Zastanawiam się, myślał, co tak ożywiło dzisiejszego wieczoru Błędy Horrabina. Może stary Dungy miał rację, może te istoty umieją trochę czytać w myślach i są świadome naszego rychłego buntu. – Przekrzywił głowę, próbując wychwycić głębokie *basso profundo* Wielkiego Kąsacza, jedyne z Błędów, na którego ktokolwiek w ogóle zwracał uwagę, ale nie dosłyszał go. – Chłopie, jeśli choć w minimalnym stopniu wyczuwasz nasze plany, zachowaj to za ostrokołem swych zębów.

Zaczął macać wkoło w poszukiwaniu drewnianej zatyczki, znalazł ją pod stosem obierek z ziemniaków i wetknął w dziurę, skutecznie uciszając, przynajmniej na górze, hałas docierający z głębokich piwnic.

Otworzył drzwi prowadzące do holu akurat wtedy, gdy z głównej sali dobiegł piskliwy głos Horrabina:

– Carrington! Gdzie, u diabła, jesteś?

– Tutaj, wasza Wielmożność – odparł Carrington, krocząc zdecydowanie i siląc się na swobodny ton. – Zatrzymałem się w kuchni na łyk piwa.

Wszedł niespiesznie do sali.

Kłown, przypominający wielkiego pająka zrobionego z jakiejś gumowatej masy, kołysał się szybko na swej huśtawce, podczas gdy Romany czy też Romanelli, czy jak tam się w tym tygodniu nazywał, tkwił półleżąc w swoim fotelu na kółkach, który przypominał

do złudzenia dziecięcy wózek, żywy zaś blask ogni św. Elma, otaczający jego umęczoną postać, jaśniał coraz intensywniej.

– Sądzę, że już wyruszyli? – spytał Horrabin.

– Zgadza się.

– I zostali poinstruowani, by tym razem nie spartaczyć roboty? – wtrącił Romanelli.

Carrington posłał mu chłodne spojrzenie.

– Dostali go wtedy i dostaną go tym razem.

Romanelli skrzywił się, lecz po chwili złagodniał, jakby nie miał dość siły, by zareagować poważniej na ten brak subordynacji.

– Zejdz na dół do starego szpitala – powiedział. – Upewnij się, że przygotowali wszystko.

– Tak jest.

Carrington wybiegł z sali. Słysząc było jego kroki w holu. Potem załomotał podszwami butów o kamienne stopnie schodów prowadzących w dół, do lochów.

– Dlaczego też nie zejdziesz? – spytał kłowna skrzeczącym głosem Romanelli.

– Ledwie tu wszedłem! – zaprotestował Horrabin. – Jest poza tym kilka spraw, które musimy sobie wyjaśnić. Umowa z twoim ka była następująca: Miałem...

– On nie żyje, a ze mną umowy nie zawierałeś. Idź.

Po chwili Horrabin sięgnął po swoje szczudła, zsunął się z huśtawki, po czym stanął, chwiejąc się, na środku sali.

– Jesteś diabelnie pewien...

– Idź – powtórzył Romanelli. Zamknął oczy, a jego twarz przypominała cienkie płótno, które ktoś pozostawił na słońcu, by wyschło, a potem zapomniał o nim.

Stuk Horrabinowych szczudeł cichł w oddali.

Usta Romanellego rozwarły się, a z piersi dobyło się głębokie westchnienie.

Jego czas dobiegał końca. Ważył teraz zaledwie piętnaście kilogramów, ale wiedział, że nie jest tak silny jak Mistrz. Niebawem miał utracić panowanie nad sztucznie utrzymywanymi składnikami ciała i po prostu rozpaść się albo wzlecieć w kawałeczkach ku niebu, na długo przed osiągnięciem punktu zerowej grawitacji. Nie był mu przeznaczony wielki skok na Księżyc.

Zadrzał, próbując sobie przypomnieć, ilu czarnoksiężników odznaczało się zarówno siłą, jak i zdolnością przewycięzania praw natury. Były to dwie cechy, których jednoczesne posiadanie było rów-

nie trudne jak przyciskanie do siebie magnesów biegunami dodatnimi, ale niezbędne, by wytworzyć owo niezwykle przyciąganie księżycowe. W skrajnych przypadkach, takich jak przypadek Mistrza, stawało się ono niezwykle gwałtowną siłą grawitacyjną, o wiele większą niż można to było wyjaśnić faktycznym przyciąganiem księżyca. Niedaleko Damaszku żył niegdyś pewien Turek, Ibrahim, który kazał się wmurować po kolana w litym kamieniu, na dziedzińcu otoczonym wysokim murem, i zwykł żądać fortuny za przepowiadanie przyszłości. Czynił to tylko wtedy, gdy miał nad sobą księżyc, jego zaś głowa i ramiona kołysały się, skierowane ku górze, co stanowiło widok czyniący niezwykle wrażenie na jego klientach. W końcu jakiś człowiek, niezadowolony z wróżby, dobył bułata i przerąbał oba kolana Ibrahima, a wówczas odcięte ciało wystrzeliło z krzykiem w niebo. Istniała też wzmianka w jednej z zagubionych ksiąg apokryficznych *Clementine Recognitions* o bardzo starym czarnoksiężniku, który oderwał się pewnego popołudnia w Tianie od ziemi, by widnieć przez wiele dni na tle nieba, gestykulując i krzycząc, aż w końcu oddalił się i zniknął z oczu. Była niewątpliwie odrobina prawdy w starych opowieściach o zamieszkanym niegdyś księżycu, który stał się, przez jakąś od dawna zapomnianą, lecz nadzmysłową przewrotność, pomnikiem, pierwowzorem i wciąż żywym wcieleniem pustki.

Romanelli pamiętał, że nadzorując dość nieprzyjemne zadanie oczyszczania ulicy poniżej Bab-el-Azab, usłyszał głuchy odgłos armatniego strzału dobiegający od strony południa. Był już gotów wezwać Albańczyków, by odparli powzięty z zamiarem odwetu atak synów zamordowanych bajów mameluckich. Jednakże ogień broni palnej już się więcej nie rozległ i gdy Romanelli wspiął się na blanki, nie dostrzegł śladu oddziałów zbierających się na ciemniejącej równinie. Dopiero później, tej samej nocy, usłyszał, jak jeden z wieśniaków mówił o starym człowieku, który, jak widziało to wielu, przelatywał o zmierzchu nad starą dzielnicą Kairu... Ruszył więc czym prędzej do domu Mistrza, jednakże na miejscu zastał opustoszałą ruinę, jeśli nie liczyć kilku roztrzaskanych *ushabtis* i ранego odźwiernego...

Od niego dowiedział się, że wszystko to jest dziełem człowieka o imieniu Brendan Doyle, który uciekł im w październiku, a następnego dnia odkrył, że Doyle, pod nazwiskiem Williama Ashblessa opuścił Egipt na pokładzie zmierzającego do Anglii „Fowlera”. Romanelli porzucił swe stanowisko osobistego lekarza Muhammada

Alego i wsiadł na następny statek do Anglii. Stał potem na jego rufie i gwizdał aż do spierzchnięcia warg, narażając się na gniew kapitana, udało mu się jednak przywołać na parę godzin dwóch Shellengeri i chociaż rejs nie przebiegł równie szybko jak tamta podróż na południe, Romanelli zdołał postawić stopę na londyńskim nabrzeżu w niedzielę, dwa dni przed przybyciem Ashblessa-Doyle'a.

W czasie owych czterdziestu ośmiu godzin przewagi, jaką zyskał, też nie próżnował. Dowiedział się ze zdumieniem, że jego przeciwnik ma się pojawić, jako William Ashbless, na literackim spotkaniu w siedzibie wydawcy Johna Murraya. Zmusił więc groźbami kłowna-czarnoksiężnika, by nakazał swoim łajdakom śledzić Ashblessa, gdziekolwiek się uda, a potem porwać go, gdy wyjdzie od Murraya, i sprowadzić do Szczurzego Zamku.

A jak już go tu przywiodą, pomyślał Romanelli, oddychając z trudem, wycisnę go do cna. Dowiem się od niego o skokach w czasie wystarczająco dużo, by zrobić to samemu, a wtedy przeniosę się z powrotem do momentu, gdy byłem zdrowy, i powiem mojemu młodszemu ja, jak rozegrać wszystko inaczej, tak bym w poniedziałek, drugiego kwietnia 1811 roku, nie był drżącym, krwawiącym, wycieńczonym wrakiem.

Otworzył nabiegłe krwią oczy i zerknął na zegar stojący na półce pełnej lalek, tuż pod niszą, w której tkwiła głowa Duny'ego. Do dziewiętej pozostał kwadrans. Za jakąś godzinę, powiedział sobie, opryski Horrabina przyprowadzą mi Ashblessa, a wtedy przeniesiemy się do podziemnego szpitala.

Gdy powóz przejeżdżał z turkotem obok katedry św. Pawła, William Ashbless spojrzął na ciemny plac po zachodniej stronie ogromnego kościoła i przypomniał sobie, jak żebrał w tym miejscu jako Tom Niemota. Nigdy, pomyślał, nie mam możliwości korzystania z mego głosu. Tom Niemota był niemową, podobnie jak był nim, z konieczności, łatacz butów Eshvlis, i choć William Ashbless zostanie elokwentnym poetą, będzie tylko z pamięci kopiował poematy, które czytał i zapamiętał dawno temu.

Jego nastrój był mieszaniną ulgi, niepokoju i lekkiego rozczarowania. Z przyjemnością powrócił do Anglii i uwolnił się od całej tej diabelskiej magii, oczekując z niecierpliwością spotkań z Byronem, Coleridge'em, Shelleyem, Keatsem, Wordsworthem i pozostałymi. Teraz jednak, gdy był już nieodwołalnie Ashblessem i powrócił na

karty biografii Bailey'a, nie spodziewał się żadnych więcej niespodzianek; przeczytał już historię swego życia.

Wciąż trochę żałował, że test, jaki opracował podczas trwającej miesiąc podróży na pokładzie „Fowlera” nie dał wyniku negatywnego. Przyszło mu bowiem na początku rejsu do głowy, że jeśli wszechświat uparł się, by widzieć w nim Ashblessa, to trzeba zakasać rękawy i zrobić dwie rzeczy. Należało dopilnować, by rękopis *Dwunastu godzin nocy*, który po raz ostatni widział na biurku w Łabędziu, trafił w jakiś sposób do siedziby *Couriera* dostatecznie wcześnie, by ukazać się drukiem w grudniu; i należało się upewnić, że „Fowler” dopłynie do Londynu na tyle szybko, by można było zdążyć na zebranie u Johna Murraya i ponownie, drugiego kwietnia, spotkać się z Coleridge'em. Były to dwa niezbite fakty w biografii poety, którą przestudiował, i gdyby któryś z nich nie miał miejsca, to wówczas wciąż mógłby liczyć na to, że będzie sobą, z możliwością wyboru działania, człowiekiem, zdolnym odczuwać nadzieję i strach.

Lecz gdy zjawił się tego popołudnia w Łabędziu i spytał, czy jest jakaś korespondencja do Williama Ashblessa, poinformowano go, że winien uiścić opłatę za trzy przesyłki: za list od *Couriera* wyrażający zgodę na druk wraz z czekiem na trzy funty, za gazetę z poematem wydaną piętnastego grudnia i za list od Johna Murraya, datowany na dwudziestego piątego marca, w którym wydawca zapraszał Ashblessa na nieformalne spotkanie w swojej siedzibie tydzień później, to znaczy dzisiajszego wieczoru.

A zatem rzecz się dokonała. Był Ashblessem.

Nie oznaczało to wcale absolutnej nudy, po pierwsze były w tej historii pewne szczegóły, które odkrywałyby z zainteresowaniem. Gdzie, na przykład, jest Elizabeth Jacqueline Tichy, moja przyszła żona? – zastanawiał się. – Poinformuję wkrótce Bailey'a, że zetknąłem się z nią po raz pierwszy dawno temu, we wrześniu zeszłego roku. Zastanawia mnie, dlaczego tak mu powiem. No i oczywiście ostatnie pytanie – kim jest człowiek, który spotka mnie na mokradłach pod Woolwich dwunastego kwietnia 1846 roku, po czym przebije mi brzuch i pozostawi martwe ciało, znalezione miesiąc później? I jak, u diabła, mam nakłonić samego siebie, by udać się na to spotkanie?

Dorożka skręciła w prawo, w Fleet Street, mijając budynki sądów, a następnie zatrzymała się pod wąskim, ładnym budynkiem o numerze 32. Za przysłoniętymi oknami paliło się światło. Ashbless wysiadł, zapłacił woźnicy, a gdy powóz oddalił się ze stukotem kół i końskich kopyt, odetchnął głęboko, powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy, dostrze-

gając żebrzącego chłopca, który zmierzał przygarbiony w jego stronę, po czym zapukał do drzwi.

Po kilku chwilach rozległ się z drugiej strony trzask zasuwki i drzwi otworzył mężczyzna o jasnych włosach z kieliszkiem w dłoni. Pomimo wizyty u fryzjera, przystrzyżenia brody i eleganckiego ubrania, na które Ashbless wydał większość honorarium, mężczyzna cofnął się niepewnie, obrzuciwszy ciekawym spojrzeniem ogromnego, jakby odlanego ze spiżu gościa.

– Hm... tak? – spytał.

– Nazywam się Ashbless. Czy pan John Murray?

– Och? Tak, tak, proszę wejść. Zgadza się, to ja jestem Murray. Trochę mnie pan przestraszył. Jeśli istnieje coś takiego, jak typowy poeta, to muszę przyznać, że w ogóle pan na niego nie wygląda. Miałby pan ochotę na kieliszek porto?

– Z przyjemnością.

Ashbless wszedł do holu i zaczął czekać, aż Murray ponownie zamknie drzwi.

– Przed domem kręci się jakiś mały żebrak – wyjaśnił przeproszającym tonem Murray. – Próbował już wcześniej tu się wślizgnąć. – Wyprostował się, napił się swojego porto i wyminął ostrożnie Ashblessa. – Tędy proszę. Cieszę się, że mógł pan przyjść. Mamy szczęście gościć dzisiaj wieczoru Samuela Coleridge'a.

Ashbless uśmiechnął się szeroko i ruszył za gospodarzem.

– Wiedziałem, że tu będzie.

Jacky ruszyła nieśmiało do przodu, gdy ujrzała nieznanego wysiadającego z powozu, ale nim zdążyła się zastanowić, co ma powiedzieć, mężczyzna zapukał do drzwi i został wpuszczony do domu przez zaskoczonego Murraya. Cofnęła się do swego zacienionego przedśionka, w którym ukrywała się przez ostatnie pół godziny.

To z pewnością ten człowiek, którego opisał Brendan Doyle, pomyślała. A zatem Murray wcale nie opowiadał nonsensów felietonistom *Timesa* mówiąc, że będzie podczas poniedziałkowego spotkania gościł nowego poetę, Williama Ashblessa.

Zastanawiała się: Jak więc zdołam zbliżyć się do tego człowieka, by z nim pomówić? Tyle jestem winna biednemu Brendanowi Doyle'owi; muszę przekazać przyjacielowi smutną wiadomość o jego śmierci. Chyba będę musiała poczekać, aż wyjdzie, i wtedy złapać go, nim zdąży wsiąść do powozu.

Jacky nie spała od dwóch nocy, od chwili, gdy zabiła Dundee, a także, w konsekwencji, Joego Psią Twarz, i teraz zaczęła mieć halucynacje. Zdawało jej się, że pędzą ku niej ogromne cienie, lecz gdy cofała się gwałtownie, wszystko zniknęło; i wciąż słyszała... nie jakiś dźwięk, nawet nie echo, lecz jakby wibrację powietrza, wywołaną zatrząskiwaniem się ogromnych drzwi na niebie. Był co prawda wczesny wieczór, ale lękała się, że za parę godzin zacznie się zastanawiać, dlaczego jeszcze nie świta... a na długo przed wybicciem piątej rano obawa ta przemieniła się w paniczny strach, że coś naprawdę zamknęło się na niebie i że nigdy już nie ujrzy słońca.

Odwiedziła kiedyś Szpital Magdaleny dla obłąkanych, Magdusię, jak mówiono na ulicach, i przysięgła sobie, że raczej się zabije niż pozwoli tam zamknąć, gdyby pozostał jej tylko taki wybór.

Tego wieczoru była całkiem pewna, że taki właśnie wybór jej zostanie.

Zamierzała jedynie spotkać się z Ashblessem, powiedzieć mu o Doy-le'u, a potem wykonać skok Wspaniałego Chinnie, wypłynąć na środek Tamizy, po czym wypuścić powietrze z płuc i opaść na dno.

Zadrżała, gdyż właśnie pojęła, że, subiektywnie rzecz biorąc, jej obawy są usprawiedliwione: nie czekał ją już żaden świt.

Jeśli chodzi o aspekt zawodowy spotkania, zarówno Coleridge, jak i Ashbless rozczarowali Murraya. Gdy wydawca podszedł do kąta pokoju pełnego książek, gdzie obaj rozmawiali, i zdołał włączyć się do dyskusji, by w końcu zmienić temat, proponując obu publikacje utworów, żaden nie wydawał się zainteresowany. Zaskoczyło to Murraya, gdyż Coleridge, którego rodzina utrzymywała się dzięki życzliwości przyjaciół, znajdował się w krytycznej sytuacji finansowej, Ashbless zaś był poetyckim nowicjuszem, który powinien z radością przyjąć szansę pozyskania dobrego wydawcy w tak krótkim czasie.

– Przekład *Fausta* Goethego? – spytał z powątpiewaniem Coleridge. Gdy tylko oderwano go od tematu rozmowy z Ashblessem, z twarzy zniknęło mu ożywienie, i teraz znów wyglądał na starego i schorowanego. – Nie wiem – powiedział. – Choć Goethe to geniusz, którego dzieło, zwłaszcza to dzieło, jest dla tłumacza przywilejem i wyzwaniem, obawiam się, że moja własna filozofia jest tak bardzo... różna od jego, iż owo przedsięwzięcie... skompromitowałoby nas obu. Mam jednak sporo esejów...

– Tak – przerwał mu Murray – z pewnością będziemy musieli przedyskutować kiedyś ich publikację. A jak pan, panie Ashbless, ocenia pomysł wydania tomu pańskich wierszy?

– No cóż – zaczął Ashbless. Pomyślał bezradnie: Nic z tego, Murray, gdyż pierwsza książka Ashblessa zostanie opublikowana przez Cawthorna w maju. Wybacz, to dla ciebie historia. – W tej chwili – dokończył – *Dwanaście godzin nocy* to wszystko, co mam. Po czekajmy i zobaczymy, czy zdołam napisać coś jeszcze.

Murray zmusił się do uśmiechu.

– Zgoda. Choć może się zdarzyć, iż nie znajdę potem dla pana miejsca w moich zamierzeniach wydawniczych. Zechcą mi panowie wybaczyć?

Wrócił do gości zebranych przy stole.

– Obawiam się, że też będę musiał poprosić o wybaczenie – stwierdził Coleridge, odstawiając ledwie napoczęty kieliszek porto i pocierając poszarzałe czoło. – Czuję, że zbliża się jeden z moich bólów głowy, a te czynią ze mnie kiepskiego kompana. Spacer do domu może mi nawet pomóc.

– A dlaczego by nie wziąć powozu? – spytał Ashbless, odprowadzając go do drzwi.

– Och... lubię chodzić – odparł Coleridge nieco zawstydzony, i Ashbless uzmysłowił sobie, że ten człowiek nie ma pieniędzy na powóz.

– Niech pan posłucha – wtrącił mimochodem Ashbless. – Nasiedziałem się już tutaj, a nie przepadam za spacerami. Mógłbym pana podrzucić.

Coleridge rozchmurzył się, po czym spytał ostrożnie:

– Lecz w jakim kierunku pan zmierza?

– Och – odparł Ashbless, machając niedbale dłonią. – We wszystkich kierunkach. Gdzie się pan zatrzymał?

– W hotelu Hudsona, Covent Garden. Jeśli nie będzie to dla pana stanowiło kłopotu...

– Żadnego. Przepraszę pana Murraya i przy okazji wezmę nasze płaszcze i kapelusze.

Kilka minut później odprowadzono ich do drzwi. Murray wyjrzał i skrzywił się na widok włóczęgi, który wciąż kręcił się kilka domów dalej.

– Dziękuję za odwiezienie naszego gościa do domu, panie Ashbless.

– Żaden kłopot, chyba widzę powóz. Hej! Taksii!

Woźnica nie rozumiał zawołania, ale skiniecie dłonią było dostatecznie wymowne. Ruszył pod dom, Murray zaś powiedział im dobranoc, zamknął drzwi i zabezpieczył zasuwką.

Powóz właśnie się zatrzymywał, gdy rozległ się krzyk, „Panie Ashbless! Proszę chwilę poczekać!”, i w chwilę później nadbiegł obdarty chłopiec.

Mój Boże, pomyślał Ashbless, gdy na twarz chłopca padało przez moment światło latarni – to Jacky. Jest niższy niż przedtem; nie, to ja jestem wyższy.

– Tak?

Jacky zatrzymał się przed nimi.

– Przepraszam, że panom przeszkadzam – dyszała – ale obawiam się, że mam złe wieści o naszym wspólnym przyjacielu.

Ashbless przyglądał się Jacky stojącej w smudze światła, która płynęła z zasłoniętego okna za jej plecami. Pomyślał: Czas w ciągu tych miesięcy nie obszedł się z nim łaskawie. Dzieciak wygląda na wygłodzonego i wyczerpanego. Mimo to jest też... w jakiś sposób, odrobinę bardziej zniewieściały. Biedaczysko.

– Naprawdę sędzę – bąknął Coleridge – że spacer dobrze mi zrobi. Ja...

– Nie – zaprotestował Ashbless. – Ta wilgotna mgła nie służy panu, ja zaś chciałbym poznać więcej pańskich teorii na temat logosu. Jestem pewien, że ten chłopiec...

– Czy ktoś chce jechać tym cholernym powozem? – zawołał z koźła woźnica, poruszając niecierpliwie batem.

– Tak, wsiądźmy wszyscy – powiedział Ashbless, otwierając drzwi. – A jak już odwieziemy pana Coleridge’a do domu, to pozwolisz, młody człowieku, zafundować sobie kolację?

– Pojadę – powiedziała Jacky, wchodząc do powozu – ale będę musiał... odrzucić pańską uprzejmą propozycję. Mam... umówione spotkanie nad rzeką.

– A czyż wszyscy nie jesteśmy umówieni? – uśmiechnął się Ashbless, pomagając Coleridge’owi wejść do środka, a potem sadowiac się na siedzeniu. – Woźnica! Hotel Hudsona w Covent Garden!

Gdy zatrzasnął drzwi, przeciążony wehikuł włączył się do ruchu.

Powóz, który Jacky widziała wcześniej niedaleko domu Murraya, też ruszył, podążając za nimi w odległości około dwunastu metrów, choć nawet woźnica go nie dostrzegł.

– A więc jakież to przyjaciel i jakie złe wieści? – spytał Ashbless, wciskając swą ogromną postać w kątek powozu przy prawym oknie.

– Pan... znał człowieka o imieniu Brendan Doyle, jak sądzę – stwierdziła Jacky.

Ashbless uniósł brwi.

– Znałem go bardzo dobrze, owszem. Dlaczego pytasz?

– Nie żyje. Przykro mi. Sam go znałem, krótko co prawda, i lubiłem. Próbował pana znaleźć, nim umarł; sądził, że mu pan pomoże, a wydaje się pan równie hojny, jak mówił. Zjawił się pan po prostu... za późno.

W głosie Jacky słychać było niekłamany smutek.

Gdy powóz zatrzymał się na skrzyżowaniu z Chancery Lane, Jacky sięgnęła do klamki.

– Lepiej już pójść. Zaczynam oddalać się od rzeki. Miło mi było poznać obu panów.

Zaintrygowany dziwną bezbarwnością jej głosu, odgadując nagle charakter owego spotkania nad rzeką, Ashbless ścisnął mocno dłoń Jacky i przytrzymał drzwi.

– Poczekaj.

Zdawało się, że woźnica ma jakieś trudności z jazdą; słychać było, jak zeskakuje na bruk i uderza konia; ale w końcu ruszyli, Ashbless zaś puścił dłoń Jacky.

– On nie umarł, Jacky – powiedział cicho. – Później ci powiem, skąd to wiem; na razie uwierz mi na słowo. I nie ważne, czy widziałeś zwłoki. Jak wiesz – Ashbless mrugnął – zdarzają się sprawy, w których nie jest to rozstrzygający dowód. – Ashbless uśmiechnął się, próbując w miarę możliwości usadowić się wygodniej, podczas gdy oczy Jacky, w których zaczęło pojawiać się zrozumienie, robiły się coraz większe. – Wracając do rzeczy, tematem naszej dyskusji była koncepcja logosu. Co sądzisz na ten temat?

Teraz z kolei Coleridge uniósł brwi, nie mogąc się nadziwić, że takie pytanie zadaje się brudnemu ulicznikowi; zdumiał się jeszcze bardziej, gdy Jacky odpowiedziała.

– No cóż – zaczęła, nie zbita z tropu nagłą zmianą tematu – wydaje mi się, że jest w koncepcji logosu, jak definiuje to święty Jan, coś, co odpowiada platonowskiej idei absolutów; wieczne, niezmiennie formy, których niedoskonałym odbiciem są rzeczy materialne. Niektórzy z filozofów, wcześniejszych od Sokratesa...

Nagle przez otwarte okno powozu wtargnęła do wnętrza pięść, a do górnej wargi Jacky przyciśnięto lufę pistoletu. Czują przez sztuczne wąsy zimny dotyk metalu. W tym samym momencie przez drugie okno wsunęła się inna ręka i przystawiła pistolet do oka Ashblessa.

– Nikt się nie rusza – odezwał się chrapliwy głos, a przez okno po stronie Jacky zajrzała do środka chuda, twarz z zezującymi oczami. – Sie masz, wielmożny panie – zwrócił się ów osobnik do Ashblessa, który był zbyt wciśnięty w kąt, by myśleć o jakimkolwiek oporze. – Ani chybi nie wyrzuci się tym razem nikogo przez okno, no nie? Przepraszam za przerwanie wam tej uczonej gadki, ale pojedziem na skróty – do Szczurzego Zamku.

Ashbless uświadomił sobie, ku swemu zdumieniu, że to, co pozbawiło go tchu w piersi, to zarówno strach, jak i ulga. Pomyślał: Na Boga, nigdy nie wiadomo, kiedy się człowiek natknie na rozdział, który Bailey pominął.

– Jestem przekonany, że chodzi wam o mnie – powiedział ostrożnie, mrugając z powodu lufy przy oku. – Puśćcie tych dwóch wolno, a obiecuję, że pójdę z wami bez oporu.

– Zara się popłaczę, jakiegoś takiego bohatera, człowieku. – Mężczyzna dźgnął go lekko lufą pistoletu, zmuszając do cofnięcia głowy. – A teraz przymknij jadaczkę, dobra?

Powóz skręcił w prawo, w Drury Lane, i choć wyjeżdżając z za rogu niemal uniósł się kołami po prawej stronie w powietrze, obaj mężczyźni stojący na stopniach nawet nie drgnęli, ani też nie opuścili broni.

– Nie jestem pewien, czy wszystko właściwie pojmuję – odezwał się Coleridge, który zamknął oczy i pocierał sobie skronie. – Chcą nas obrabować czy zabić? A może jedno i drugie?

– Prawdopodobnie jedno i drugie – odparła obojętnie Jacky. – Choć wydaje mi się, że ich szef będzie bardziej zainteresowany kradzieżą pańskiej duszy niż sakiewki.

– Nie mogą ci tego skraść, jeśli już tego nie utraciłeś – stwierdził spokojnie Coleridge. – Być może spędzilibyśmy ten czas najlepiej, gdyby każdy z nas... tym mocniej podkreślił, iż posiada coś takiego.

Jego pulchne rysy przybrały wyraz łagodnej obojętności, dłonie zaś spoczęły na kolanach.

Powóz zatrzymał się przy Broad Street, potem ruszył szybko na skos. Stukot i turkot były teraz głośniejsze, gdyż ulica była o wiele węższa niż znajdująca się na północ Broad Street.

Po jakimś czasie Jacky pociągnęła nosem.

– Jesteśmy w dzielnicy ruder St.Giles, to pewne jak słońce – mruknęła, wstrząsając się, jakby nie mogła zaczerpnąć dostatecznie dużo powietrza w płuca. – Czuję dym spalonych śmieci.

– Powiedział, żeby się zamknąć – przypomniał jej strażnik, trącając lufą jej wąsy. Zamilkła posłusznie, lękając się, że następne pchnięcie zerwie je znad jej wargi.

W końcu powóz zatrzymał się i dwaj uzbrojeni porywacze zeskończyli na ziemię i otworzyli drzwi.

– Wychodzić – nakazał jeden z nich.

Trójka pasażerów podniosła się i wygrzebała z ciasnego wnętrza. Coleridge z miejsca usiadł na stopniu, chwycił się za głowę i zaczął jęczeć; najwidoczniej ból się nasilał. Ashbless zerknął ponuro na ogromny, zniszczony budynek, pod który zajechali.

Budowlę, wzniesioną częściowo z cegieł różnego rozmiaru, odcięcia i wieku, a częściowo z drewna, łączyły na każdym poziomie z ciemnymi bryłami innych budynków licze mostki i drabinki. Ściany były tak nieregularnie podziurawione otworami okien, że nie sposób było się domyślić układu pięt wewnątrz. Jacky tylko spoglądała na mokre błoto między swymi butami i oddychała głęboko.

Z dobrze oświetlonego wejścia wybiegł Len Carrington i ocenił przybyłych wzrokiem.

– Wszystko poszło gładko? – spytał woźnicę, który wciąż siedział na koźle.

– Tak. Za twoim pozwoleniem, zaprowadzę to z powrotem na Fleet Street, zanim prawdziwy woźnica zgłosi zaginięcie.

– Słusznie. Ruszaj.

Trzasnął bat i powóz ruszył do przodu, gdyż nie było miejsca, by zawrócić. Carrington przyglądał się schwytanym.

– To nasz człowiek – powiedział, wskazując na Ashblessa – a to... jak on się nazywał, od jakiegoś czasu już się tu nie pokazywał... Jacky Snapp! – którego udział w tej całej sprawie chętnie bym poznał... Ale kim jest ten stary, schorowany drań?

Porywacze wzruszyli ramionami, więc Ashbless wyjaśnił cicho:

– To Samuel Taylor Coleridge, sławny pisarz, i jeśli go zabijecie, to sobie napytacie więcej biedy niż wam potrzeba.

– Nie mów nam, co mamy... – zaczął jeden z porywaczy, ale Carrington uciszył go gestem dłoni.

– Wprowadźcie ich do środka – nakazał. – I to szybko – zdarzało się, że policja zagłębiała się aż tutaj.

Schwytanych wprowadzono pod lufami pistoletów do dużej sali, i po raz pierwszy tej nocy Ashbless poczuł lodowatą pustkę i rozpaczliwy, prawdziwy strach, gdyż był tam doktor Romanelli, półle-

żąc w dziwacznej kolebce na kółkach i przyglądając mu się z gniewnym wyrazem twarzy kogoś, kto poznaje swego wroga.

– Zwiążcie go – zaskrzeczał czarnoksiężnik – i zabierzcie na dół do szpitala. Prędko.

Ognie św. Elma migotały teraz gwałtownie i skakały w górę, ilekroć wymawiał twardą spółgłoskę.

Ashbless skoczył na człowieka po prawej stronie, po czym całym ciężarem i siłą swego ciała walnął go w gardło; mężczyzna runął na plecy, a odruchowo oddany strzał trafił w tarczę zegara na ścianie. Ashbless odzyskał właśnie równowagę i miał obrócić się i chwycić Jacky i Coleridge’a, gdy nagle jego lewa noga ugięła się i wylądował niezgrabnie na podłodze.

Scena, którą miał przed oczami, przestała być dla niego ruchomym zbiorem impresji; w danej chwili był w stanie uświadamiać sobie tylko jedną rzecz: w jego nowych spodniach, na wysokości kolana, widniała ogromna, czerwona dziura; w uszach dzwoniło mu od huku drugiego strzału; ściana i podłoga w pobliżu były zbryzgane krwią, a także kawałkami zakrwawionego materiału i kości; lewa noga była na wysokości kolana wykrzywiona.

– Mimo wszystko, zwiążcie go – sapnął Romanelli. – I ściśnijcie mu udo – musi pożyć jeszcze jakiś czas.

Ashbless stracił przytomność, gdy Carrington i ten, który strzelał, chwycili go za ramiona i podnieśli.

Trzy minuty później sala była już pusta, jeśli nie liczyć Coleridge’a, który siedział w huśtawce Horrabina, błądy, z zamkniętymi oczami, a także jednego z ludzi Carringtona, młodego człowieka o szczurzej twarzy, który nazywał się Jenkin. Był zły, że kazano mu pilnować tak nieszkodliwego, starego gościa. Rozglądał się ciekawie po sali, dostrzegając świeżą kałużę krwi i strzaskany zegar, i zastanawiał się, co tu się wydarzyło, nim wezwał go Carrington. Widział, jak wyprowadzano troje ludzi, lecz tylko jeden poruszał się na własnych nogach, choć wszystko wydawało się być pod kontrolą. Jenkin sądził, usłyszawszy dwa strzały, że to początek buntu, ale najwyraźniej trzeba było z tym jeszcze poczekać.

Drgnął gwałtownie, gdy usłyszał kroki na korytarzu, a potem westchnął z ulgą, ujrzawszy Carringtona.

– Mają w kuchni gorącą herbatę? – warknął Carrington.

– Tak, szefie – odpowiedział zaintrygowany Jenkin.

– Przynieś dzbanek i filiżankę – i cukier.

Jenkin przewrócił zdumiony oczami, ale spełnił polecenie. Kiedy wrócił z herbatą, Carrington kazał mu ją postawić na stole, po czym zbliżył się do jednej z wyższych półek i zdjął z niej butelkę z brązowego szkła. Odkorkował ją i wytrząsnął do dzbanka z herbatą kilka kropel płynu o ostrym zapachu.

– Dosyp też sporo cukru – wyszeptał do Jenkina.

Jenkin posłuchał, po czym wskazał pytająco kciukiem na Coleridge’a.

Carrington skinął głową.

Jenkin przeciągnął kciukiem po szyi i unióśł brwi.

Carrington potrząsnął przecząco głową i rzekł cicho:

– Nie, to laudanum. Opium, rozumiesz? Uśpię tego gościa, a wtedy umieścisz go w pokoju Dungy’ego. A jak już się pozbędziemy kłowna i czarnoksiężnika, zabierzemy go do podziemi i wysadzimy gdzieś w okolicy Adelphi. Nie będzie pamiętał, gdzie się znajduje Zamek. To trochę dodatkowych kłopotów, ale po tej wrzawie, którą rozpętały gazety w związku z morderstwem Dundeeego w niedzielę, lepiej nie zabijać jakiegoś dobrze znanego, cholernego pisarza. – Nalał herbatę do filiżanki i podszedł z nią do Coleridge’a. – Proszę się napić, sir – powiedział łagodnie. – Odrobina gorącej herbaty na pewno panu pomoże.

– Lekarstwo – wycharczał Coleridge. – Potrzebuję mojego...

– Lekarstwo jest w herbacie – powiedział uspokajająco Carrington. – Niech pan pije.

Coleridge opróżnił filiżankę czterema łykami.

– Jeszcze... proszę...

– Na razie wystarczy. – Postawił filiżankę na stole. – Przy tej dawce będzie spał do południa – wyjaśnił Jenkinowi. – Opróżnij ten dzbanek, nim ktoś go znajdzie. Pospiesz się i zaprowadź naszego przyjaciela do pokoju Dungy’ego, jeśli nie chcesz nieść go tam o własnych siłach.

Jenkin spytał ściszym głosem:

– Kiedy... ?

– Niebawem, choć mamy o jednego człowieka mniej – ten drań Ashbless walnął Murphy’ego w gardło i roztrzaskał wszystko, od brody do obojczyka. Biedak umarł, zanim upadł na podłogę.

– Kim jest ten Ashbless?

– Nie wiem, ale to szczęście dla nas, że wygląda na twardego; ich lordowskie mości będą potrzebować trochę czasu, żeby go wykończyć.

Wieczny jednak nie jest i dlatego należy się za nich zabrać, jak będą nim zajęci, więc ruszaj się.

Jenkin podszedł do huśtawki, pomógł Coleridge'owi wstać i wyprowadził go z sali.

Carrington, na którego pociągłej twarzy malowało się napięcie, zaniósł dzbanek do drzwi wejściowych, wylał zawartość na schody, po czym zamknął drzwi na zasuwę, odstawił dzbanek i rozejrzał się wokół. Nie byłoby dobrze, gdyby jakiś dociekliwy policjant zobaczył to miejsce. Przyciągnął z korytarza dwa małe dywaniki i zakrył nimi sfłuczone szkło i rozmazaną plamę krwi.

Wyprostował się i potrząsnął głową, przypominając sobie szybkość ciosu, jaki Ashbless wymierzył Murphy'emu. Kim u diabła był ten człowiek? I dlaczego jechał powozem w dziwnym towarzystwie znanego pisarza i Jacky'ego Snappa, żebraka?

Carrington zbladł, po czym przywołał w myślach obraz Jacky'ego Snappa... a potem porównał go z twarzą, którą widział sześć miesięcy wcześniej, tamtego popołudnia, gdy stary Dungy i Hindus Ahmed próbowali zabić Horrabiną i uciec podziemną rzeką.

Brat i siostra? Chłopak przebrany za dziewczynę? Czy też przypadkowe podobieństwo? Carrington postanowił to sprawdzić.

Ruszył czym prędzej w stronę sieni, szarpnął klamkę drzwi prowadzących na dół, po czym zaczął pospiesznie schodzić po pierwszej z czterech kondygnacji schodów, wiodących do głębokich lochów, z których każda była starsza od poprzedniej.

Teraz, gdy wydawało się niemal pewne, że Jacky zostanie zabita przed świtem, zamierzone uprzednio samobójstwo wydało jej się pustym gestem afektowanego szaleńca. Rzeczywiście, znalazła się w Magdusi! Zamknięto ją w jednej z niskich klatek, które stały w długim szeregu, tuż obok schodów. Słyszała odgłosy wydawane przez mieszkańców sąsiednich pomieszczeń i dziękowała Bogu, że najbliższa pochodnia znajduje się w głębi sieni, kikanaście metrów dalej, i że zimny, stęchły powiew napływający od podziemnej rzeki tłumi jej płomień. Choć pomruki, powarkiwanie i zawodzenia, a także odgłosy wilgotnego pełznienia, szmery ciężkich, pokrytych łuskami kończyn i drapanie pazurów o kamienną podłogę mogłyby nasuwać przypuszczenie, że dzieli to więzienie z egzotyczną menażerią, słyszała również niecierpliwe szepty, przytłumiony śmiech, a także, dochodzący z dalszej klatki, jakiś niski głos monotonicznie recytujący dziecinne wierszyki.

Po pięciu minutach nieruchomego siedzenia wyprostowała się gwałtownie, słysząc chrapliwy krzyk; gdy ucichł, przechodząc w szloch i pokasywanie, rozpoznała głos Williama Ashblessa.

„No dobra, wy dranie – mówił, wypluwając słowa niczym zęby – jak chcecie tego, to będziecie musieli to kupić. Powiem wam...”

Jego głos urwał się nagle, a z gardła znów dobył się wrzask. Jacky zdawało się, że dochodzi gdzieś z prawej strony, zwielokrotniony przez tunele.

„Jedyną co możesz, to kupić sobie szybką śmierć. Nic więcej. I zrób to teraz, nim doliczymy ci podatek”, zaskrzeczał jakiś głos. „Niech was diabli – sapnął Ashbless. – Nie zamierzam...”

I znów w ścianach kamiennych tuneli rozległ się wrzask na całe gardło.

Stwory w sąsiednich klatkach mrucały i przesuwały się niespokojnie, najwyraźniej podenerwowane hałasem.

Jacky usłyszała kroki na schodach i podniosła wzrok. Jakiś wysoki człowiek pojawił się w drzwiach prowadzących na górę i ruszył szybko w jej kierunku. Gdy przechodził obok pochodni, wyjął ją ze ściany, nie zwalniając kroku, Jacky zaś, poznawszy Lena Carringtona, wtuliła się w kąt.

Przygarbiona, kryjąc twarz za skrzyżowanymi rękami, słyszała, jak obcasy jego butów uderzają o kamienną podłogę coraz wyraźniej. Chce sprawdzić, jak im idzie z Ashblessem, pomyślała. Trzymaj głowę nisko, a na pewno cię nie zauważy.

Lecz gdy hałas kroków ucichł tuż przed nią, z oczu popłynęły jej łzy i zaczęła cicho łkać.

– Witaj, Jacky – odezwał się śpiewnie Carrington. – Mam do ciebie pytanie, a może dwa. Spójrz na mnie.

Nie podniosła głowy.

– Do diabła, ty mały draniu, powiedziałem, żebyś spojrział na mnie! – wrzasnął Carrington, wpychając między kratami pochodnię i dźgając Jacky płonącym końcem w goleń.

Rozpalony olej ochlapał jej spodnie, więc musiała się zerwać, żeby go strząsnąć. Wylądowała na czworakach, twarzą w twarz przez kraty z Carringtonem.

I znów krzyk Ashblessa odbił się echem w podziemnych korytarzach, a kiedy zamarł, Carrington zachichotał.

– O tak, jest podobieństwo – powiedział cicho, lecz z zimną satysfakcją. – A teraz posłuchaj, chłopcze – chcę wiedzieć, kim była ta dziewczyna, którą spotkałem na górze, pół roku temu, i która wysłała mnie na Haymarket, gdzie mnie o mało nie zabili.

– Przysięgam na Boga, sir – sapnęła Jacky – ja nie...

Carrington, mrużąc niecierpliwie, znów wepchnął pochodnię między kraty, ale nim zdążył cokolwiek uczynić, dwie zielone, o długich palcach dłonie chwyciły pręty oddzielające klatkę Jacky od sąsiedniej. Carrington stwierdził nagle, że patrzy na oblicze gada, jednego z Błędów Horrabina. Miał rozwarte usta i ogromne oczy.

– Zostaw ją w spokoju – powiedziała istota bardzo wyraźnie.

Carrington zamrugał i wyjął pochodnię spomiędzy krat.

– Ją? – przyjrzał się uważnie Jacky, która wcisnęła się na powrót w kąt klatki, szlochając. – Och, doskonale – powiedział po kilku sekundach niemal zdławionym głosem, jakby dopiero co połknął łyżkę miodu. – Och, tak, tak, tak.

Poszukał w kieszeni, wyciągnął metalowe kółko z kluczami, z których jeden wsunął do zamka klatki, odciągnął zasuwkę i otworzył drzwi tak szybko, że kółko z kluczami zadzwoniło o metalową framugę.

Od strony szpitala doleciało echo piskliwego głosu Horrabina. „Obawiam się, że nie żyje, wasza Wielmożność”.

Carrington skrzywił się niezadowolony i zaczął zamykać klatkę.

„Ale serce wciąż bije – dobiegł głos Romanellego. – Przynies tu amoniak, pozostało w nim dobre pół godziny życia, a ja potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań”.

– Wytrwaj jeszcze, Ashbless – wyszeptał Carrington, znowu otwierając drzwi. Sięgnął do środka, chwycił Jacky za ramię i wyciągnął z klatki. Opierała się, uderzył ją więc w twarz dostatecznie mocno, by zmącić jej wzrok.

– Idziemy – nakazał, po czym poprowadził na wprost przytomnego jeńca innym korytarzem, a następnie przez łukowe przejście, które prowadziło do szerokiej, opadającej w dół piwnicy.

Po drugiej stronie czekało dwunastu uzbrojonych ludzi. Jeden z nich podbiegł do Carringtona.

– Teraz, szefie? – spytał z napięciem w głosie.

– Co? – warknął Carrington. – Nie, jeszcze nie; w klepsydrze Ashblessa jest wciąż mnóstwo piasku. Zaraz do was wrócę; zabieram tego chłopaka na dół, żeby odebrać stary dług.

Mężczyźni gapili się na niego.

Carrington uśmiechnął się, chwycił koniuszek jej wąsów i zerwał go.

– Stary Jacky był cały czas dziewczyną.

– Co... chcesz... Nie teraz, szefie! Wsadź ją z powrotem do klatki i zostaw sobie na deser! Mój Boże, mamy tu mnóstwo do roboty, nie możesz teraz...

– Wróćę za jakiś czas.

Pchnął Jacky do przodu, a ona potknęła się o właz prowadzący do jednej z podziemnych piwnic i upadła.

– Proszę, szefie! – nalegał mężczyzna, chwytając Carringtona za ramię, gdy ten schylił się, by ją podnieść. – Nie możesz sam tam schodzić! Wszystkie Zbiegłe Błędy tam żyją i...

Carrington rzucił pochodnię, wziętą zamach i wpakował pięść w brzuch mężczyzny, który usiadł ciężko, po czym zwałił się na bok. Carrington spojrzał na pozostałych.

– Wróćę – powiedział z naciskiem – za jakiś czas. Czy to jasne?

– Jasne, szefie – mruknięto kilku niepewnie.

– Świetnie.

Podniósł pochodnię, postawił Jacky na nogi, po czym oddalił się z oświetlonej części komnaty, schodząc coraz niżej w mrok. Płomień jego pochodni migotał w wilgotnej bryzie, która napływała z dołu, i oświetlał tylko niewielki fragment starodawnej i mokrej kamiennej podłogi; ściany i sufit, jeśli w ogóle tam były, ginęły w nieprzeniknionej ciemności.

Po kilku minutach, podczas których obydwójce pośliznęli się dwukrotnie na mokrych, pochyło ułożonych kamieniach, a pochodnie przy łukowatym przejściu nie były już nawet bladym światełkiem widzianym ponad garbem podłogi, Carrington przewrócił Jacky, ukląkł obok i wetknął pochodnię między dwa kamienie.

– Bądź miła, to cię potem szybko zabiję – powiedział z grymasem czułości na twarzy.

Jacky podciągnęła nogi i kopnęła go. Z łatwością zablokował jej cios przedramieniem. Trąciła jednak obcasem pochodnię, która zaczęła toczyć się w dół, nabrała szybkości, przeकोziołkowała i w końcu zgasła z mokrym sykiem gdzieś w dole.

– Chcesz bez światła, hę? – spytał Carrington w absolutnej już teraz ciemności. Złapał ją za ramiona i klęknął jej na kolanach, by przytrzymać ją przy ziemi. – To dobrze, lubię nieśmiałe dziewczyny.

Jacky łkała bezradnie, gdy Carrington ukladał się na niej; znieruchomiał na kilka długich sekund, po czym drgnął i zaczął wydawać z siebie dziwaczne, przytłumione stęknięcia. Znow ułożył się na niej, drapiąc ją lekko palcami po twarzy, lecz w chwilę później zsunął się z niej, Jacky zaś usłyszała jakiś dźwięk, jakby ktoś wylewał powoli wodę z dzbana; a gdy poczuła w nozdrzach zapach przypominający woń rozgrzanej miedzi, pojęła, że to odór krwi, która chlusnęła na kamienie.

Ponieważ cały czas płakała, nie mogła słyszeć, jak zbliżają się te istoty, ale teraz do jej uszu dotarł z bardzo bliska szept.

– Ty żarłoczna świnió – zachichotał jeden – wszystko pochłonałeś.

– Więc obliż kamienie – wysyczał drugi.

Jacky zaczęła się podnosić, ale coś, co przypominało w dotyku dłoń trzymającą żywego homara, pchnęło ją z powrotem na kamienną posadzkę.

– Nie tak szybko – odezwał się inny głos. – Musisz zejść z nami głębiej, do podziemnego wybrzeża, wtedy wsadzimy cię do łodzi i pchniemy na wodę. Możesz być naszym darem dla węża Apofisa.

– Zabierzcie ją bez oczu – wyszeptał jeszcze inny. – Obiecała je mojej siostrze i mnie.

Jacky zaczęła krzyczeć, gdy poczuła pajęcze palce błędzące po jej twarzy.

To, co Coleridge znalazł w klatkach, przekonało go w znacznym stopniu, że przeżywa kolejny koszmar wywołany opium, chociaż niezwykle żywy.

Gdy chwilę wcześniej ból głowy i skurcze żołądka ustąpiły, stwierdził, że znajduje się w ciemnym pokoju, choć nie mógł sobie przypomnieć, jak tam wszedł. Usiadł na łóżku i sięgnął po zegarek, nie mogąc nawet znaleźć stołu – w pokoju panowała głęboka ciemność – po czym uświadomił sobie, że nie jest u siebie w hotelu; a kiedy wstał i obszedł po omacku niewielkie pomieszczenie, stwierdził, że nie przebywa też w domu Johna Morgana, ani Basila Montagu, ani w żadnym innym miejscu, jakie zdarzyło mu się wcześniej odwiedzać. W końcu odszukał drzwi, otworzył je i przez całą minutę stał po prostu na progu, patrząc w górę i w dół słabo oświetlonej kondygnacji schodów, której architektura przypominała mu pośledniejszą odmianę stylu rzymskiej prowincji, i nasłuchując odległych zawodzeń i pomruków, które już niczego mu nie przypominały.

Ta niezwykła sceneria, w połączeniu ze znajomym – choć wyjątkowo silnym tym razem – uczuciem rozpierającego bólu głowy i ciepłej luźności stawów, upewniła go, że znów wziął zbyt silną dawkę laudanum i że ma halucynacje.

„W Xanadu – pomyślał kwaśno, parafrazując pierwszy wers *Khubli Khana* – narkotyk stworzył cud, straszliwy loch, gdzie strach bez końca”.

Po chwili zawędrował na podest schodów. Zawsze uważał, że w przekonaniu prostych ludzi, jakoby dom zwiedzany we śnie symbolizował umysł, tkwi ziarenko prawdy. Choć w niejednym koszmarze odkrywał górne piętra swego umysłu, nigdy przedtem nie zszedł do jego katakumb. Koszmarne hałasy płynęły z dołu, a zatem, wiedziony śmiałą ciekawością, jakież to potwory mogą zamieszkiwać najgłębsze pokłady jego umysłu, zaczął ostrożnie schodzić po starodawnych stopniach.

Choć lękał się trochę tego, na co się może natknąć, był zadowolony, że udało mu się wywołać tak szczegółową fantazję. Nie tylko spatynowane schody zostały oddane z całym mistrzostwem światłocienia; szuranie jego butów niesło się słabym echem, a chłodne powietrze napływające od dołu było wilgotne i zastarzałe, przesycone wonią stęchlizny, pleśni, wodorostów, a także – tak, właśnie – zapachem ogrodu zoologicznego.

Z każdym krokiem w dół robiło się ciemniej i gdy dotarł do podnóża schodów, znalazł się w absolutnej czerni, chwilami tylko zakłócanej, być może, słabiotkim migotaniem pochodni płonących za niejednym załomem korytarza, albo po prostu gwiazdkami tańczącymi na zmęczonej siatkówce oka.

Kroczył z wolna po nierównej podłodze, zmierzając w stronę, z której, jak mu się zdawało, dobiegały jęki i krakania, lecz gdy od klatek wciąż dzieliło go kilka metrów, zastygł z przerażenia, słysząc echo krzyku przepojonego tyleż znużeniem i bezradnością, co bólem. Cóż to mogło być? – zastanawiał się. – Moja ambicja, spętana i niemal zagłodzona na śmierć gnuśnością? Nie, to nie to; bardziej prawdopodobne, iż jest to ucieleśnienie mych obowiązków, a nie najmniejszym pośród nich jest mój talent – które zignorowałem i uwieziłem w tym bezdennym lochu mojego umysłu.

Kontynuował swoją wędrówkę i po chwili natknął się na zimne pręty najbliższej klatki. Coś plasnęło ciężko o jej podłogę, a po chwili dał się słyszeć dźwięk, jakby ktoś ciągnął po kamieniach mokrą szmatę, Coleridge zaś uświadomił sobie, że nieregularne powiewy wiatru, który czuł na swej dłoni, to oddech jakiejś istoty.

– Witaj, człowieku – odezwała się nadzwyczaj głębokim głosem.

– Witaj – odparł nerwowo Coleridge. Po chwili zdumienia spytał: – Jesteś zamknięty?

– Wszyscy jesteście... zamknięci – przyznała niewidoczna istota, a wtedy z innych klatek po obu stronach sieni dobiegły potwierdzające pomruki i świergotania.

– Czy jesteście zatem – mruknął Coleridge, głównie do siebie – występkami, które zdołałem w rzeczywistości zakuć w kajdany? Nie sądziłem, że istnieją.

– Uwolnij nas – rzekła istota. – Klucz tkwi w zamku klatki na samym końcu.

– Czy też jesteście – ciągnął Coleridge – co wydaje się bardziej prawdopodobne, moimi mocami, wypaczonymi przez długie zaniebdanie cnotami, którymi nie pozwoliło mi się posłużyć me lenistwo?

– Nie znam... tych rzeczy, człowieku. Uwolnij nas.

– I czyż taka skrzywiona moc nie byłaby czymś, czego należałoby się obawiać bardziej niż zamierających występków? Nie, mój przyjacielu, sądzę, że postąpię mądrze, pozostawiając was w klatkach. Musiałem mieć słuszne powody, by uczynić owe kraty tak solidnymi.

Zaczął się odwracać.

– Nie możesz nas tak po prostu zignorować.

Coleridge przystanął.

– Nie mogę? – spytał zamyślony. – To może być prawda. Z pewnością nie sposób uzyskać zadowolającej odpowiedzi przez wykluczenie jakiegokolwiek czynnika danego problemu; to był właśnie błąd purytan. Nie ulega jednak wątpliwości, że klatki owe są przejawem – rzadkim – mej woli, panowania nad sobą. Musiałem zatem już kiedyś poświęcać wam uwagę.

– Uwolnij nas i upewnij się.

Coleridge stał w ciemności, rozważając to przez dłuższą chwilę.

– Nie widzę powodu, dlaczego nie mógłbym tego uczynić – wyszeptał i ruszył po omacku w stronę ostatniej klatki, gdzie w zamku otwartych drzwi wciąż kołysały się klucze Carringtona.

Ostre opary amoniaku przywróciły Ashblessa do przytomności i przywiodły ponownie do oświetlonej blaskiem pochodni strasznej izdebki o niewielkich rozmiarach i zabłoconej podłodze.

Po ostatnim, wymuszonym amoniakiem przebudzeniu, stwierdził, że jest w stanie opuścić swe umęczone ciało, które spoczywało skrzepowane na stole; mówiąc ściślej, zanurzyć się tak głęboko w zakamarki swego umysłu, by odbierać desperackie zabiegi Romanello jako ledwie wyczuwalne szarpnięcia i wstrząsy, podobnie jak pływak, głęboko zanurzony, wyczuwa tylko nieznacznie wzburzenie panujące na powierzchni wody.

Była to przynosząca ulgę zmiana, lecz w tej ponownej chwili jasności uzmysłowił sobie, że umiera. Choć żadne z obrażeń zadanych przez Romanellego nie wywołało natychmiastowej śmierci, Ashbless potrzebowałby wszelkich dobrodziejstw intensywnej opieki medycznej 1983 roku, by zapewnić sobie choćby częściowy powrót do zdrowia.

Zamrugnął zdrowym okiem, odwrócony ku najbliższej ścianie, dostrzegając bez najmniejszego zdziwienia szereg ludzików o wzroście dziesięciu centymetrów, ustawionych na półce, nad pompą wodną, po czym przekręcił głowę i spojrzął w dziwacznie oświetloną twarz Romanellego. Przypuszczam, że to jest jednak świat alternatywny, pomyślał z zimną obojętnością. Ashbless umrze tutaj, w 1811. No cóż, umrze też w milczeniu. Nie sądzę, Romanelli, byś zdołał wywnioskować położenie przyszłej szczeliny z tego, co wiem o tych poprzednich, ale i tak nie zamierzam dać ci najmniejszej szansy. Umrzesz tu ze mną.

– Przesadzasz – dobiegł z tyłu piskliwy, jak u Myszki Miki, głos Horrabina. – To nie takie proste, albo szybkie, jak oderwanie wieka z pudła. Zabijasz go.

– Jemu też tak się może wydawać – wysapał Romanelli. Czarnoksiężnik był otoczony siecią miniaturowych wyładowań elektrycznych, które sprawiały mu niewątpliwie ból. – Ale posłuchaj mnie, Ashbless – nie umrzesz, dopóki ci nie pozwolę. Mógłbym ci odciąć głowę – i może to zrobię – a pomimo to wciąż utrzymywałbyś się przy życiu za sprawą magii. Wyobrażasz sobie prawdopodobnie, że przed świtem będziesz martwy. Zapewniam cię, że potrafię przedłużyć twoją agonię o całe dziesięciolecia.

Drzwi znajdowały się dokładnie za plecami magów, i Ashbless wyczerpał się z całych sił, by nie poruszyć okiem albo zareagować w jakikolwiek sposób, kiedy ujrzął na progu monstrualne postaci, które zaczęły przekradać się bezgłośnie do zaciemnionej izby. Czymkolwiek są – pomyślał – mam nadzieję, że są realne i że nas pozabijają.

Lecz na półce, nad pompą, zrobił się nieznaczny ruch; jedna z małych kukiełek drgnęła, wyciągnęła miniaturowe ramię i pisnęła:

– Błędy się uwolniły!

Horrabin obrócił się na jednym szcudle niczym igła kompasu i wyciągając język tak daleko, że dotknął jego czubkiem nosa, wydał z siebie przenikliwy gwizd o dwóch tonach, który sprawił, że Ashbless zacisnął z całych sił pozostałe mu jeszcze zęby. W tym samym momencie Romanelli odetchnął głęboko – co brzmiało tak, jakby ktoś

przeciągał przez komin otwarty parasol – po czym wypowiedział szczerliwie trzy sylaby i wyrzucił przed siebie skrwawione ręce, dłońmi na zewnątrz.

Jeden z Błędów, długi, giętki, włochaty stwór o ogromnych uszach i nozdrzach, lecz pozbawiony oczu, rzucił się kocim skokiem na Horrabina, lecz uderzył głucho w niewidzialną barierę i spadł z pluskiem na pokrytą błotem, mokrą podłogę.

– Pozbądź się... ich – łkał Romanelli. Z nosa i oczu płynęła mu obficie krew. – Nie dam... więcej... rady.

Pół tuzina Błędów, w tym jeden ogromny płaz o podwiązanej dolnej szczęce i wielokrotnych rzędach trójkątnych zębów, uderzały i drały hałaśliwie w barierę.

– Otwórz małe dziury w podłodze – powiedział napiętym głosem Horrabin. – Moi chłopcy zapędzą je z powrotem do klatek.

– Nie... nie mogę – powiedział słabym, zawodzącym głosem Romanelli. – Jeśli spróbuję zrobić coś z podłogą... ona po prostu... pęknie. – Z oczu, na podobieństwo łez, płynęła mu krew. – Ja... rozpadam się na kawałki.

– Spójrzcie na gacie klowna – zagrzmiał zębaty stwór.

Horrabin zerknął odruchowo na siebie i ujrzał w blasku pochodni, że jego workowate, białe pantalone zachlapały się błotem, gdy włochaty stwór wylądował w kałuży.

– Błoto przenika na wylot – zawyla zębata istota, wrywając z podłogi kamień wielkości pięści i ciskając nim.

Kamień walnął głucho w brzuch Horrabina, który cofnął się na swoich szcudłach, sapiąc ciężko, a wtedy uderzyły go dwa następne pociski, jeden w nadgarstek przystrojony bufiastym mankietem w grochy, drugi w białe czoło. Klown runął do tyłu – jego twarz była maską pełnego przerażenia i gniewu – po czym usiadł z głośnym chłupotem w błocie.

Chłopcy wielkości łyżeczek zeskakiwali ze swojej półki niczym ogromne świerszcze, dobywając w powietrzu małych mieczy, po czym lądowali i koziołkowali w błocie, by następnie przeskoczyć przez barierę i dźgać kostki stworów i wspinać się po ich nogach.

Romanelli zgiął do tyłu postrzeloną nogę Ashblessa i przywiązał mu stopę do uda, po czym, zgrzytając z wysiłku zębami, podniósł umierającego poetę i ruszył chwiejnie ku odległemu łukowi.

Z każdym kolejnym krokiem rozlegały się trzaski i odgłosy wewnętrznych pęknięć, ale Romanelli kroczył dalej, oddychając chrapliwie, w kierunku łuku, który prowadził do zniżającej się piwnicy,

podczas gdy zza jego pleców, od strony szpitala, dobiegały łomoty i krzyki.

Ludzie Carringtona, skuleni pod jedną z pochodni, czekali z coraz większą niecierpliwością na powrót szefa, szepcząc do siebie, że równie dobrze mogliby zaatakować i bez niego, lecz zbledli i cofnęli się, gdy ujrzeli przerażający widok, jaki stanowił Romanelli ze swym ciężarem na plecach.

– Jezu – szepnął jeden z nich, macając rękojeść sztyletu, gdy już czar-noksiężnik minął ich. – Czy nie powinniśmy pójść za nim i zabić go?

– Co z tobą, ślepy jesteś? – warknął jeden z jego towarzyszy. – Już i tak nie żyje. Chodźmy dorwać kłowna.

Ledwie ruszyli w stronę łuku, gdy pojawiła się czereda skaczących i pełznących Błędów, ściganych zawzięcie przez tłumek Tycich Chłopców.

Ashbless zapadł, pomimo działania wszelkich chemicznych i czar-noksięskich środków podtrzymujących świadomość, w rodzaj śpiączki, z której wyzwał się tylko chwilami. W którymś momencie zdał sobie mgliście sprawę, że jest niesiony w dół stromego zbocza; w innym zauważył, że jego tragarz jest pozbawiony rozumu i że zaślinio-nym głosem wyśpiewuje jakieś wesołe piosenki. Potem wszystko zaczęło się plątać; z tyłu dobiegały wrzaski, w świetle zaś elektrycznej burzy, która otaczała sylwetkę niosącego, ujrzął z jednej strony, mijając ich w podskokach istotę w trójgraniastym kapeluszu, która przypominała olbrzymią ropuchę, z drugiej zaś galopującego, szczęconiego psa z ludzką głową, podczas gdy powietrze wypełniło się skaczącymi insektami, które wcale nie były insektami, lecz ma-leńkimi, rozgniewanymi ludzikami, wymachującymi miniaturowymi mieczkami.

Potem jego tragarz potknął się i poleciał na łeb na szyję w dół stromego zbocza. Ostatnia rzecz, jaką Ashbless zdążył dostrzec, nim ponownie utracił przytomność, zdumiała go, pomimo gęstniejącej mgły-śmierci: ujrzął twarz Jacky’ego, poznaczoną łzami i pozbawioną wąsów, wpatrującą się w niego ze zdziwieniem, gdy toczył się bez-władnie w dół.

Sypiąca iskrami, migocząca istota, która wpadła na Jacky, zde-rzyła się również z Bezokimi Siostrami i zepchnęła je w ciemność,

mrucząc coś niezadowolona. Jacky dźwignęła się na dłonie i kolana, by zauważyć w ostatniej chwili, że miotająca niebieskie błyski istota była człowiekiem, i że William Ashbless, niewątpliwie martwy, zsuwa się po zboczach tuż za nią; potem Jacky wtuliła głowę w ramiona, palcami zaś rąk i nóg wczepiła się w błoto zalegające między kamieniami, gdyż rozplenił się wokół niej dziki tłum warczących i wyjących istot, niewidocznych w mroku, za którym podążała horda czegoś, co dotykaniem i odgłosami przypominało wielką szarańczę. Kilka chwil później ten cyrk z piekła rodem zaczął niknąć gdzieś pod nią, ona zaś podjęła wspinaczkę w górę zbocza.

Stamtąd też dochodziły jakieś hałasy, niewyraźne krzyki, wrzaski i obłąkańczy śmiech, który odbijał się w tej grocie niesamowitym echem, i Jacky zastanawiała się mgliście, jakież to szaleństwo dotknęło tej nocy Szczurzy Zamek.

Po wielu minutach wspinaczki poczuła, jak podłoga pod jej stopami wyrównuje się. Podniosła wzrok i zobaczyła daleki blask pochodni i łukowe przejście. Ludzie Carringtona już się tam nie czaili. Cokolwiek się działo, musiało rozgrywać się gdzie indziej, więc Jacky wstała z kolan i pobiegła jak szalona w stronę światła.

Dotarła na miejsce i przykucnęła, dysząc przez kilka minut w półkolu cudownie żółtego światła i ciesząc się iluzją bezpieczeństwa, ale wstała w końcu z niechęcią i przeszła pod łukiem, by znów wkroczyć w ciemność.

Dotarli do niej od strony przystani nerwowe głosy, podreptała więc bezgłośnie korytarzem prowadzącym do podnóża schodów, ale przystanąła, gdy i tam coś usłyszała.

Przyszło jej do głowy, że to pewnie ludzie Carringtona, którzy chcą się upewnić, że nic nie wydostanie się z jego pajęczej sieci.

Postanowiła zawrócić i ukryć się gdzieś, dopóki strażnicy nie powrócą na powierzchnię, a potem popłynąć kanałem do Tamizy. Ledwie ruszyła z powrotem, gdy do jej uszu dotarł nieprzerwany krzyk, który nasilał się coraz bardziej, a w głębi korytarza pojawił się niespodziewanie przyćmiony błysk odbitego światła. Narastał szybko, jakby niebawem zza rogu mieli wynurzyć się ludzie z pochodniami. Jacky rozejrzała się w panice, mając nadzieję dojrzeć gdzieś zagłębienie, w którym mogłaby przycupnąć, ale niczego takiego nie zauważyła. Przycisnęła się do ściany.

Wycie wciąż narastało, Jacky zaś usłyszała pospieszny stukot drewna o kamień. Po chwili z któregoś z dalszych tuneli wypadł Horrabin na swoich szczudłach, cały w płomieniach, ścigany przez horde, jak

się zdawało, skaczących i popiskujących szcurów; w chwilę później jego prześladowcy pokonali zakręt i ruszyli za nim w podskokach, ciskając kamieniami i ujadając jak psy.

Jacky spojrzała w stronę schodów i dostrzegła niewyraźne sylwetki dwóch mężczyzn przycupniętych tuż za łukiem i mierzących do nadbiegającej ciżby z dziwnie wyglądającej broni. Tam nie znajdzie pomocy, pomyślała i rzuciła się pod ścianę, zakrywając ramieniem twarz, w złudnej nadziei, że zostanie przez wszystkich uczestników tej walki uznana za trupa.

Obie strzelby wypaliły jednocześnie, z przeciągłym grzmotem i błyskiem, który rozjaśnił tunel na długą sekundę, z sufitu zaś i ścian posypały się odłamki kamienia. Płonący kłown zakołysał się i przystanął – odzyskał jednak równowagę, najwidoczniej nietknięty przez pociski; jednakże ich impet musiał go zatrzymać, gdyż ścigające bestie zrównały się z nim.

Kilku Tycich Chłopców i ich odpowiedników o wroście mniej więcej trzydziestu centymetrów odrzuciły do tyłu odłamki pocisków, lecz ci, którzy ocaleli, zawrócili i skoczyli na oblicza wygłodniałych Błędów, które cisnęły płonącego, wrzeszczącego kłowna na ścianę i zaczęły rozrywać mu nogi zabłoconymi pazurami. Miniaturowe ludziki wyskoczyły w górę, omijając mordercze szpony, i dźgały mieczykami w oczy, gardła i uszy bestii, niepomnie zupełnie własnego bezpieczeństwa; lecz Błędy walczyły na śmierć i życie, gotowe narazić się na spotkanie z małymi ostrzami i odnieść rany, byle tylko znaleźć się blisko Horrabina i móc dobrać się brudnymi zębami do odsłoniętego ciała, albo wytrącić spod niego któreś ze szczudeł.

Ten obłąkańczy spektakl rozgrywał się zaledwie kilka metrów od Jacky, która nie mogła się powstrzymać, by nie podnieść głowy i nie patrzeć. Poczerniały, piszczący kłown nie palił się już tak oślepiającym płomieniem jak przedtem, ale wciąż dostatecznie jasno, by można było widzieć szczegóły tej walki: jeden z Błędów, stwór wielkości pudła z mnóstwem macek, któremu miecze ludzików wydlubały oczy, zacisnął zębate usta na prawej ręce Horrabina i ze straszliwym trzaskiem odgryzł większą jej część; dwie istoty, przypominające ślimaki bez skorup i umierające pod zaciekłymi ciosami tuzina maleńkich ludzików, dostały się między ścianę i lewe szczudło, po czym zdołały ostatnim, wyczerpującym do cna wysiłkiem, wytrącić je spod Horrabina, który runął na nie; światło zgasło niemal do końca, gdy kłown uderzył o ziemię, tak że Jacky widziała teraz jedynie rozedrganą,

poszarpaną masę umierających istot i słyszała coraz cichszy chór posapywań, trzasków, jęków i przeciągłych, chrapliwych oddechów. Tunel wypełniła dusząca woń palonych śmieci.

Jacky wstała i minęła pędem ten stos pogrzebowy, zagłębiając się w labirynt korytarzy. Po dwudziestu krokach, w zupełnej ciemności, potknęła się i zaczęła sunąć bezładnie po ziemi, a gdy się w końcu zatrzymała, poczuła na nadgarstku zaciskającą się mocno czyjaś dłoń.

Szarpnęła ręką, zastanawiając się, czy ma dość siły, by walczyć, lecz znieruchomiła, usłyszawszy głos niewidzialnego towarzysza.

– Proszę mi wybaczyć, szanowna Myśli, lubo Fantazjo, czy też Zbiegła Cnoto, ale czy mogłabyś, pani, wskazać mi drogę do przytomnych pokładów mego umysłu?

Ashbless uświadamiał sobie mgliście od jakiegoś czasu, że leży na dnie łodzi, którą wiosłuje pozbawiony sił doktor Romanelli, lecz oprzytomniał na dobre, gdy zauważył, że powierzchnia, na której spoczywał, zmieniła się. Poprzednim razem, kiedy czuł ją pod sobą, była po prostu twardym, kanciastym drewnem, teraz natomiast przypominała miękką skórę naciągniętą na coś w rodzaju giętkich żeber. Otworzył oko i z umiarkowanym zdziwieniem stwierdził, że pomimo roztaczającej się wokół ciemności widzi bardzo dobrze. Łódź płynęła rozległą, zrujnowaną sienią, pod której ścianami stały pionowo sarkofagi promieniujące intensywną czernią.

Słyszał sapanie Romanellogo, więc spojrzął w tamtą stronę. Wyścieńczony czarnoskieżnik wpatrywał się ze zgrozą w coś, co musiało znajdować się nad ramieniem Ashblessa. Ashbless podparł się na łokciu i zdołał obrócić głowę, a wtedy zobaczył kilka wysokich, niewyraźnych postaci stojących na rufie, a także niewielką świątynię pośrodku łodzi, którą spowijał wokół wąż trzymający w pysku swój ogon, w samej zaś świątyni znajdował się dysk wielkości człowieka, promieniujący tak intensywną czernią, że Ashbless, czując ból oczu, musiał odwrócić wzrok; zdawało mu się jednak, że dostrzegł na dysku niewyraźny rysunek skarabeusza Chepri.

Kiedy znów spojrzął na Romanellogo, ten uśmiechał się z ulgą, a po jego zapadniętych policzkach spływały łzy.

– Łódź Ra – szeptał – Łódź Mesektet, w której słońce podróżuje przez dwanaście godzin nocy, od zachodu do świtu! Jestem w niej, o brzasku zaś, gdy znów wynurzymy się w świecie, popłynę w łodzi Atet, łodzi porannego nieba, i będę odrodzony!

Czując zbyt wielkie zmęczenie, by przejmować się czymkolwiek, Ashbless opadł na skórę, spod której, jak zauważył, docierał dźwięk pulsu. Zawodzenie, które zdawał się słyszeć przez całą noc, było teraz głośniejsze i przybrało błagalny ton. Przekręcił głowę, spojrzął ponad niską burta, w stronę brzegu rzeki i ujrzał niewyraźne postaci wyciągające dłonie ku przepływającej łodzi; a gdy minęła ich, usłyszał pełne rozpaczylkania. Na brzegu, w pewnych odstępach, widniały wbite w ziemię pale oznaczające godziny, jak się domyślił, z zatkniętymi na końcu głowami węży. Każda z nich, gdy łódź przepływała obok, zmieniała się na chwilę w pochyłą, ludzką głowę.

Ashbless usiadł i dopiero teraz zauważył, że łódź jest w istocie ogromnym wężem, rozszerzonym pośrodku jak kaptur kobry, na dziobie zaś i na rufie zwężającym się w długą szyję, zakończoną łbem gada.

To poemat – pomyślał – dwanaście godzin nocy. To jest to, o czym piszę. Znajduję się w łodzi, którą widzą tylko zmarli.

Wyczuwał, że dysk też jest żywy – nie, przeciwnie, martwy, lecz świadomy – i że nie interesuje się dwoma pasażerami na gapę. Wysokie postaci na dziobie, które wydawały się ludźmi o głowach zwierząt i ptaków, też ich ignorowały. Ashbless ponownie osunął się na skórę.

Po jakimś czasie łódź przepłynęła przez mroczną bramę, po której obu stronach wznosiły się sarkofagi, wysokie jak słupy telegraficzne, a wówczas postaci na brzegu zaczęły krzyżeć i biegać tam i z powrotem, a ponad pełną przerażenia wrzawą do uszu Ashblessa dotarł odgłos powolnego, metalicznego pełnienia.

– *Apofis!* – wołały duchy. – *Apofis!*

I wtedy ujrzał podnoszący się do góry czarny kształt, i uświadomił sobie, że to głowa ogromnego węża, przekraczającego swymi rozmiarami wielokrotnie ich dziwną łódź. Z jego paszczy zwisały kołyszące się postaci o ludzkich kształtach, ale bestia wstrząsnęła swym ciężkim łbem, ciskając szczątkami na wszystkie strony, po czym ruszyła powoli wijącym się ruchem przez wodę.

– Wąż Apofis – wyszeptał Romanelli – którego ciało spoczywa w głębokim królestwie *keku samu*, gdzie nie skażona niczym ciemność staje się nieprzenikliwie gęsta. Wyczuwa, że na tej łodzi znajduje się dusza, która... nie ma prawa wynurzyć się w brzasku dnia. – Romanelli uśmiechał się. – Ale i tak już cię nie potrzebuję.

Niezdolny unieść się chociażby na łokciu, Ashbless patrzył, jak wznosząca się nad nim, idealnie czarna głowa przysłania sobą wszystko inne. Powietrze stało się przenikliwie zimne, gdy potwór nachylił

się, a kiedy rozwarł ogromne szczęki, Ashbless dostrzegł czarne jak noc gwiazdy, płonące niewyobrażalnie daleko, jakby paszcza Apofisa stanowiła wrota do wszechświata absolutnego chłodu i braku światła.

Ashbless zamknął oczy i powierzył duszę jakiemuś dobremu bogu, który, być może, gdzieś tam jeszcze istniał.

Jego uwagę przyciągnął piskliwy krzyk. Otworzył oczy i podniósł wzrok, jak miał nadzieję, po raz ostatni... i ujrzał znikającą postać doktora Romanellego, którą pochłaniała ogromna paszcza.

By się upewnić, Jacky spoglądała ku ciemnemu zachodowi, gdzie szeroka Tamiza skręcała na południe, obok Whitehall, by potem znów popłynąć prostym nurtem, podążając na zachód. Później dziewczyna znów skierowała spojrzenie ku wschodowi.

Uśmiechnęła się z ulgą. Tak, niebo bez wątpienia bladło. Dostrzegła ciemne łuki Blackfriars Bridge na tle leciutkiej, poprzedzającej brzask poświaty.

Rozluźniła się i przysiadła na niskim kamiennym murku, świadoma teraz chłodu panującego nad błotnistym brzegiem rzeki, tuż obok Łuków Adelphi. Owinęła się szczelniej płaszczem, mimo to wciąż czuła dreszcze. I tak się to na nic nie zda, myślała, poczekam jednak aż do świtu, by przekonać się, czy Ashbless tu nie wypłynie jakimś przypadkiem. Niewykluczone, że żył jeszcze, kiedy przetoczył się obok mnie w tej głębokiej piwnicy, i że dotarł do podziemnej rzeki, a potem zdołał przepłynąć spory kawałek, nim zaczęło się to straszne... stwardnienie.

Wzdrygnęła się i poszukała wzrokiem pociechy w rozpalającym się na wschodzie blasku. Potem zaczęła wspominać, jak wydostała się z głębokich lochów.

Wzięła Coleridge'a za rękę i zaczęła iść ostrożnie przez pozbawiony światła korytarz, uświadamiając sobie panującą wszędzie ciszę. Nie tylko odległe zawodzenie zamarło. Przestało być też wyczuwalne delikatne wibrowanie powietrza, echo bezustannego powiewu przepływającego przez całą przestrzeń podziemnych korytarzy i leżących jeszcze niżej komnat.

Przywarła do ściany, gdy przechodzili obok miejsca, w którym leżało ciało Horrabina, i niemal krzyknęła, kiedy przemówił do nich z ciemności przerażająco głęboki głos: „To nie jest miejsce dla ludzi, moi przyjaciele”. Jacky odpowiedziała piskliwie: „Uhm... no dobrze. Odchodzimy stąd”. Usłyszała, jak coś dźwignęło się i uderzyło

głucho, a także wydało kilka metalicznych stuków, i kiedy głos znowu przemówił, słowa dobiegły znad jej głowy: „Poprowadzę was. Nawet umierając od pchnięć zadanych przez ludzików kłowna, Wielki Kąsacz jest obrońcą, któremu ośmieliliby się przeciwstawić tylko nieliczni”, mówił z wysiłkiem. „Będziesz nas... eskortował?”, spytała z niedowierzaniem Jacky. „Tak – westchnęła ciężko istota. – Jestem to winien twemu towarzyszowi, który uwolnił mych braci, siostry i mnie, dając nam przed śmiercią szansę zemsty na naszym stwórcy”. Jacky zauważyła, że głos istoty nie odbija się echem, jakby znajdowali się w zamkniętym pomieszczeniu, a nie w tunelu. „Pospieszcie się – nakazał Wielki Kąsacz, ruszając do przodu – ciemność twardnieje”.

Dziwaczne trio dobrnęło do schodów i poczęło się wspinać po stopniach. Na pierwszym podejściu Coleridge chciał odpocząć, ale Wielki Kąsacz powiedział mu, że nie czas na to; istota podniosła poetę, po czym ruszyli dalej. „Nie zostawaj w tyle”, ostrzegła też dziewczynę. „Nie zostanę”, zapewniła ją Jacky, gdyż uświadomiła sobie, że od strony korytarza, który właśnie opuścili, a nawet od strony stopni, które dopiero co pokonali, nie dociera żaden dźwięk ani echo. Cóż to powiedziały jej bezokie Siostry pół roku wcześniej? „Ciemność twardnieje jak gęste błoto, a my chcemy być daleko stąd, gdy stanie się równie twarda niczym kamienie... Nie możemy zostać na zawsze uwięzione w kamieniach, które są stwardniałą nocą!”. Jacky upewniła się, że dotrzymuje kroku Wielkiemu Kąsaczowi, i była zadowolona, że porusza się tak szybko.

Kiedy dobrnęli wreszcie na górę i wkroczyli w krąg światła pochodni znajdujących się w kuchennym holu Szczurzego Zamku, dwaj ludzie Carringtona zrobili w ich stronę krok, po czym cofnęli się o dwa, gdy ujrzeli istotę, która niosła Coleridge’a w swych ciężkich ramionach. Jacky zerknęła na Wielkiego Kąsacza i niemal sama się cofnęła.

Ich strażnik był olbrzymim płazem o długich i czarnych jak u zębaczka czułkach wokół oblicza, będących karykaturą brody i włosów, oczach jak szklane przyciski do papierów i świńskim pysku, lecz najbardziej uderzające były usta: miały kształt trzydziestocentymetrowej szczeliny przecinającej twarz, którą ledwie mógł zamknąć z powodu rzędu długich zębów. Nosił dziwaczny płaszcz, którego przód był podarty i mokry od krwi.

„Te robaki nic wam nie zrobią – rzekł cicho. – Ruszajcie”.

Postawił Coleridge’a na ziemi i odprowadził ich do drzwi wejściowych.

„Idźcie. Szybko. Zaczekam, aż nie znikniecie, ale będę musiał zejść na dół, nim ciemność stwardnieje do końca”, powiedział. „W porządku – odparła Jacky, wdychając z wdzięcznością względnie świeże, poranne powietrze Buckeridge Street. – I dziękuję za...” – nie dokończyła. „Zrobiłem to dla twego przyjaciela – zagrzmał Wielki Kąsacz. – Teraz idźcie”.

Jacky skinęła głową i wyprowadziła pospiesznie Coleridge’a na zewnątrz, po czym ruszyli ciemną ulicą.

Już bez przeszkód dotarli do hotelu. Gdy znaleźli się w pokoju Coleridge’a, Jacky położyła go na łóżku. Poeta zasnął, nim zdążyła wejść do holu i zamknąć za sobą cicho drzwi. Dostrzegła na nocnym stolyczku butelkę laudanum i już wiedziała, dlaczego środki usypiające Carringtona nie podziałały na starszego mężczyznę. Skąd Carrington mógł wiedzieć, jak bardzo Coleridge uodpornił się na działanie narkotyku?

Potem zeszła nad Tamizę, niedaleko Łuków Adelphi, gdzie podziemne wody uchodziły do rzeki. Żywiła nikiłą nadzieję, że Ashbless, czy też to, co z niego pozostało, wyłoni się w końcu z tunelu.

Niebo na wschodzie miało teraz barwę jasnotalowego błękitu, postrzępiony zaś łańcuch chmur nad horyzontem zaczął rozjaśniać się i jarzyć. Lada chwila miało wzejść słońce.

Woda pod łukami, gdzie wciąż panowała głęboka ciemność, zaczęła się burzyć i Jacky zdążyła dostrzec widmową, w pół przezroczystą łódź, która wyłoniła się z tunelu. W miarę jak zanurzała się stopniowo w szarość świtu, stawała się coraz bardziej świetlista i mniej widoczna, oddalając się ku wschodniemu horyzontowi z taką szybkością, że Jacky była w pewnej chwili przekonana, iż padła ofiarą halucynacji wywołanej wyczerpaniem. W ułamek sekundy później uświadomiła sobie dwie rzeczy: że nad odległym Londynem pojawiła się pierwsza, czerwona smuga wschodzącego słońca, i że w odległości kilku metrów od brzegu macha w wodzie rękami jakiś człowiek, który musiał wypaść przez burtę widmowej łodzi, gdy zaczęła znikać.

Jacky zerwała się na równe nogi, gdyż rozpoznała tego człowieka, który płynął teraz, lekko oszołomiony, w stronę brzegu.

– Panie Ashbless! – krzyknęła. – Tutaj!

W chwili gdy łódź w kształcie węża przepłynęła między znajdującymi się po obu stronach ostatniego łuku dwoma palami, z których

każdy podtrzymawał głowę brodatego faraona, Ashbless poczuł, jak wybuchł w nim straszliwy żar, głusząc resztki umęczonej świadomości. Dopóki nie skoczył w nurty lodowatej Tamizy, był przekonany, że to jego śmierć.

Gdy wypłynął na powierzchnię i wstrząsnął bujną czupryną, która opadała mu na czoło, pomyślał, że znowu ma włosy i dwoje oczu. Przesunął najpierw jedną, potem drugą dłoń przed twarzą, i uśmiechnął się szeroko, widząc, że ma wszystkie palce i że skóra jest nienaruszona.

Odrodzenie, na które liczył doktor Romanelli, przypadło w udziale jemu; kiedy słońce zostało wskrzeszone i znów ożyło o świcie, Ashblessowi pozwolono – Bóg jeden wie, dlaczego – uczestniczyć w tym rytuale.

Ledwie zaczął płynąć do brzegu, gdy usłyszał wołanie. Znieruchomiał, wpatrując się zmrużonymi oczami w ciemny brzeg. Potem rozpoznał osobę siedzącą na murze, pomachał do niej i znów zaczął płynąć.

Woda falowała i wirowała z pluskiem wokół Łuków Adelphi, i gdy Ashbless stanął na płyciźnie, a potem ruszył ku błotnistemu brzegowi, zrozumiał, dlaczego tak się działo: podziemny strumień przestał wpływać do Tamizy, jakby gdzieś zamknięto wielką śluzę, i teraz, gdy ów strumień osłabł, rzeka przy wylocie tunelu płynęła równie gładko i szybko jak wzdłuż brzegu. Kilka wodnych ptaków zniżyło lot, spoglądając ciekawie na pieniające się błoto niesione nurtem.

Spojrzał na szczupłą postać na murze.

– Witaj, Jacky – zawołał. – Coleridge też się chyba wydostał, co?

– Tak, sir – odparła Jacky.

– I powiedziałbym – dodał, gramoląc się na brzeg – że nie będzie pamiętał niczego z ostatniej nocy.

– No cóż – odparła Jacky zdumiona, gdy ociekający wodą, brodaty olbrzym wspiął się na stromy brzeg i usadowił obok niej na murku – prawdę mówiąc, może nie pamiętać. – Przyjrzała mu się uważnie. – Myślałam, że pan nie żyje, kiedy sunął pan w głąb lochu. Pana... oczy i...

– Tak – przyznał cicho Ashbless. – Umierałem, ale ostatniej nocy działała magia, i to nie taka całkiem zła. – Teraz z kolei on zaczął jej się przyglądać. – Zdażyłeś się ogolić?

– Och! – Jacky potarła odsłonięte miejsce nad górną wargą. – Te... wąsy... przypaliły się trochę.

– Dobry Boże. Cieszę się, że zdołałeś się jakoś wydostać. – Ashbless odchylił się, zamykając oczy i oddychając głęboko. – Będę tu siedział – stwierdził – dopóki słońce nie wszędzie dostatecznie wysoko, żebym mógł się osuszyć.

Jacky uniosła brew.

– Umrze pan z zimna – co wydaje się odrobinę bezsensowne, po tym, jak przeżył pan... skondensowane okropności Dantego.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu, i potrząsnął głową.

– Ashbless ma przed śmiercią mnóstwo rzeczy do zrobienia.

– Ach tak? Jakich na przykład?

Wzruszył ramionami.

– No... ożenić się, przede wszystkim. Piątego przyszłego miesiąca, mówiąc ściśle.

Jacky podniosła raptownie głowę.

– To miłe. A z kim?

– Z Elizabeth Jacqueline Tichy. Ładna dziewczyna. Nigdy jej nie spotkałem, ale widziałem jej portret.

Jacky uniosła zdumiona brwi.

– Z kim?

Ashbless powtórzył nazwisko.

Na jej twarzy pojawił się ni to uśmiech, ni grymas zdumienia.

– Nigdy pan jej nie spotkał? Więc jakim cudem jest pan tak diabelnie pewny, że pana zechce?

– Wiem o tym, Jacky, mój przyjacielu. Można by powiedzieć, że dziewczyna nie ma wyboru.

– A więc to już fakt – stwierdziła gniewnie Jacky. – Przypuszczam, że to pańskie szerokie bary i jasne włosy... sprawią, że nie będzie mogła się panu oprzeć, co? Albo coś innego, tylko niech mi pan nie podpowiada – to pańska poezja, prawda? Pewnie, przeczyta jej pan kilka wersów ze swoich niezrozumiałych *Dwunastu godzin*, a ona dojdzie do wniosku, że skoro ich nie rozumie, to musi być to... sztuka, mam rację? Posłuchaj, ty zarozumiały sukinsynu...

Ashbless otworzył zdumiony oczy i wyprostował się.

– Do diabła, Jacky, co się z tobą dzieje? Jezu, nie powiedziałem przecież, że zamierzam ją zgwałcić. Ja tylko...

– O, nie! Nie, pan tylko zamierza dać jej szansę, jedyną, jaka trafia się w życiu – szansę czego? Obcowania – z prawdziwą poezją. Ale z niej szczęściara!

– O czym ty bredzisz, przyjacielu? Powiedziałem tylko...

Jacky skoczyła na równe nogi i podparła się pod boki.

– Poznaj Elizabeth Tichy!

Ashbless gapił się na nią.

– Co chcesz powiedzieć? Że ją znasz? O mój Boże, słusznie, ty ją znasz, prawda? Posłuchaj, nie chodziło mi o to...

– Niech cię diabli! – Jacky rozpuściła palcami włosy. – To ja jestem Elizabeth Jacqueline Tichy!

Ashbless roześmiał się niepewnie, po czym przyjrzał się jej uważnie.

– Święty Boże. Naprawdę... to naprawdę ty?

– To jedna z tych rzeczy, których jestem pewna, Ashbless.

Zamachał bezradnie rękami.

– Do diabła, przykro mi, Jack... panno Tichy. Myślałem po prostu, że jest pani... starym, dobrym Jacky, moim kumplem z dawnych dni w domu kapitana Kopenhagi. Nigdy mi się nie śniło, że przez cały ten czas była pani...

– Nigdy nie był pan w domu kapitana Jacka – powiedziała. Po chwili niemal błagalnym tonem dodała: – To znaczy, był pan?

– Poniękad. Widzi pani, ja... – przerwał, zastanawiając się nad czymś. – A co by pani powiedziała, gdybyśmy przedyskutowali to przy śniadaniu?

Jacky znowu się skrzywiła, ale po chwili skinęła głową.

– W porządku, ale tylko dlatego, że biedny Doyle tak bardzo pana cenił. I niech się panu nie wydaje, że zgadzam się na cokolwiek, rozumie pan? – uśmiechnęła się szeroko. – Chodźmy, znam pewne miejsce na St. Martin Lane, gdzie można nawet posiedzieć przy ogniu.

Zeskoczyła z murku, Ashbless zaś wstał, i oboje oddalili się w stronę Strandu, zanurzeni w czystym świetle poranka, wciąż się spierając.

EPILOG – 12 KWIETNIA 1846

*Nie jest za późno na poszukiwanie
Nowego świata! Odbijcie od brzegu
I w bruzdy dźwięczne uderzcie! Bo celem
Moim żeglować poza słońca zachód
Pod gwiazd ulewą – potąd, aż nie umrę*.*

Alfred Tennyson

Spędziwszy na progu domu niemal kwadrans, spoglądając na szary, pagórkowaty bezmiar mokradel Woolwich, które ciągnęły się pod burzowym niebem przez kilkanaście kilometrów, William Ashbless był prawie gotów zdjąć płaszcz i wejść z powrotem do środka. Ogień w kominku buzował, a on nie rozprawił się do końca z butelką Glenlivet ostatniej nocy. Potem zmarszczył czoło, nasadził czapkę na jasne jak pobielale kości włosy, dotknął rękojeści swej szpady, którą przypasał na tę okazję, i zamknął za sobą drzwi. Pomyślał: Nie, jestem to winien Jacky, która przed siedmioma laty spotkała swe przeznaczenie... tak godnie.

W ciągu kilku ostatnich, samotnych lat Ashbless zaczął z niezadowolaniem stwierdzać, że obraz jej twarzy zatarł mu się w pamięci; te przeklęte portrety oddawały wiernie rzeczywistość, dopóki nie pokryły się patyną czasu i dopóki Jacky jeszcze żyła, uzupełniając jej obraz. Ostatnio jednak zdawało mu się, że nie odwierciedłały nawet jej prawdziwego uśmiechu. Dopiero dzisiaj, uświadomił to sobie, pamiętał ją tak dobrze, jakby nieledwie tego ranka wsiadła do powozu i pojechała do Londynu; jej tkliwie sarkastyczny uśmiech, cięty

* Przekład J. Pietrkiewicz.

język i tę urwisowską, jak u Leslie Caron, dziecięcą urodę, którą według niego zachowała do chwili swej śmierci, której przyczyną była malaria, w wieku czterdziestu siedmiu lat. Przechodząc na drugą stronę traktu i ruszając przez mokradła ścieżką, która pojawiła się w ciągu kilku minionych lat, a którą obserwował z niezdrawą ciekawością, wiedząc, że tego właśnie dnia będzie nią podążał, myślał o tym, że prawdopodobnie pamięta dziś Jacky tak dobrze, gdyż właśnie dziś się z nią połączy.

Ścieżka wznosiła się i opadała, wiodąc przez pagórkowate mokradła, lecz gdy po paru minutach szybkiego marszu wyłoniła się rzeka, wciąż podążał sprężystym krokiem i wcale nie był zdyszany, gdyż od wielu lat uprawiał ćwiczenia fizyczne i szermierkę, zdecydowany przynajmniej ranić ciężko tego, któremu przeznaczony było go zabić.

Zaczekał tu, postanowił, stając na niskim wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na porośnięty wierzbami brzeg Tamizy. Co prawda znajdą moje ciało bliżej brzegu, ale chciałbym wpierv dokładnie i przez dłuższą chwilę przyjrzeć się swemu zabójcy.

Zastanawiał się, kto to może być.

Zauważył, że drży, usiadł więc i odetchnął kilka razy głęboko. Spokojnie, chłopie, powiedział sobie. Wiedziałaś od trzydziestu pięciu długich i na ogół szczęśliwych lat, że ten dzień w końcu nadejdzie.

Odchylił się i spojrzął w górę, na skłębione, szare chmury. Poza tym większość twoich przyjaciół już nie żyje, pomyślał. Byron odszedł – też z powodu malarii – w Missolongi, dwadzieścia kilka lat temu, Coleridge zaś zmarł w 1834. Ashbless uśmiechnął się i zaczął się zastanawiać, nie po raz pierwszy, w jakim stopniu ostatecznie z wierszy Coleridge'a – zwłaszcza *Limbo* i *Ne plus ultra* – czerpały, w swej obrazowości, z tych jego mgliście już pamiętanych przeżyć owej kwietniowej nocy 1811 roku. Niektóre wersy go zastanawiały: „No such sweet sights doth Limbo den immure, Wall'd round, and made a spiritjail secure, By the more horror of blank Naught-at-all...”, a także „Sole Positive of Night! Antipathist of Light!... Condensed blackness and abysmal storm...”

Przetarł oczy i wstał – po czym zamarł, w piersiach poczuł lodowatą pustkę, ponieważ dopiero teraz zobaczył, że do jednej z wierzb przycumowano łódź z wiosłami, a po pochyłym brzegu wspinał się śmiało wysoki, tęgi mężczyzna, który przy prawym biodrze miał przypasany miecz.

Ciekawe, jest leworęczny jak ja, pomyślał nerwowo Ashbless. OK, zachowaj spokój. Pamiętaj, znajdą na twym ciele tylko jedną ranę

brzucha, więc daj sobie spokój z parowaniem pchnięć z flanki i osłanianiem ramion, nóg i głowy, paruj tylko pchnięcia wymierzone w korpus... wiedząc, oczywiście, że jednego z nich nie zdołasz sparować.

Przesunął niepewnie dłonią po brzuchu, zastanawiając się, w którym to miejscu jego zdrowa, jak na razie, skóra zostanie niebawem rozdarta, by przyjąć zimną stal ostrza.

Za chwilę wszystko się dokona, pomyślał. Postaraj się przeżyć tę ostatnią godzinę równie dzielnie jak Jacky swoją. Znała ją od czasu tej nocy w 1815, gdy upiłeś się na tyle, by ulec jej naleganiom i zdradzić datę i szczegóły jej śmierci.

Ashbless wyprostował barki, zstąpił ze szczytu wzniesienia i ruszył ścieżką w dół, ku rzece, by spotkać w połowie drogi swego zabójcę. Pomyślał: Zastanawiam się, jak będzie wyglądał nasz pojedynek. Nie jest przynajmniej młody, jego broda jest równie siwa jak moja. Bywał też w dalekich stronach, sądząc po opaleniznie. I twarz wygląda mi znajomo.

Kiedy wciąż dzieliło ich kilka metrów Ashbless przystanął.

– Dzień dobry – zawołał, dumny, że w jego głosie nie słychać drżenia.

Drugi mężczyzna zamrugał i uśmiechnął się chytrze, a wówczas Ashbless uświadomił sobie ze zgrozą, że ten człowiek jest obłąkany.

– Ty jesteś nim – powiedział nieznajomy skrzeczącym głosem. – Prawda?

– To znaczy kim?

– Doyle'em. Brendanem Doyle'em.

Ashbless odpowiedział, starając się ukryć w głosie zdumienie:

– Tak... ale nie posługuję się tym imieniem od trzydziestu pięciu lat. Dlaczego pytasz? Czy my się znamy?

– Ja znam ciebie. – I dodał, dobywając broni: – Przybyłem, by cię zabić.

– Domyśliłem się – odparł cicho Ashbless, cofając się i dobywając swej szpady. Posłyszał szept wiatru w wysokiej trawie. – Warto pytać dlaczego?

– Wiesz dlaczego – odpowiedział tamten, robiąc błyskawiczny wypad do przodu przy słowie „wiesz”; Ashbless zdołał sparować cios rozpaczliwym rzutem w *sixte*, lecz zapomniał o riposicie.

– Naprawdę nie wiem – rzucił chrapliwie, starając się znaleźć w bagnistym gruncie oparcie dla stóp.

– Dlatego – odparł mężczyzna, wykonując szybką fintę i odstepując, podczas gdy Ashbless zdołał się obronić kolistą paradą – że

gdy ty żyjesz – nieznajomy cofnął ostrze i ciał nim w pierś Ashbles-
sa, tak że ten musiał odskoczyć do tyłu – ja żyć nie mogę.

Wyprostował się po wypadzie, a wtedy ostrze mignęło tuż przy
ramieniu Ashblesa, który poczuł, jak stal przecina marynarkę i ko-
szulę, by zahaczyć o kość.

Ashbless był tak ogłuszony, że niemal zapomniał sparować kolej-
ne pchnięcie. Ale to nie tak – pomyślał zdumiony. – Wiem przecież,
że znajdują mnie z nietkniętym ramieniem!

A potem się roześmiał, gdyż pojawił się wszystko.

– Poddaj się albo umieraj – zawołał prawie wesoło do swego prze-
ciwnika.

– To ty masz umrzeć – mruknął mężczyzna o ciemnej skórze, szy-
kując się do wypadu, a potem wstrzymując się w jego trakcie, by
sprovokować Ashblesa do przedwczesnej parady; lecz Ashbless nie
dał się na to złapać i unieruchomił ostrze przeciwnika, po czym zro-
bił wypad i, obracając bronią jak śrubokrętem, pchnął, a potem dźgnął
głęboko opalony brzuch mężczyzny. Poczuł, jak wąskie ostrze za-
trzymuje się i wygina, natrafiając na kręgosłup.

Mężczyzna usiadł na mokrej trawie, łapiąc się za brzuch dłońmi
już śliskimi od krwi.

– Szybko – wysapał, blady pod opalenizną – niech stanę się tobą.

Ashbless patrzył na niego z góry, czując, jak jego radosne podnie-
cenie raptownie znika.

– Pospiesz się – wycharczał mężczyzna na trawie, wypuszczając
z dłoni miecz i pełznąc. – Zrób tę sztuczkę. Przeskocz we mnie.

Ashbless cofnął się o krok.

Jego przeciwnik pokonał jeszcze metr czy dwa, po czym runął
twarzą w trawę.

Upłynęło kilka minut, nim Ashbless ruszył się z miejsca. Zrobił to
tylko po to, by uklęknąć przy ciele, które przestało oddychać, i poło-
żyć łagodnie dłoń na ramieniu martwego człowieka.

Pomyślał: Jeśli istnieje jakaś nagroda po śmierci dla takich istot
jak ty, to jestem pewien, że na nią zasłużyłeś. Bóg jeden wie, jak
dotarłeś z Kairu do Anglii i jak mnie odnalazłeś. Może ciągnęło cię
do mnie, jak ciągnie rzekomo zmarłych do miejsca, w którym się
urodzili. No cóż, masz, przynajmniej niewielki, udział w mojej bio-
grafii: dostarczyłeś zwłoki.

Ashbless wytarł w końcu ostrze swej broni wiechciem wyrwanej
z ziemi trawy, a potem wstał, by schować szpadę do pochwy. Ode-
rwał też kawałek szala i obwiązał nim kontuzjowane przedramię.

Poczuł, jak chłodny wiatr wiosenny wywiewa mu z głowy wszelkie myśli o przeszłości. Z dreszczem czekającej go przygody, jakiego nie doznawał już od dziesiątków lat, ruszył ścieżką ku zacumowanej łodzi, pozostawiając za sobą ka, którego stworzył tyle lat temu doktor Romanelli.

Jest rzeczą niewiadomą, co będzie się ze mną działo od tej pory – myślał z coraz większym podnieceniem, odwiązując linę. Nie znaję nawet najmniejszej wskazówki w żadnej z książek, które przeczytam. Może być, że łódź się przewróci i utonę za pięć minut, ale może być i tak, że przeżyję następne dwadzieścia pięć lat!

Wszedł do łodzi, ujął wiosła i po trzech silnych ruchach ramion znalazł się na środku rzeki. A potem, wiosłując ku celowi, który mógł się okazać prawdziwym przeznaczeniem człowieka będącego niegdyś Brendanem Doyle'em, Tomem Niemotą, łataczem butów Eshvli-sem i Williamem Ashblessem, a nie będącego już żadnym z nich, uraczył ptaki rzeczne wszystkimi piosenkami Beatlesów, jakie pamiętał... z wyjątkiem *Yesterday*.

Doyle spotyka po powrocie do Anglii Jacky. Zostają uprawadzeni do siedziby Horrabina, przywódcy jednej z żebraczych band Londy